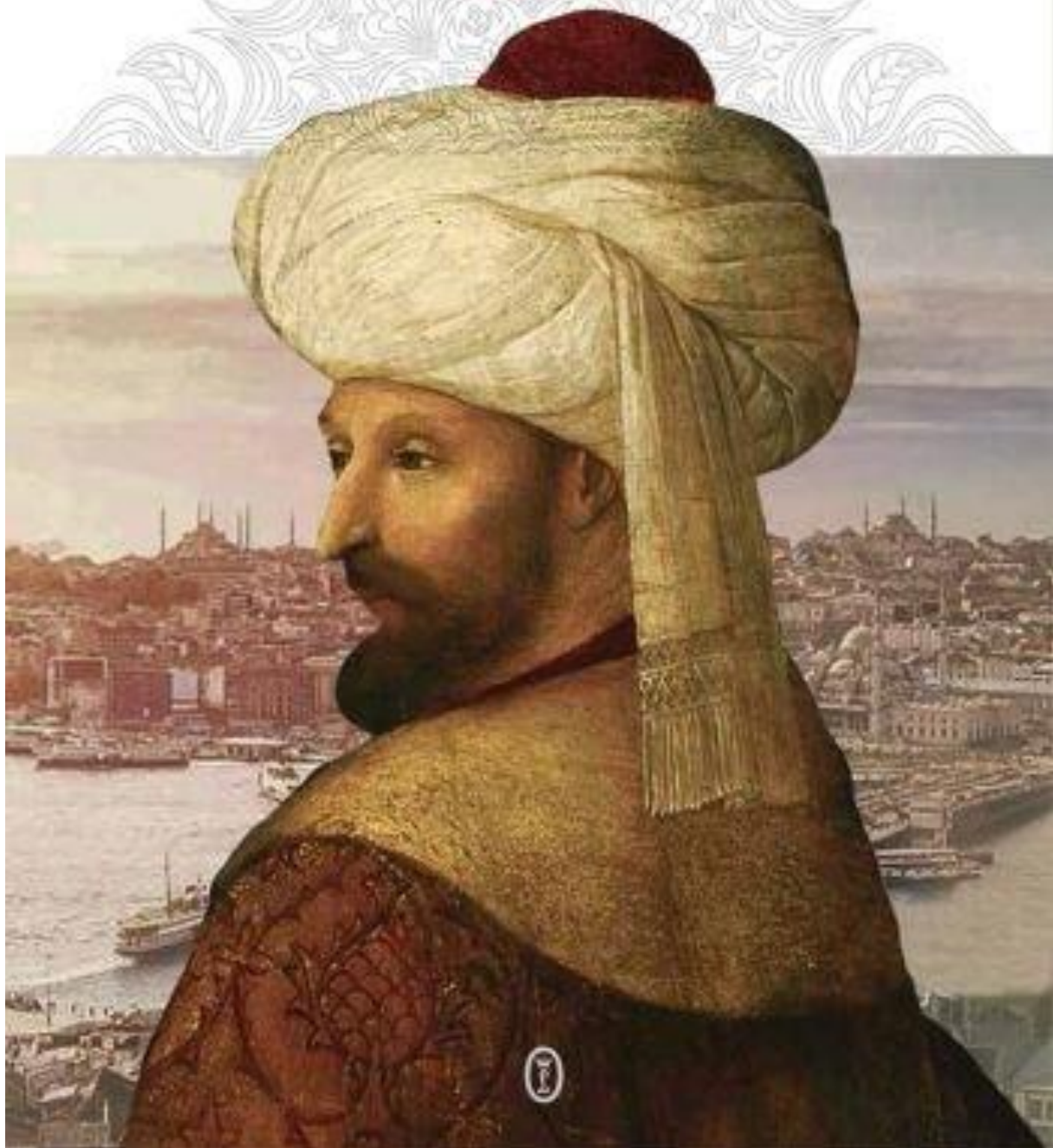


Nedim Gürsel

**MEHMED
ZDOBYWCA**

POWIEŚĆ



Gürsel Nedim

Mehmed Zdobywca

Spis treści

Dedykacja

Motto

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

X

XI

XII

Nota o pisowni nazw własnych oraz terminów tureckich, osmańskich, perskich i arabskich

Słowniczek nazw i terminów

Przypisy

Dla Zühal, światła moich nocy

I Swann czuł się bliski owego Mahometa II z portretu Belliniego, który tak lubił; ów Mahomet, czując, że się zakochał do szaleństwa w jednej z żon, zasztyletował ją, aby – powiada naiwnie wenecki biograf – odzyskać swobodę ducha.

MARCEL PROUST,
W stronę Swanna

PRZEŁ. TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI



Przez długi czas wstawałem wcześniej rano. By pisać. Gdybym jednak wiedział, że pewnego dnia porzucę wszystko i schronię się w pokoju tej starej nadbosforskiej rezydencji, że jesienne dni, które rozpoczynały się dla mnie każdego ranka, wtedy gdy mgła za oknem się rozpraszała, wciągną mnie w głębię nieoczekiwanych wirów skrywających się pod pianą powstającą na powierzchni – tak jak mogłyby mnie wciągnąć lustrzane wody Bosforu przepływającego pod wykuszem – gdybym to wiedział, zrezygnowałbym z pisania tej opowieści. Opuściłbym razem z przyjaciółmi dom wynajęty na wakacje i tak jak oni, wrócił w pierwszym tygodniu września do Paryża, do pracy. Mieliśmy bowiem za sobą wspaniałe lato. Z dala od hałasu miasta i od sierpniowego upału, który wnikał do najdalszych pomieszczeń kamiennych budynków, a nawet do zacienionych przybrzeżnych kawiarenek. Było nas czworo – dwie znakomicie dogadujące się pary. Czas spędzaliśmy w zgodzie i przyjaźni, za dnia w chłodnych wodach Bosforu i na porośniętych glonami granitowych płytach nabrzeża należącego do domu, a wieczorem wśród zapachu smażonego tłuszczu w którejś z pobliskich restauracji rybnych. Każdego ranka po wspólnym śniadaniu, urządzonym w ogrodzie za domem, szliśmy kąpać się w morzu albo wybieraliśmy się na wycieczkę wynajętą łódką; nawet podczas poobiedniej drzemki, na którą udawaliśmy się do osobnych pokoi, wyczekiwaliśmy z utęsknieniem pory podwieczorku, kiedy znów mogliśmy się spotkać i pogрузić w rozmowie. Cały długi sierpień minął w takim spokoju, aż wreszcie wakacje dobiegły końca. Ostatniego dnia, gdy wszyscy przygotowywali się do podróży powrotnej, powiedziałem żonie, że chcę zostać w Stambule trochę dłużej, by popracować w archiwum muzeum Topkapı. Zajęcia na uniwersytecie miałem rozpocząć z tygodniowym opóźnieniem. Żona przyjęła moją propozycję bez zastrzeżeń. Pożegnaliśmy się, by po tygodniu czy dziesięciu dniach spotkać się ponownie w Paryżu.

Gdy zostałem sam, powiedziałem właścicielowi domu, że odtąd posiłki będę spożywał w kuchni, że nie mam zamiaru korzystać z salonu, że aby meble się nie kurzyły, może – jeśli sobie tego życzy – okryć fotele i stoły prześcieradłami, zasunąć zasłony, schować poduszki do szafy i zamknąć wszystkie pokoje prócz tego z wykuszem od strony morza. Tak oto zostałem całkiem sam w wielkiej rezydencji. Mogłem teraz zacząć pisać opowieść, którą projektowałem całe lato, którą wiele razy budowałem i ponownie rozbierałem w głowie, o której myślałem, opalając się na brzegu, lecz której za nic nie potrafiłem ugryźć, gdy zabrałem się do pracy.

Wprawdzie zebrałem wiele tomów i dokumentów na interesujący mnie temat, ale musiałem jeszcze znaleźć słowo, które miało stać się punktem wyjścia. A tymczasem co rano, gdy mgła się rozpraszała i ukazywał się przeciwległy brzeg, wyczuwałem je tak blisko, że zdawało mi się, iż mogę je dotknąć. W zachwycie obserwowałem lśniące w słońcu baszty,

okrągłe wieże i białe mury, ciągnące się wzdłuż pędzonych „diabelskim prądem” wód Bosforu, i w myślach porównywałem tę piękną twierdzę, stojącą w najwęższym miejscu cieśniny pomiędzy domami rozmaitych rozmiarów i betonowymi budowlami, wznoszącą się ku szczytom okolicznych wzgórz, do szczytu imperium w najwspanialszych dniach jego potęgi. Była naprzeciwko mnie. Wsparta o zbocze, bliska jak woda, realna jak słońce. Ja jednak, wiedziony złym nawykiem, musiałem znaleźć słowo, które mógłbym uczynić punktem wyjścia.

Gdy sułtan Mehmed – nie był jeszcze wówczas Zdobywcą – nadawał tej twierdzy nazwę Boğazkesen¹, nie mógł naturalnie wiedzieć, że po wielu latach, po wielu stuleciach ktoś podejmie się pisania opowieści, wychodząc od tego właśnie słowa. Podobnie jak nie mógł wiedzieć, że wszyscy podrzynacze gardel i wszystkie gardła poderżnięte za jego panowania zostaną pewnego dnia poddane analizom historyków i wyciągnięte na światło dzienne, że kiedyś będą mu się śnić wszystkie te ciała przecinane piłą na pół i wszyscy ludzie nabijani na pał, że przyjdzie mu się rozliczyć z całej krwi, która zostanie przez niego przelana. Czy gdy sułtan Mehmed Zdobywca – tak, wtedy był już Zdobywcą – płynął łodzią do Üsküdaru, wiedział, że jego piękne usta smakosza i czarna broda, które znamy z obrazu Belliniego, pokryją się pianą, a róża – trójlistna róża sułtańska zerwana w ogrodzie władcy – którą na pewnej miniaturze trzymał w pożądlivych palcach, obrzękłych od artretyzmu, i wachał, zwiędnie? Naturalnie, nie wiedział. Czy stając w wieku czterdziestu dziewięciu lat w cieniu proporców powiewających na wybrzeżu Üsküdaru, gdy żołnierze przeprawiali się z Rumelii do Anatolii, by wyruszyć na wojnę, sułtan Mehmed Zdobywca, syn sułtana Murada, spojrział na Twierdzę Rumelijską, którą postawił w wieku dwudziestu lat, i wspomniął swoją młodość, entuzjazm tamtych dni i bezsennych nocy? Załóżmy, że tak. Samo założenie to jednak za mało – przenieśmy się do tamtych dni i połóżmy pierwszy kamień pod budowę twierdzy.

W tym rozdziale dowiadujemy się,
jak sułtan Mehmed zbudował
twierdzę Boğazkesen

Zapraǵnął przeprawić się do Rumelii. I rzekli do niego: „Wielki sułtanie! Cieśninę Dardanele zablokowały okręty niewiernych!”. I powiedli władcę do Kodzaeli. A stamtąd udali się do Białej Twierdzy nad brzegiem Bosforu, tuż obok Konstantynopola. I przeprawił się do Rumelii, tam gdzie cieśninę przemierzył jego ojciec. Wyszedł na ląd naprzeciwko Białej Twierdzy. I rzekł do Halila Paszy: „Tu winniśmy wznieść zamek!”. I stało się tak, że w tym właśnie miejscu natychmiast rozpoczęto budowę nowej twierdzy.

Aszykpasazade, Tewarihi Ali Osman

Namiot władcy rozbito na samym środku dziedzińca zrujnowanego klasztoru. Żołnierze stali na straży przy wejściu. Ze swoimi podkręconymi wąsami, zbrojami i srogim wzrokiem wbitym w jeden punkt zdawali się częścią konstrukcji namiotu. Dłonie trzymali na jataganach, cały czas pozostając w pełnej gotowości. Gdyby do ich uszu doszedł choćby szelest lub gdyby za przeciwległą ścianą ukazał się choćby cień, natychmiast zerwaliby się i rzucili do ataku. Tak naprężone były mięśnie ich nóg, kiedy stali na kamiennej posadzce. Nieważne, czy namiot sułtana stawał na leśnej polanie podczas łowów, czy na najwyższym wzniesieniu podczas bitwy – bez wiedzy strażników w pobliżu nie miał prawa przelecieć nawet ptak. Co prawda owa konstrukcja o atlasowych ścianach wyszywanych jedwabnymi nićmi, wokół której łopotwały na wietrze białe proporce, była jedynie miniaturową, koczowniczą wersją pałacu, lecz gdy tylko postawiono ją na imperialnej ziemi, natychmiast się z nią scalała, zapuściwszy korzenie żelaznych pali, i stała się samowystarczalnym bytem, zapewniającym sobie bezpieczeństwo przy pomocy janczarów. Mam na myśli to, że w gasnących powoli płomieniach brzasku

krwistoczerwony namiot sułtana Mehmeda wyglądał tak, jakby na dziedziniec tego bizantyńskiego klasztoru przybył z innego świata.

Sułtan Mehmed wstał i ubrał się w porze porannej modlitwy, po czym rozkazał, by natychmiast przygotowano dla niego konia. Wyszedł z namiotu, nim wzeszło słońce. Ruszył w głąb klasztoru i spomiędzy zwalonych murów spojrział w górę. Gwiazdy już niemal poznikały. Nagle na rozjaśniającym się niebie dostrzegł spadającą gwiazdę. Być może zapowiadała ona kres Bizancjum; przynosiła nowinę o tym, że kamień węgielny, który miał zostać położony tego ranka, będzie stanowił początek końca. Sułtan wspomniął słowa świętego proroka o żołnierzach, którzy zdobędą Konstantynopol. Jego oczy natychmiast pojaśniały. Z jakiegoś powodu tego ranka zyskał przekonanie, że to on będzie owym szczęśliwym wojownikiem. Wypełniła go narastająca fala ekscytacji; przeszedł go dreszcz. Zanim dosiadł konia, utkwiał wzrok w jednym z klasztornych fresków. Rozpoznał srogie spojrzenie archanioła Michała, pozbawionego jednego skrzydła.

„Niedługo się zobaczymy, przyszłej wiosny w Hagii Sophii!”, powiedział w myślach, po czym popędził wierzchowca ku morzu.

Od wielu dni przemierzał konno wybrzeże Bosforu – jeżdżąc to tu, to tam, przyglądał się ukształtowaniu terenu i badał prądy w cieśninie. Wreszcie odnalazł najodpowiedniejsze miejsce. Twierdza miała zostać wzniesiona dokładnie naprzeciwko fortecy zbudowanej po azjatyckiej stronie cieśniny przez jego pradziada Bajazyda Błyskawicę, na zboczu, które zajmowały ruiny klasztoru Michała Archanioła. Łąd, schodzący tu stromo ku morzu, wcinął się w Bosfor, tworząc wąski na sześćset sześćdziesiąt metrów przesmyk, którym woda płynęła nadzwyczaj wartko. Sułtan nie wiedział, być może, że lata, setki lat wcześniej w tym samym miejscu do Europy przeprowiły się wojska Dariusza, niosące pożogę Helladzie. Z pewnością jednak nie zapomniał, że gdy sam przebywał w Edirne, na które maszerował król Węgier Władysław, jego ojciec, sułtan Murad, zapłaciwszy każdemu żołnierzowi po złotym dukacie, ruszył mu na pomoc przy wsparciu Boga, dającego łaskę, oraz Genuieńczyków, którzy zapewnili okręty, i przekroczył Bosfor właśnie w tym punkcie, gdyż cieśnina Dardanele była zablokowana przez okręty chrześcijan. Jakże mógłby zapomnieć: wszak był wówczas małym dzieckiem, kryjącym się w cieniu wielkiego wezyra Halila Paszy w pałacu w Edirne. Dzieckiem małym, lecz mającym wielki rozum i bujną fantazję. Teraz jest zaś młodym sułtanem, któremu na kaftanie rozkwitają błękitne kwiaty, a pod turbanem hula wiatr marzeń. Gnając swojego śnieżnobiałego konia w tę i we w tę nad brzegiem Bosforu, rozmyśla o wspaniałych dawnych czasach. I z jakiegoś powodu przypomina sobie siwą brodę hurufickiego² derwisza, nowo przybyłego z Persji. Jakże pewny spełnienia się swojej przepowiedni był ów mistyk, gdy zapowiadał, że to Mehmedowi przypadnie w udziale podbój Konstantynopola. Sułtan pamięta to, jakby zdarzyło się wczoraj.

Pewnej nocy przyśnił mu się prorok Mahomet. Zasiadał na tronie z twarzą zakrytą czerwoną chustą, w dłoni dzierżył łaskę. Po jego prawicy stał imam Hasan z przypasanym mieczem, a po lewicy imam Husajn. Obaj mieli oczy pełne łez. Turban proroka był biały i dwunastokrotnie owinięty wokół głowy, a złoty kaftan – utkany z wełny wielbłąda. U jego stóp leżał jedwabny dywanik modlitewny. Mehmed odmówił modlitwę na cześć proroka, po czym ruszył ku niemu i ucałował jego świętą dłoń, delikatną jak aksamit. Wtedy Mahomet odwinął chustę, którą zasłaniał twarz, i wyciągnąwszy ją w stronę księcia, rzekł: „Oto wręczam ci, księżę Mehmedzie, sztandar Ajjuba al-Ansariego!”. Mehmed pamięta, jak blask bijący od twarzy proroka raził jego oczy i jak czerwona chusta, którą Mahomet podał mu w swoich świętych dłoniach, nagle zmieniła się w zielony sztandar.

Po przebudzeniu – zamiast wezwać do pałacu tłumaczy snów swojego ojca – księżę nakazał przyprowadzić pewnego dziwnego derwisza, który od dawna siał w Edirne niezgodę

między uczonymi, a swoimi płomiennymi przemowami przyciągał do siebie nie tylko muzułmanów, lecz także chrześcijan i żydów. Jego właśnie Mehmed poprosił o interpretację snu. Hurufita spojrział na niego skośnymi, przebiegłymi oczami, po czym powiedział: „Mój książę, cóż tu pozostaje do tłumaczenia?! Nasz prorok (niech pokój i błogosławieństwo Boga będą z nim), który jest największym, najwspanialszym i najczystszy spośród ludzi mówiących językiem arabskim, obiecał ci, że weźmiesz Konstantynopol i zawieszisz sztandar islamu na najwyższej wieży miasta niewiernych”. Mehmed nakazał dać derwiszowi sakiewkę złota, lecz dziwny starzec opuścił pałac wolnym krokiem, nie przyjąwszy żadnego wynagrodzenia.

Teraz sułtan układa w głowie plan budowy twierdzy, która musi powstać, aby został wypełniony rozkaz proroka, i zastanawia się nad najdrobniejszymi szczegółami – od kamieni, z których wzniesione zostaną mury, po konstrukcję wież, od kształtu otworów strzelniczych po rozmieszczenie strażnic, od liczby bram po wygląd baszt – gdy nagle do jego nozdrzy dociera zapach palonego mięsa. Wyrzuca sobie, że nie wstawił się za tym odważnym derwiszem, który w przemowach wygłaszanych na bazarze miał odwagę nazywać męczennikiem szejcha Bedreddina³, powieszono go nago w Seres. Tylko że wówczas był bezsilnym księciem, a nie – tak jak teraz – władcą państwa, co prawda, świeżo upieczonym, ale jednak. Gdy pewnego wieczoru derwisz schronił się w pałacu, uciekając przed gniewem mułły Fahreddina⁴ i jego ludzi, Mehmed, uległszy namowom wielkiego wezyra Halila Paszy, wydał biedaka w ręce tłumu, który zgodnie z fatwą ogłoszoną przez muftiego spalił hurufitę na targowisku. Broda mułły Fahreddina, który nie mógł się powstrzymać i sam dokładał drewna do buchającego płomieniami stosu, zaczęła się palić, a zgromadzeni ludzie do samego rana chodzili wokół ognia, wykrzykując: „Bóg jest wielki!”. Teraz Mehmedowi zdaje się, że widzi piękną, okoloną białą brodą twarz derwisza pomiędzy płomieniami. „Mój książę – błaga go starzec – uratuj mnie z rąk tych bezbożników!” I przed wydaniem ostatniego tchu wykrzykuje wers Junusa Emre⁵:

Ciała płonące od miłości wnet całe w światłość się zamienia⁶.

Wschodzące słońce oświetla nadbosforskie wzgórza. Światło zdaje się spływać z nieba. Wszystko jest tak wyraziste, tak ciche. A sułtan Mehmed, tak jakby chciał wymazać ów haniebny czyn z pałacu w Edirne, zapomnieć swoją ówczesną słabość, wykrzykuje na całe gardło rozkaz:

– W tym miejscu zostanie położony pierwszy kamień twierdzy Boğazkesen!

Budowa rozpoczęła się 26 marca 1452 roku od modlitw mistrzów i budowniczych przybyłych ze wszystkich stron państwa Osmanów. Robotnicy wśród pieśni przekazywali sobie z rąk do rąk kamienie przywożone statkami z kamieniołomów Anatolii oraz drewno wycięte w lasach Pontu, dostarczając budulec na miejsce konstrukcji, a murarze dodawali do zaprawy choraskańskiej wiedzę i kunszt, przejęte od swoich mistrzów. Pracowali przy stanowiskach rozstawionych wzdłuż brzegu Bosforu. Stwardniałą skórę ich palców pokrywały zaskorupiałe już rany. Byli bosi i ubrani w łachmany. Spalone słońcem piersi schładzał wiosenny wiatr, wiejący od Morza Czarnego. Nużący wysiłek i ciężka praca mieszały się z piaskiem, gliną, kamieniami i krzykiem mew, a dzięki zapałowi robotników budowla nabierała kształtów. Wielki wezyr Halil Pasza podjął się nadzoru nad budową wieży, która miała stanąć przy brzegu, Zaganos Pasza⁷ – nad budową wieży północnej, a Sarudza Pasza⁸ – nad budową wieży południowej, i każdy starał się jak najszybciej doprowadzić pracę do końca, tak by prześcignąć pozostałych. Od strony Morza Czarnego przyływały statki wiozące kamienie, cegły i drewno, piękne, wielkie statki o żaglach wydętych wiosennym wiatrem. Galery z kolei na rozkaz sułtana patrolowały Bosfor – w razie potrzeby miały bronić budowy przed wrogiem. Kontrolę nad całym przedsięwzięciem

wziął na siebie sam sułtan Mehmed. To on wysyłał majstrom rozkazy, koordynował budowę poszczególnych fragmentów murów czy wież i sprawował bezpośrednią pieczę nad realizacją projektu. Także on – z pomocą kadich – skazywał na śmierć robotników uchylających się od obowiązków i nagradzał tych, którzy pracowali z poświęceniem. Każdy majster miał u boku dwóch pracowników, którzy otaczali go jak anioły stróże; układali oni kolejno kamienie, ciężkie jak ołów, i smarowali je zaprawą. Majstrowie zaś, z szacunkiem i tak jak nakazywał wiekowy porządek cechu, ociosywali kamienie i łączyli je z cegłami, tak by utrzymać właściwą konstrukcję muru. Natomiast nieregularne fragmenty kamieni, których nie zdołali odpowiednio uformować, wypełniali cegłami i częściami dachówek, połączonymi wapienną zaprawą choraszańską. Tak oto wznosił się mur, w którym cegły i kamienie, dachówki i tłuczeń, wapno i piasek mieszały się ze sobą i przechodziły jedno w drugie. W murze tym tkwiło znanstwo mistrzów z Edirne i pot z czoła anatolijskich robotników. Tak samo w ciesielce i stolarce wież, w łukach i krokwiach oraz w iglicach baszt, pokrytych ołowiem. W ten oto sposób, wśród krwi i potu, wśród pieśni i modlitw, w cztery miesiące zakończono budowę twierdzy. Wznoszenie konstrukcji pod nadzorem Wielkiego Sułtana i Najwspanialszego Władcy Muhammada syna Murada dobiegło końca w miesiącu radżab roku hidżry 856⁹. Datę zapisano w ten sposób w rachunku abdzadowym:

Adın Boğazkesen virüben Han kal'anın
Tarihin itt(i) „vakıa İstanbul üstüne”.

Sułtan nadał twierdzy nazwę Boğazkesen
I podał datę: „Tu chodzi o Stambuł”.



Gdy skończyłem pisać opowieść o budowie twierdzy, już świtało. Uniosłem głowę nad biurka i przez jakiś czas obserwowałem ruch ciem, wabionych światłem lampy. Latały, zataczając kręgi wokół światła, zbliżały się do żarówki na tyle, że prawie jej dotykały, po czym znów zwiększały dystans. Czekałem, aż przynajmniej jedna z nich dotknie skrzydełkiem rozżarzonego szkła i spadnie nieżywa na rozrzucone na blacie papiery. Mimo pokrywających je tu i ówdzie plam atramentu ich biała powierzchnia przywodziła na myśl całun. Stary całun owijający przekreślone słowa, które po kilkakrotnym zapisaniu zostały porzucone, by nigdy już nie być użyte. Te zaś, które wyszły cało z bitwy na śmierć i życie toczony z mym piórem, tkwiły w miejscach, gdzie znalazły schronienie, tak zmęczone, że nie byłyby już w stanie podjąć kolejnej walki. Wciąż nie wiem, jak mogłem – przed przeniesieniem ich z owych kryjówek na piękną, gładką powierzchnię czystego papieru – tak mocno pragnąć, by me brudnopisy stały się grobem dla żywej istoty, i nie rozumiem, dlaczego chciałem przystać na to, by moje martwo urodzone słowa zostały pogrzebane wraz z nocnym motylem, który zanadto zbliżył się do światła i w ten sposób przypalił sobie skrzydełka. Żadna ćma nie podleciała jednak do żarówki wystarczająco blisko. Zgasilem więc lampę i w oknie zapaliłem papierosa. Na zewnątrz było jeszcze ciemno. Nie dało się dostrzec przeciwległego brzegu. Po Bosforze przepłynął wśród piany radziecki frachtowiec o zgaszonych światłach. Długo przyglądałem się bieli kilwatu odcinającej się od ciemności wody. Następnie położyłem się w łóżku ze spokojem, który dała mi świadomość ukończenia pierwszego rozdziału powieści, i wbiłem wzrok w sufit. Nie chciało mi się spać. Myślałem o tym, że z twierdzy nie ma już dziś żadnego pożytku i że intensywny ruch na Bosforze trwa nieprzerwanie od setek lat. Któż może wiedzieć, ile statków z napędem motorowym czy żaglowym, ze śrubami czy bocznymi kołami łopatkowymi, przepłynęło tymi wodami, wioząc pasażerów, załogę i towary? Któż może wiedzieć, ile z nich dotarło do portu przeznaczenia, ile zdołało wrócić?

Na suficie pojawiło się ledwo dostrzegalne światło. Wnętrze pokoju powoli się rozjaśniało. Wkrótce światło, stopniowo rozprzestrzeniające się po suficie, objęło całą jego powierzchnię. Nagle pomieszczenie przybrało barwę czystego błękitu. Widziałem, jak Bosfor drga na suficie. W tej samej chwili na ściany powróciła biel i rozpoczął się pochód kolorów. Do moich oczu dotarł widok dna cieśniny, kamieni pokrytych zielonymi glonami, połyskujących małży, zaspanych krabów. Po suficie przemknęły wargacze o mieniących się wielobarwnie łuskach, niemal czarne ślizgi i srebrne ateryny. Zapadłem w sen wśród szumu fal.

Obudził mnie nagły hałas. Łóżko trzęsło się z hukiem jak podczas trzęsienia ziemi.

Trzeszczały deski podłogi, szyby w oknach i drzwiach drgały. Z początku pomyślałem, że jakiś statek zboczył z kursu i uderzył w budynek. Gdy jednak doszedłem do siebie i podniosłem się z łóżka, zorientowałem się, że hałas dochodzi z dołu. Natychmiast zbiegłem na parter. Nie było tam widać nic nadzwyczajnego. Cały budynek jednak się trząsał, jakby go bombardowano. Ponadto na parterze hałas był jeszcze większy, a ze ścian zaczynał sypać się tynk. Zauważyłem, że kryształowy żyrandol chwieje się u sufitu, a lustro obija o ścianę. Wciąż nie potrafiłem zrozumieć, co się dzieje. Wydawało się, że ktoś wali młotem w podłogę i ściany, jakby jakiś niewidzialny szaleniec, zerwawszy się z łańcucha, próbował zniszczyć dom. Gdy minęło moje początkowe oszołomienie, pojąłem, że coś się dzieje w hangarze, gdzie przechowywane są łodzie. Tam bowiem znajdowało się epicentrum wstrząsów. Stamtąd też dochodził hałas. Pospiesznie zszedłem na przystań. Odcumowałem łódź i chwyciłem za wiosła. Gdy zbliżyłem się do wejścia, w zdumieniu ujrzałem, że to wielki delfin utknał w hangarze i wśród piany obija się między ścianami. Zwierzę musiało jakoś wpłynąć do budynku, który stopniowo zwężał się ku tyłowi, a teraz, próbując uwolnić się z tej ciasnej przestrzeni, zdesperowane machało ogonem na prawo i lewo i wzburzało wodę aż po sufit. Nagle uspokoiło się i skierowało głowę ku wyjściu. Gdy dotarło tam, gdzie robiło się głębiej, jego pewność siebie wzrosła. Nim wypłynęło z tego ciemnego miejsca, do którego trafiło, być może, w pogoni za ławicą pelamid, obejrzało jego pokryte glonami ściany i przegniłe belki dziurawego pomostu, nieużywanego od lat. Zdawało się szukać czegoś znajomego, może pięknych łodzi z dawnych czasów, pomalowanych na zielono albo na niebiesko, ozdobionych rysunkami i rzeźbieniami. Następnie zanurzyło głowę w wodzie i przepłynąwszy szybko obok mnie, znikło w błękicie Bosforu. Gdy wróciłem do pokoju i ponownie się położyłem, zacząłem myśleć o delfinie, który bawiąc się wśród fal i to wyskakując nad taflę wody, to ponownie nurkując, pływa po bezkresnym morzu Marmara i smakuje wolności, a jego skóra połyskuje w słońcu. Nim zapadłem w sen, wpatrzony w refleksy wody drgające na suficie w świetle dnia, zdecydowałem, że w drugim rozdziale opowiem o smutnym końcu, jaki spotkał pewnego jeńca wojennego.

W tym rozdziale dowiadujemy się,
jak kapitan Antonio Rizzo
dostał się do niewoli
i jaki smutny koniec go spotkał

Pierwsza kula wystrzelona z największego działa tej twierdzy zatopiła statek Antonia Rizza, płynący od Morza Czarnego. Kapitan został pochwycony na morzu i odesłany do Edirne, do tureckiego władcy, który wtrącił go do więzienia. Po czternastu dniach sułtan kazał go uśmiercić przez wbicie na pal.

Nicolò Barbaro, *Giornale dell'assedio di Costantinopoli 1453*

Kapitan Antonio siedział na pokładzie i obserwował brzegi przesuujące się po obu stronach statku. Nie zrzucił z siebie jeszcze ciężaru wina, którego poprzedniego wieczoru wypił odrobinę za dużo. Gdy był młody, poranne otępienie mijało mu zawsze od razu za sprawą świeżego powietrza. Teraz jednak, choć dawno zostawił za sobą zarówno młodość, jak i wiek średni, pozostaje tak optymistycznie nastawiony, że nie zauważa nawet, iż powodem zmęczenia jego ciała jest nie wino, lecz starość. Wciąż postrzega się tak, jakby miał dwadzieścia lat. Jest przekonany, że ze swoją równo przyciętą, gęstą brodą, w czarnym kapeluszu z piórkiem i w jedwabnej koszuli, wydętej wiatrem jak żagiel, zdoła jednym spojrzeniem oczarować najbardziej eleganckie prostytutki Galaty¹⁰ oraz piękną, kapryśną córkę najbogatszego bankiera z San Giacomo. Taki jest pewny siebie. W krótkich spodniach w biało-czarne pasy, w wysokich zamszowych butach sięgających do kolan i ze srebrnym sztyletem wysadzonym brylantami

przypomina raczej szambelana z Pałacu Dożów niż kapitana statku handlowego. Antonio Rizzo istotnie jest przystojnym mężczyzną. Postawnym, o jasnej cerze i pociągłej twarzy. Jego oczy skrzą się błękitnym światłem. Ma niewiele pasji, jedynie dwie: kobiety i morze. A właściwie – morze i kobiety. Spytacie, jaka to różnica. Rzecz jasna, kolosalna.

Morze było dla Antonia wszystkim. Matką, źródłem utrzymania, powiernikiem. Urodził się w Wenecji, w rybackiej chacie na Lido. Matkę stracił, gdy miał trzy lata, ojca – gdy skończył piętnaście. Wszystko, co miał w życiu, zyskał za sprawą morza: wyobraźnię, inteligencję i wyrafinowany smak. Dzięki morzu znalazł pracę. Także dzięki morzu uwolnił się od życia biednego rybaka, jakie wiódł jego ojciec. Wstąpił do gildii cieślów i zaczął pracować w stoczni, lecz wciąż marzył o wypłynięciu na morze. A to z kolei doprowadziło go do kobiet. Do bezlitosnych kobiet o jasnej skórze i szerokich biodrach. Z Aleksandrii, Galaty i Trapezuntu. Odkąd został kapitanem, we wszystkich portach, do których trafiał, we wszystkich tawernach, w których upijał się winem, i we wszystkich zajazdach, w których śpiewał, myślał tylko o jednym: o morzu. Nie była to obsesja – było to naturalne, uspokajające uczucie. Nawet starannie składane jedwabne koszule, rękawiczki i buty, które trzymał w skrzyni w swojej kajucie, nawet jego oczy miały barwę morza. Teraz gdy siedzi na pokładzie i patrzy na brzegi Bosforu, znów rozmyśla o morzu. Uświadamia sobie nagle, że się zestarzał i że nie pozostało mu wiele czasu, lecz zamiast planować ustatkowanie się i założenie rodziny, zamiast zastanawiać się nad znalezieniem innego zajęcia w Wenecji, zamiast pogrążyć się w zadumie nad swoją marną przyszłością, stawia przed sobą kielich – czy może raczej powinienem powiedzieć: kapelus! – i zaczyna myśleć o czerwonych ustach, ostrych zębach i jędrnych piersiach Nefeli. Uśmiecha się, bo wie, że morze znów wiedzie go ku kobiecie – tym razem najszczodrzejszej i najbardziej namiętej ze wszystkich.

Poznał Nefeli w Galacie w drodze do Trapezuntu, w tawernie, która dziwnym trafem nie śmierdziała winem. Natychmiast ustalili cenę na jednego dukata, po czym aż do świtu kochali się w pokoju, którego okna wyglądały na mały plac, porośnięty drzewami, gdzie zbiegały się uliczki schodzące do portu, oraz na Wieżę Chrystusa¹¹. Nie ulegało wątpliwości, że dał Nefeli wielką rozkosz. Inaczej nie pozwoliłaby zostać do rana klientowi, od którego wzięła jedynie dukata, lecz tak jak czyniła zawsze, jak najszybciej doprowadziłaby do końca, po czym wyгнаłaby go na ulicę pomiędzy szcękające w błocie psy. Antonio uśmiecha się z dumą mężczyzny, który potrafił uwieść nawet prostytutkę, śpiącą co dzień przynajmniej z kilkoma mężczyznami. Dziś wieczór odnajdzie ją bez trudu, tam gdzie ją zostawił, zanim wypłynął do Trapezuntu. Tym razem będzie się z nią kochał nie za pieniądze i oboje spełnią nawzajem swoje najskrytsze życzenia niczym dwoje stęsknionych kochanków. I zakocha się w Nefeli do szaleństwa. Wie bowiem, że ma ona o wiele więcej honoru niż niejedna kobieta ciesząca się większym poważaniem i że nie oddaje serca mężczyznom, którym oddaje ciało. Antonio do końca życia nie zapomni, jak pod nim jęczała, jak objęła go i najpierw wyszeptwała: „Kochany! Kochany!”, a potem nagle zaczęła drapać go po plecach i krzyczeć: „Mój byku... Mój dziki wenecki byku!”. Mężczyzna nigdy tak bardzo jak w owej chwili nie cieszył się z tego, że pływając po Morzu Śródziemnym od jednego do drugiego portu, nauczył się greckiego. Nigdy nie doznał tak wielkiej ekstazy, jak pod wpływem tych słów – *Tawraki mu!* – które wyszły z ust Nefeli, z jej głębokich, czerwonych ust. A przecież wiele kobiet gościło dotąd w jego życiu. Z niektórymi kochał się przez całą noc, z innymi tyle, ile trwał zachód słońca, z jeszcze innymi – tyle, ile zajmuje wypicie kielicha wina (a już chciałem powiedzieć: wypalenie papierosa). Do żadnej jednak nigdy się nie przywiązał; zawsze odchodził na drugi dzień i ruszał w dalszą drogę. W portach, do których zawijał, by rozładować statek i załadować go na nowo kolejnym towarem, dawał przyjemność spotkanym kobietom i brał od nich rozkosz. Żył niesiony prądem, jak

zblakany statek, który zerwał się z cum. Miotał się nieustannie – od miasta do miasta, od kobiety do kobiety. Bez przerwy gonił za najwspanialszymi tkaninami, za najdroższymi klejnotami, za najniebezpieczniejszymi przygodami. Pił najbardziej cierpkie wina i zjadał najostrzejsze przyprawę. Zawsze wiedział jednak, jak oczyścić się z brudu nocy i pokonać zmęczenie biesiadowaniem. I za każdym razem na nowo, z jeszcze większą, jeszcze głębszą pasją oddawał się kobietom. Zawsze gdy zbliżał do ust puchar z winem, odczuwał inny rodzaj pragnienia. Było to narastające w nim coraz bardziej pożądanie, podobne do tego, które czuł do bladego ciała Nefeli, przyciągającego go do siebie i obejmującego go całego. Jakże mógł przypuszczać, że owa czarnowłosa Bizantyjka okaże się niepodobna do wszystkich innych kobiet, że będzie chciał spotkać się z nią ponownie i pozostać przy niej i że tak trudno będzie mu zapomnieć jej zmierzwiłone w łóżku włosy, jej nogi naprężające się, gdy zbliżała się do spełnienia, to, jak niczym wartko płynąca rzeka nie poddawała się od razu, a przede wszystkim jej nagie ciało! Teraz jednak, obserwując Bosfor ze skrzyni stojącej przed mostkiem, nie ma wątpliwości, że ramiona Nefeli obejmą go jeszcze jak niepokonane mury opasujące Konstantynopol. Tego wieczoru, gdy spotkają się ponownie po wielomiesięcznej rozłące, jego życie całkowicie się zmieni. I nigdy już się nie rozstaną.

Statek złapał wiatr w żagle i płynął pewnie po Bosforze w stronę morza Marmara z łopoczącą na maszcie wenecką banderą z wizerunkiem lwa, lecz nagle – gdy żaglowiec minął pewien cypel – pomyślny los odwrócił się od Antonia. Kapitan wzdrygnął się, jakby przebudził się ze snu. W zdumieniu spoglądał na wyrastające przed nim wieże. W pierwszej chwili nie wierzył własnym oczom. Nie minęło wiele czasu, odkąd wypływał tędy na Morze Czarne. Wówczas jednak na tym zboczach nie było nic oprócz porośniętych perzem ruin klasztoru. Drzewa wtedy rozkwitały, zaczynała się wiosna. Słońce padało na mury twierdzy stojącej na przeciwległym brzegu oraz na lufy rdzewiejących już, bo od dawna nieużywanych armat. Oświetlało broń strażników pilnujących przystani, nurkujące co chwila pod wodę kormorany i białe skrzydła mew krążących wśród krzyków wokół masztów statku. Panowały tu spójność i harmonia. Twierdza, strażnicy, morze i ptaki – wszystko było piękne wśród łagodnej wiosny. Antonio spojrzął na porośnięte kwiatami wzgórza na lewym brzegu i odetchnął z ulgą, uznawszy, że jeśli któregoś dnia wybuchnie wojna z Turkami, Bosfor i tak pozostanie otwarty, a gdyby nawet go zamknięto, blokada nie będzie dotyczyła weneckich okrętów handlowych. Pokój był naprawdę czymś wspaniałym. Wenecki kapitan nie bał się ani piratów, ani sztormów. Wojna to było jednak coś innego. Podczas wojny ludzie umierali, statki tonęły, miasta i zamki obracały się w ruinę, kobiety były gwałcone, niemowlętom podryzano gardła, domy rabowano, a krew nieustannie lała się strumieniami. Być może niektórzy smakowali w takim okrucieństwie i zabijanie ludzi uznawali za cnotę. Być może wojna była koniecznością, kwestią honoru czy nawet sztuką. Nie była jednak czymś naturalnym. W oczach Antonia naturalne były spienione fale, smak wina i kobiet oraz przyjaźń. Właśnie tak: wszyscy ludzie, kobiety i mężczyźni, przychodzą na świat nie po to, by się mordować, lecz po to, by zaznawać przyjemności. Widok fortecy Boğazkesen, która w ów listopadowy dzień stanęła przed Antoniem nieoczekiwanie niczym smok, nie wróżył więc nic dobrego i wyrwał kapitana z przyjemnego rozmarzenia.

Natychmiast zerwał się na równe nogi i ostrzegł sternika. Na statku zaczęła się chaotyczna bieganina. Załoga chwyciła za wiosła, a starsi żeglarze rzucili się do lin. Krzyk Antonia, rozkazującego rozwinąć wszystkie żagle, został stłumiony przez potężny odgłos armatniego wystrzału, podobny do grzmotu. Załoga w przerażeniu obserwowała kamienną kulę, która wirując, leciała w powietrzu w stronę statku. Żaden z jej członków nigdy dotąd nie widział tak wielkiego i tak szybko poruszającego się pocisku. Wszystkich złał nagle zimny pot. Kula przeleciała ledwie pięćdziesiąt metrów nad masztem, po czym spadła do wody tuż obok bakburty statku.

Antonio zrozumiał, że to nie są żarty. Sam przejął ster, w nadziei, że przed kolejnym wystrzałem uda mu się wypłynąć poza zasięg działa. Koniecznie musiał wyjść z tego cało i jak najszybciej znaleźć się w Galacie. Nie po to, by dostarczyć prowiant cesarskiej armii, lecz po to, by nie wpaść w ręce Turków. Wiatr i prądy stały na szczęście po jego stronie. I nie tylko one – także Chrystus. Chrystus i Maryja – oboje wspierali Antonia. Nagle poczuł niemal w samym sercu obecność Boga, którego imienia nie wspominał nawet w najcięższych chwilach. A więc Bóg przychodzi w tym dreszczu, który obejmuje duszę i wprawia w drżenie całe ciało. Nie w grzmotach na niebie ani w rozstępującym się morzu, lecz w tym głębokim spojrzeniu, które można dostrzec na złotych mozaikach bazyliki Świętego Marka. Antonio przypomniał sobie słowa Nefeli: „Wy, katolicy, jesteście gorsi od Turków. Ani wasza wiara, ani wasze tradycje w niczym nie przypominają naszych. To, jak patrzycie na Chrystusa, też jest bardzo dziwne!”. Antonio odparł, że nie ma czasu na Boga, i zażądał od niej, by wyrzuciła ikonę z Matką Bożą, która stała przy jej łóżku. Teraz uznaje, że powodem tego nieoczekiwanego nieszczęścia, które na niego spadło, jest pogarda okazana owej ikonie, i zaczyna żałować swoich słów. Natychmiast jednak zbiera się w sobie. Pragnąc podnieść na duchu żeglarzy, którzy za wszelką cenę starają się nie puścić wioseł, krzyczy: „Dalej, moje lwy! Dalej, śmiałkowie! Kiedy dopłyniemy do Galaty, urządzę dla was ucztę!”. Jednak w tym samym momencie, w którym kapitan wypowiada słowo „ucztę”, w sam środek statku uderza druga kula. I gdy grotmaszt wali się z hukiem jak wiekowy platan rażony piorunem, kapitan z trudem rzuca się z mostku do morza.

Po wyłowieniu z wody kapitana Antonia Rizza wraz z Nicolem, sekretarzem wyprawy i jedynym synem Domenica di Maestriego, oraz piętnastoma członkami załogi strażnicy zaprowadzili ich przed dowódcę zamku Firuza Ağę. Ten, na wyraźne polecenie sułtana, odesłał wszystkich do Edirne. Gdy stanęli tam przed obliczem Mehmeda, byli zmęczeni i głodni, lecz przepełnieni nadzieją, która rosła stopniowo przez całą drogę i ogrzewała ich stroskane serca. Skoro Turcy nie zabili ich od razu, ich życiu nie groziło chyba żadne niebezpieczeństwo. Usłyszawszy ponadto, że ambasada Wenecji w Konstantynopolu wysłała pospiesznie do pałacu w Edirne urzędnika nazwiskiem Fabrizio Corner, uspokoili się, utwierdzeni w przekonaniu, że znajdują się pod opieką Republiki Weneckiej, najsilniejszego państwa we wschodniej części Morza Śródziemnego. Gdy jednak kapitan Antonio zobaczył w oczach padyszacha przerażający gniew, zrozumiał, że wszystko skończone. Słyszał, że Mehmed jest młodym i porywczym władcą, ale nie spodziewał się, że może wpaść w tak głęboką i tak szybko narastającą furję. Czuł, jakby stał nie przed obliczem głowy państwa osmańskiego, lecz oko w oko z drapieżnym tygrysem, gotowym w każdej chwili rzucić się na ofiarę, czy z myszołowem, z którego szponów nie ma już ratunku.

Sułtan dłuższą chwilę lustrował zakuty w łańcuchy jeńców i jego blada twarz coraz bardziej czerwieniała z gniewu. Nagle zatrzymał spojrzenie na Antoniu. Nakazał kapitanowi gestem, by się do niego zbliżył. Antonio przez moment się wahał. Wpatrywał się z lękiem w purpurową twarz Mehmeda. Usta władcy drżały, a jego oczy płonęły, odcinając się od białego turbanu. Przybrawszy pozę rozwścieczonego, sapiącego byka, spytał:

– Czy towary z twojego statku były przeznaczone dla wojska Konstantyna?

Kapitan skinął głową i więcej już nie spojrzał w twarz sułtana. Gdyby to zrobił, dostrzegłby, że padyszach nieco ochłonął, a na jego ustach, tuż pod garbatym nosem, pojawił się delikatny uśmiech. Kiedy już oddzielono go od pozostałych i wprowadzano z sali, Antonio odwrócił się i zobaczył, że Nicolo został rozkuty i padł na podłogę przed tronem, a Mehmed okazuje mu nadzwyczajne zainteresowanie, pochyla się nad nim i głaszcze go po głowie. Kapitan zaczął nagle ubolewać nad tym, że nie jest tak młodym i gładkim chłopcem jak Nicolo. Po chwili jednak odrzucił tę niesmaczną myśl. Prowadzony przez strażę, wyszedł z pomieszczenia

z uniesioną głową. Tego samego dnia wyprawiono go razem z padyszachem w drogę do Didimoticho. Gdy dotarli na miejsce, Antonio się dowiedział, że Fabrizio przybył tam wcześniej i poprosił sultana o audiencję. Uśmiechnął się więc, sądząc, że po raz kolejny uszedł z rąk śmierci.

Nazajutrz rano dwaj janczarzy zaprowadzili Antonia z jenieckiego namiotu do miejsca, w którym stał namiot władcy. Rozkuli go. Postawny żołnierz z dużymi, podkreślonymi wąsami przekazał go dowódcy gwardii sultańskiej, a ten z kolei Cyganowi, nieopuszczającemu go na krok. Cygan rozkazał gwardzistom, by położyli kapitana twarzą do ziemi, po czym powrozem, wydobytym z kieszeni, ciasno związał mu ręce za plecami. Gdy Antonio leżał tak, bezradny i skrępowany, w obozie zaczęło się jakieś poruszenie. Żołnierze śmiali się i głośno żartowali. Po niedługim czasie kapitan zobaczył janczara zbliżającego się do niego z długim kawałkiem drewna w ręku, podobnym do włóczni. Zakończony był naoliwionym żelaznym kolcem, a w połowie długości miał deseczkę w kształcie półkola.

Cygan jednym ruchem rozerwał pomięte w wielu miejscach pasiaste spodnie, których Antonio nie ściągał od wielu dni, po czym rozpiął pospiesznie guziki jego wciąż lśniącej błękitnej koszuli i założył ją na siebie. Jedwabna koszula była na niego o wiele za duża. Podwinął więc jej rękawy i wcisnął ją do spodni; wygiął bezzębne usta w szyderczym uśmiechu i ziewnął. Mógł już przystąpić do pracy. Kapitan leżał twarzą do ziemi w podartych spodniach i nagi od pasa w górę, a przez głowę przechodziły mu myśli o przeróżnych potencjalnych nieszczęściach. Nie dotarło jeszcze do niego, co zamierzają mu zrobić żołnierze. Nawet nie myślał o śmierci. Wtem uświadomił sobie, że przecież za chwilę umrze. Znowu napotkał spojrzenie Chrystusa. Tym razem nie spoglądał na niego z mozaik w bazylice Świętego Marka, lecz z malowidła na ścianie tego małego bizantyńskiego kościółka, na który natknął się pewnego wieczoru, gdy wyszedł z Pałacu Porfirogenetów na spacer wzdłuż murów Konstantynopola. Jezus rozkładał tam ręce na boki. Po jego prawej stronie stała Maryja, a po lewej znajdował się święty Jan. Jego spojrzenie było bezlitosne. Rzeka ognia wypływająca spod jego stóp niosła grzeszników do piekła. Błękitnoskrzydłego anioła, który zwijał nieboskłon wraz ze słońcem i księżycem, niemal nie było już widać. Ludzie niesieni rzeką ognia byli całkowicie nadzy. Szyje skuwały im ciężkie łańcuchy. Ogień zaś, który palił ich ciała, nie miał sobie równych na ziemi.

Antonio chciał się przeżegnać. Przypomniawszy sobie jednak, że ma związane ręce. Gdy odwrócił głowę i już miał wypowiedzieć to ostatnie życzenie do Cygana, gwardziści wbili mu pal w odby. Przez chwilę nie zdawał sobie sprawy, co go spotkało. Wcisnął w ziemię twarz, skrzywioną w grymasie bólu, i zaczął błagać Boga, by jak najszybciej odebrał mu życie. Gdy Cygan dobił pal młotkiem, Antonio ponownie poczuł ból przeszywający całe ciało, tym razem jeszcze intensywniejszy. Nie mógł złapać tchu. Cygan przyjrzał się bacznie, jak skierowany jest naoliwiony żelazny kolec, i uderzył w pal po raz kolejny, tak by nie uszkodzić żadnego narządu. Antoniowi pociemniało w oczach, a pot, który spływał mu z czoła, zmiękczył zmrożoną o poranku ziemię. Dalej już nic nie pamiętał.

Gdy odzyskał przytomność, uświadomił sobie, że niczym przyszpilony motyl został nabity na pal, który przechodził przez całe jego ciało i wydostawał się na zewnątrz przez prawe ramię. Na wpeł nieprzytomny, wisiał, lekko pochylony do przodu, na wbitym w ziemię palu na wysokości około metra. Na początku poczuł się niebywale spragniony. Gdy mgła przesłaniająca mu oczy nieco się uniosła, zobaczył, że obóz został zwinięty i dookoła nie ma nikogo. Był więc zupełnie sam pod błękitnym niebem przy drodze wiodącej do Konstantynopola. Nikt nie poruszał się traktem, ani konno, ani pieszo. Słońce chyliło się ku zachodowi. W dali, tam gdzie kończyły się szumiące na wietrze topole, zaczynały się pola uprawne. Antonio zdał sobie sprawę, że czas pokoju dobiegł końca, że na ziemiach Tracji, rozciągających się tu jak okiem sięgnąć, nie będzie

już żniw, że kule podobne do tej, która zatopiła jego statek, niedługo zaczną uderzać w bizantyńskie mury. Ciało mu zdrętwiało, ręce i nogi zaczęły marznąć. Z jakiegoś powodu nie odczuwał wielkiego bólu. Pal wydawał mu się częścią ciała, czymś wprawdzie niepożądanym i obcym, co jednak wkrótce będzie mógł zaakceptować. Życie było blisko, na wyciągnięcie ręki. Ziemia, topole, wiatr i słońce. Wszystko miało własną barwę, było na swój sposób realne.

Nagle zatęsknił za morzem. Wyobraził sobie, że wpływa do portu w Galacie. Żagle były zwinięte i statek powoli przybijał do nabrzeża. Ze swoimi kolumnadami, pałacami i lśniącymi w słońcu kopułami miasto zdawało mu się panną młodą przystrojoną w brylanty. Zobaczył, jak Nefeli idzie do niego z oddali, niewinna niczym młoda dziewczica. Na palcu miała złoty pierścionek.

– Wiem, że poślubiłeś morze – wyszeptwała. – Ale spójrz, wyłowiliśmy obrączkę, którą rzuciłeś do wody, i założyłam ją sobie na palec.

Było to w Wenecji. Obserwował miasto znad złoconego nadburcia Bucentaura¹². Statek przepłynął przez kanał Giudecca i sunął naprzód wzdłuż Pałacu Dożów. Ulice wypełnił gwarny tłum ludzi odzianych w wielokolorowe stroje, którzy udawali się na zabawę. Gondole niczym kormorany to wznosiły się nad wodę, to nieco opadały. Dźwięk kościelnych dzwonów mieszał się ze śpiewem marynarzy i wszędzie czuło się aromat przypraw dochodzący ze sklepów w La Mercerie. Antonio był sam na mostku spowitego w czerwone aksamity Bucentaura, który zdawał się sunąć nad spokojną wodą, nie dotykając jej powierzchni, niczym legendarny ptak. Zamiast dołączyć do tłumu i ruszyć na poszukiwanie kobiet, Antonio płynął statkiem republiki ku fortowi Sant'Andrea. W niedługim czasie znalazł się na morzu, pozostawiwszy w tyle rybacką chatkę, w której się urodził.

– *Desponsamus te, mare nostrum!* – wykrzyczał na wiatr, wrzucając do morza ścisną w dłoni złotą obrączkę.

Wiatr zaniósł jego głos w najdalsze zakątki ziemi, aż za bezkresną pustynię, o której pisał Marco Polo.

Antonio zauważył, że jego pragnienie staje się coraz trudniejsze do zniesienia, a ciało zaczyna trawić gorączka. Zupełnie już czerwone słońce wisiało tuż nad topolami. Zapadał zmierzch. Nagle kapitanowi pociemniało w oczach. Czerwień słońca przesłoniła mu pole widzenia i zmieniła się w ogień, obejmujący cały świat. A potem wszystko znikło; kolory stopniały i spłynęły w nicość. Kapitan Antonio Rizzo nie widział już, że gdy wydawał z siebie ostatnie tchnienie, nabity na pal, który przeszywał jego ciało na wskroś, przyglądali mu się w przerażeniu Fabrizio Corner, wysłany przez ambasadę Wenecji, oraz kronikarz Genuńczyków Dukas, wracający do Konstantynopola z audiencji u sułtana Mehmeda.



Jako że nic nie wiedziałem o weneckim kapitanie, którego konającego na palu widział bizantyński historyk Dukas, uznałem za konieczne wymyślenie dla niego biografii. Nie była to jednakże historia, którą wcześniej zaplanowałem i zaprojektowałem w szczegółach od początku do końca. Nie będę, rzecz jasna, twierdził, że napotkałem trudności podobne do tych, z którymi mógłby borykać się szewc czy inny rzemieślnik przystępujący do pracy bez uprzedniego wzięcia miary. Historia powstawała w miarę pisania i zakończyła się, nie rozrósłszy się zanadto ani nie wypuściwszy zbyt wielu odrośli. W księgach historycznych nie napotkałem bowiem żadnych zapisów poza tymi, które mówiły, że statek Rizza zatopiły pociski wystrzelone z twierdzy Boğazkesen oraz że sam kapitan został nabity na pal. Konstruuąc w wyobraźni jego postawną sylwetkę, urodę, zamiłowanie do przyjemności i cechy charakteru, usiłowałem także przedstawić sobie jego przedwcześnie zakończone życie oraz zbadać wrażenia, jakie owo życie na mnie wywierało. Jednak nie do tego stopnia, by stwierdzić, że poczułem we własnym ciele ból pala przeszywającego Rizza. Chciałem wszakże podtrzymać pamięć o weneckim kapitanie i za pomocą tej opowieści, która miała się zakończyć w sposób nieznany nawet mnie, choćby w niewielkim stopniu zrównoważyć ową niesprawiedliwość, jakiej zaznał od losu. Gdy kreślę teraz te zdania, słyszę szum wielkiego platanu stojącego w ogrodzie za domem. Wrześniowy wiatr jest zdolny poruszyć jedynie najcieńsze pędy u samego szczytu drzewa. Otoczony przez gałęzie wyrastające z konarów, które okalają z kolei dziuplę, przypominającą wejście do jaskini, pień, z korzeniami wpuszczonymi daleko w głąb ziemi, stoi prosto. Prosto i niewzruszenie. Chciałbym, by *Boğazkesen*¹³ była opowieścią tak samo solidną, tak samo głęboko zakorzenioną i tak samo rozrośniętą, jak ów platan, pamiętający dni świetności państwa Osmanów. Niemożliwe jest jednak, bym dorównał siłom natury, które każdej gałązce, każdemu liściowi dostarczają właściwej ilości wody. Bohaterowie niniejszej opowieści przepadną któregoś dnia, znikną niczym liście, które opadły nie w porę. Szczęśliwie jesień dopiero się zaczyna. Do listopada jeszcze sporo czasu. Wiele jeszcze pięknych, słonecznych dni do przeżycia, wiele historii do spisania.

Historycy zanotowali, że prowadzącego dziennik pokładowy Nicola oraz pozostałych członków załogi oszczędzono i włączono do orszaku sułtana. Wyobraziłem sobie, że przez cały okres panowania Mehmeda Nicolò prowadził tajne zapiski i że na ich podstawie mógłbym opisać zarówno prywatne życie pałacu oraz samego sułtana, jak i lata młodości Rizza. Perspektywa

Nicola nie mogłaby jednak stać się moją. Zresztą nie byłbym zdolny postawić się na miejscu weneckiego młodzieńca, który w 1452 roku nie ukończył jeszcze nawet szesnastu lat. Tak samo jak nie potrafiłbym się postawić na miejscu Rizza, sułtana Mehmeda ani innych osób, które muszą dźwigać tę opowieść wraz ze swoimi losami. Cóż w takim razie mógłbym zrobić? Jak pokonać owe przeszkody? Te i podobne pytania zaprzętały mi umysł, a trudności, których – jak sądziłem – nie zdołam przezwyciężyć, skutecznie odpędzały ode mnie sen, gdy nagle ujrzałem twierdzę lśniąca w świetle poranka. Pisałem zatem całą noc.

Mgła opadła i moim oczom ukazały się okrągłe baszty na przeciwległym brzegu, łączące je kamienne mury, stojące przy nich wybudowane naprędce domy oraz nowoczesne wille, sąsiadujące z drewnianymi konstrukcjami. Nad wszystkim górowały drzewa – płaskie jak w teatrze cieni.

Zawsze tak się dzieje, nie wiadomo dlaczego. W porannym słońcu twierdza zbliża się na wyciągnięcie ręki. Po południu, gdy słońce przetacza się nad Bosforem i zaczyna zniżać nad przeciwległym brzegiem, światło się zmienia. Kolory powoli blakną. Znad wody unosi się dziwna para. Twierdza staje się niemal niedostrzegalna. Zaczynam wówczas niecierpliwie czekać na kolejny ranek, gdy stanie przede mną ponownie niczym dżin wychodzący z magicznej lampy Aladyna. A gdy tak czekam, powieki powoli mi się zamykają. Mogę wtedy poddać się pod ciężarem popołudniowego snu. Niech świadectwo Nicola, jedynego syna nieboszczyka Domenica di Maestriego, pozostanie na inny dzień.

Gdy się przebudziłem, nie dostrzegłem na suficie pomarańczowego światła, które zawsze padało nań spomiędzy zasuniętych stor, nie! W pokoju było ciemno. Nie słyszałem też odgłosów statków, których ruch wzmagął się po zmroku. Ciemność rozciągała się od podłogi aż po łóżko i wznosiła ku biurku. Zobaczyłem ścianę. Nie była na swoim miejscu. Podobnie biurko; odpływało wraz z zalegającymi na nim papierami. Zwlekałem trochę z podniesieniem się z pościeli. Na zewnątrz było jasno. Z jakiegoś powodu jednak światło zatrzymywało się na zasłonach i nie przenikało do wnętrza. W ciemności, której źródeł nie umiałem wyjaśnić, przedmioty i meble zdawały się odsuwać od siebie. Stół, krzesło, budzik stojący na biblioteczce. Spostrzegłem, że tarcza zegara pozbawiona jest wskazówki godzinowej. Pomyślałem o samotności tej, która wskazywała minuty. O obiektach uzupełniających się nawzajem, obiektach, które nie są w stanie istnieć bez swojej pary, które przestają spełniać swoje funkcje, gdy od tej pary zostaną oddzielone. Jak igła i nić, broń i amunicja, młotek i gwóźdź. Myślałem też o ludziach, o słynnych kochankach. O Lajli i Madżnunie, o Romeo i Julii, o Keremie i Asly, o Chosrowie i Szirin. O kobietach i mężczyznach. Wciąż jednak samotność wskazówki minutowej była czymś innym, przerażającą sytuacją, na którą z pewnością nie mogło być zgody. W jednej chwili zapragnąłem wyrzeć na zewnątrz zza zasuniętych stor, by zorientować się, która jest godzina. Ociągałem się jednak ze wstaniem z łóżka i ponownie zapadłem w sen.

Gdy się przebudziłem, odnalazłem pomarańczowe światło na swoim miejscu na suficie. Wstałem i rozsunąłem story, a wówczas sypialnię wypełniły wielobarwna jasność bijąca od słońca znikającego za basztami twierdzy oraz syrena statku, który właśnie, zgodnie z rozkładem, równo o 19.20 przybijał do przystani. Ucieszyłem się, widząc, że czas i kolory powróciły. Forteca pozostawała w powolnym ruchu wraz z drgającą powierzchnią wody, falowała niczym nieco za duża szata, w jaką odziano więźnia skazanego na śmierć. Byłem niemal w stanie dostrzec pojedyncze cegły wież i kamienie, którymi naprawiono mury – tak wyraźne, że można by powiedzieć, iż przypominały ciało bladej kobiety opadłe na dno ciemnej wody. Nagle uświadomiłem sobie, że od wielu dni nie dotykałem kobiecego ciała. Ciekawe, co robiła teraz moja żona. Poczulem jakby ciężar na sercu i aby nie zacząć tęsknić za Paryżem, zapragnąłem natychmiast oddać się pracy, nie myśleć już o niczym prócz *Boğazkesen*. Tej nocy, tak jak

zawsze, moje miasto zapewne było skąpane w światłach. Moja żona spacerowała nad Sekwaną i obejmowała, być może, nowego kochanka, podczas gdy ja siłowałem się ze słowami w najmniejszym pokoju tej starej rezydencji. Naumyślnie nie zapaliłem lampy. Nocą nie drga nawet listek. Nie ma ani przepływających statków, ani cykad, które za dnia wypełniają swoją pieśnią cały ogród. Pozostaję w całkowitej ciszy. Jestem kimś bez przeszłości i przyszłości, biesem. Mieszkańcem nadmorskiej rezydencji przebywającym na wygnaniu w samym sobie, we własnej wyobraźni.

Chciałem, by przybyła do mnie sułtańską łodzią. Jej burty, jak w czasach świetności imperium, połyskiwałyby złotem, u jej steru stałby haremowy eunuch o szerokich wargach, na jej dziobie umieszczono by srebrnego orła, który to zanurzałby się pod wodę, to wzbijał ponad nią ze zwinnością mewy, a w tym samym rytmie poruszałyby się w górę i w dół śniade twarze wioślarzy stojących na jej pokładzie oraz wypełnione puchem poduszki w namiocie o atlasowych zasłonach, zakończonych frędzlami ze złotych nici. Schodząc z łodzi, która w świetle księżyca przybiłaby do przystani należącej do rezydencji, odziana byłaby w długą suknię, podkreślającą kształt jej ciała, i atlasowe pantofle ze spiczastymi noskami; wiatr rozwiałby cieniutką chustę, którą zakrywałaby twarz, i przez moment spozjrzałaby na mnie oczami czarnymi jak węgiel. Ja poczułbym w sobie, w głębi swojego jestestwa, siłę jej spojrzenia, przepelnionego pragnieniem, i przeszedłby mnie dreszcz ekscytacji na myśl o naszej sekretnej schadzce. Tymczasem przybyła do mnie innego wieczoru w porze kolacji. Zapukała nie do drzwi sypialni, lecz do furtki ogrodu. Przeszedłem przez salon i szybko zbiegłem po schodach. Kiedy byłem w ogrodzie, na chwilę straciłem pewność. A co, jeśli się przesłyszałem? Nie było słychać nic prócz szumu liści. Gdy już miałem wracać, odezwała się żelazna kołatka świeżo naprawionej drewnianej furtki. Stukała uparcie, tak jakby wiedziała, że ktoś na pewno jest w domu. Uznałem, że nieco dziwne by było, gdybym po prostu spytał: „Kto tam?”, lecz nie potrafiłem się zmusić, by od razu otworzyć furtkę. A jeśli to złodziej? Byłem na tyle zdezorientowany, że nie przyszło mi do głowy, iż złodziej nie pukałby do domu, który miałby zamiar obrabować. Oczekałem chwilę. Następnie, powodowany nagłą decyzją, otworzyłem furtkę. Naprzeciw siebie ujrzałem opaloną drobną kobietę, ubraną na białło. W ciemności nie potrafiłem dostrzec ani rysów jej twarzy, ani koloru oczu.

– Zdaje się, że przeszkodziłam – odezwała się zakłopotanym głosem. – Szukam Alego i Sumru.

– Wrócili do Paryża.

– Nie będę w takim razie wchodzić. Proszę przekazać im moje pozdrowienia. Jestem Deniz, koleżanka Sumru z liceum.

– Proszę wejść, zjemy razem kolację.

Chwilę się zastanawiała. Reflektory samochodu, który przejechał ulicą, oświetliły jej twarz. Dwoje błękitnych oczu zabłysło przez moment jak latarnie morskie. Nagle sobie przypomniałem: gdy opalaliśmy się na nabrzeżu, słyszałem, jak Sumru opowiada mojej żonie o swojej koleżance Deniz, lecz owa opowieść nie przykuła wówczas mojej uwagi. „Ma błękitne oczy, które od razu cię oczarują – mówiła. – Znamy się z liceum. Urocza dziewczyna. Po puczu w 1971 roku na jakiś czas trafiła do więzienia”.

– Jestem tu sam – nalegałem. – Proszę zostać dziś moim gościem.

– Zaszłam tylko po drodze... Wracam z Kanlicy, mieszka tam moja ciotka...

– Proszę wejść.

– Ale nie zostanę na kolację. Napiję się czegoś i pójdę.

Została nie tylko na kolację, lecz także na noc. Teraz gdy wspominam jej jędrne ciało, spalone sierpniowym słońcem, i czułe słowa, które szeptała mi na ucho, kiedy w ciemności brałem ją w posiadanie, żałuję, że nie powstrzymałem jej przed wejściem na pokład pierwszego

porannego statku – być może dlatego, że od tak dawna nie kochałem się w swym ojczystym języku. To uczucie, którego doznaję po raz pierwszy. Dotąd wystarczało mi pisanie. *Boğazkesen* stała się dla mnie jedyną racją bytu. Tymczasem kiedy Deniz odeszła – a nie przywiązywałem do tego wówczas zbyt dużej wagi, gdyż myślałem jedynie o tym, że chcę zostać sam i usiąść przy biurku, a co gorsza, dałem jej to odczuć – poczułem w sercu dziwny ból. Nie, nie było to tak, jakbym stracił nagle część siebie. Wiedziałem, że szybko zapomnę jej opaloną skórę i wilgotne usta, jej nieobecność. Jakże jednak mogłem przypuszczać, że zakazane słowa, które wyszeptywała, ba! wykrzykiwała mi do ucha jedno za drugim, jakby to były wyścigi, przez całą noc, kiedy z niej nie wychodziłem, tak mocno zapadną mi w pamięć i w najmniej oczekiwanych momentach będą sływać mi na pióro. Gdy odeszła, zacząłem kręcić się po pokoju jak ranne zwierzę zamknięte w klatce. Następnie poszedłem do salonu, stamtąd zszedłem na parter, potem na przystań, by wreszcie wrócić do ogrodu. Przez jakiś czas, wtulony w pień starego platana, krzychałem na całe gardło takim tonem, jakim w dzieciństwie wykrzykiwałem często tureckie przekleństwa, słowa wywołujące wulgarne skojarzenia. Mimo to jednak nie wydostałem się zza żelaznych prętów klatki więżącej moje pożądanie. Gdy ponownie zasiadłem za biurkiem, pojąłem, że jarzmo zostało nałożone nie tylko na me ruchy, lecz także na słowa, i że z własnej woli zacząłem otaczać wysokim murem swe życie, które uwięziłem w pokoju z wykuszem w zabytkowej rezydencji. Jako że nie mogłem spisać słów, które Deniz wykrzykiwała mi do ucha w tę noc, rozświetloną błękitem jej oczu, jałem kreślić historię Czandarlego Halila, na własny rozkaz stawiającego mury swojego lochu.

W tym rozdziale dowiadujemy się,
jaki koniec spotkał wielkiego wezyra Czandarlego Halila Paszę

Powiedziano im, by brzuch ryby napełnili złotymi monetami, więc tak uczynili. I posłali rybę do Halila Paszy. [...] Halil zaś zjadł rybę, a zawartość jej trzewi umieścił w kufrze. [...] A w środę przyszli do niego i pojmali go wraz ze sługami i paziami, i wtrącili do więzienia. Długa jest ta opowieść, lecz ja – wasz uniżony sługa – przedstawiam ją tylko skrótowo. Jasny jest bowiem jej morał. Taki był koniec Halila Paszy.

Aszykpaszazade, Tewarihi Ali Osman

Healo he polis!

Gdy wśród tłumu uciekającego w przerażeniu w kierunku Hagii Sophii Halil usłyszał ten szept, tę cicho szeptaną na ucho wieść, która po chwili stała się krzykiem, wołaniem narastającym niczym głos przeznaczenia zapowiadający dzień sądu, był sam w swoim namiocie. *Healo he polis!* Pojął w tej chwili, że wszystko skończone, że tak naprawdę to nie miasto, lecz on jest stracony i że wraz z upadkiem Bizancjum upadnie też jego ścięta głowa. Nie tracąc zimnej krwi, czekał na gwardię sułtana. Wiatr wypełniający wnętrze namiotu zapachem krwi i prochu oraz pyłkami wiosennych kwiatów poruszał płomieniem świecy, która stała obok niego, i cienie porzrzucanych po stole map, pieczęci i papierów rysowały na ścianach przeróżne kształty. Przez jakiś czas zastanawiał się nad możliwością ucieczki z kilkoma zaufanymi ludźmi. Wkrótce jednak uznał, że mu to nie przystoi. Pochodził z rodu, który bardzo zasłużył się dla państwa osmańskiego i faktycznie rządził nim od momentu jego powstania. Ród Czandarlych od stu pięćdziesięciu lat stanowił rozum i prawo imperium; mechanizm, dzięki któremu państwo funkcjonowało. Nie mógł porzucić tego wszystkiego i wymknąć się niby złodziej, choćby dla ratowania życia, choćby dla niego osobiście to ogromne zwycięstwo miało okazać się najdotkliwszą porażką, najboleśniejszym rozczarowaniem. Nie miał innego wyjścia, jak tylko przyjąć czekający go koniec. Tak przystoi temu, kto nosi przydomek Czandarly. Jako najstarszy

i najbardziej poważany członek rodu, który utożsamiał się z państwem, musiał zaakceptować nawet śmierć, jeśli owo państwo nakazywało ją ponieść; podać katowi własną głowę niczym dar, ba! zrobić to tak, jakby wypełniał święty obowiązek, i umieć do tego podziękować państwu za ową możliwość.

Na tyle więc starcza siły Turkmenom, dotąd sięga ich panowanie. Odtąd Osmanowie będą polegać na dewszirme. Na Zaganosie, na Szehabeddinie¹⁴, a nawet na tym łotrze Mahmudzie¹⁵. To oni wygrali. Halil był już zmęczony. Zestarzał się. I odkąd umarł Murad, za nic nie potrafił przekonać dywanu do bardziej pokojowej polityki. A przecież robił to, co uważał za słuszne, i stawiał dobro państwa ponad wszystko. Bezpieczeństwo imperium było dla niego ważniejsze niż własne korzyści. Zatrzymał się na dłużej nad tą ostatnią myślą, która pojawiła mu się w głowie. Czy rzeczywiście tak było? Czy naprawdę nigdy nie myślał o zyskach dla siebie? Jak wobec tego dorobił się takiego majątku? Czy gdy powierzał swoje pieniądze bankierom z Galaty, gdy stawał się właścicielem coraz to nowych nieruchomości, gdy łapczywie odbierał kolejne dary od bizantyńskiego cesarza, gdy zjadał ryby, a ukryte w nich złoto chował w skrzyniach – czy wtedy też myślał o dobru państwa? Halil uciekł przed szukaniem odpowiedzi na to pytanie, przed rachunkiem sumienia. Zdmuchnął świecę, licząc, że uspokoi go ciemność. Z oddali wciąż dochodziły odgłosy walk; brzęk mieczy mieszał się z hukiem walących się murów. Czekał tak na straż do samego rana, nie myśląc o niczym i nie wspominając szczęścia ani cierpienia, dobrych ani złych uczynków, które popełnił w życiu.

Gdy rozległ się dźwięk porannego ezanu, a słońce zaczęło wznosić się nad horyzont, nadeszła wiadomość, że padyszach zezwolił na plądrowanie miasta przez trzy dni. Halil odczuł w głębi serca lekki ból. Bizancjum upadło, wspaniały orzeł Wschodniego Rzymu skłonił głowę przed Osmanami. Janczarom naturalnie przysługiwało prawo do grabieży, lecz Mehmed i tak nie powinien na to pozwolić. Miasto miało stać się targowiskiem, na którym przekupnie będą wydzierać sobie z rąk srebrne krzyże, złote puchary, lśniące fragmenty mozaik, pierścienie z brylantami, diamentami i rubinami oraz perłowe naszyjniki. Wezyr czuł do Konstantynopola dziwną litość, pewnego rodzaju bliskość, której powodów nie znał, a raczej – ukrywał je przed samym sobą. Miał wątpliwości, czy Mehmed odpowiednio doceni dziedzictwo tysiącletniego cesarstwa. Konstantynopol był jedynym celem, jedyną pasją chłopca, odkąd wstąpił na tron. Halil się uśmiechnął. „Odkąd objął tron po raz drugi...”, powiedział do siebie. I wtedy właśnie po raz pierwszy pożałował, że ukrył przed wojskiem wiadomość o śmierci Murada i od razu wysłał wieści do Manisy. Mógł przecież ogłosić sułtanem księcia Ahmeda, który wciąż jeszcze karmiony był piersią, i sam rządzić państwem. Janczarzy w końcu nie chcieli Mehmeda. Sumienie jednak nie pozwoliło mu po raz drugi wciągnąć imperium w chaos, sprawić, by w najsilniejszym okresie rozpadło się wskutek walk pomiędzy książętami. Wiele razy wysłuchiwał od swojego nieboszczyka ojca, Ibrahima Paszy, opowieści o synach Bajazyda, o tym, jak Sulejman, Musa i Mehmed walczyli o tron; w dzieciństwie na własne oczy widział też upadek państwa. Doskonale pamiętał, jak Musa Czelebi wysłał jego ojca – wówczas kadiego w Edirne – jako posła do Bizancjum z żądaniem daniny, jak nie dotarliśmy nawet do Konstantynopola, po niebezpiecznej podróży ojciec schronił się w Bursie, gdzie władcą ogłosił się Mehmed Czelebi, i jak w efekcie tych działań został mianowany najpierw kadiaskerem, a następnie wezyrem. Po długotrwałej wojnie domowej Mehmed Czelebi pozbył się konkurencji i scalił państwo, dzięki czemu podbój Rumelii mógł trwać. Wykorzystanie księcia Ahmeda – ostatniego syna Murada, urodzonego na rok przed jego śmiercią – przeciwko Mehmedowi, który dwukrotnie już wstępował na tron, a władzy pragnął z niespotykaną w jego wieku mocą i z coraz bardziej wzrastającą żądzą, oznaczałoby ryzyko kolejnej wojny domowej. Co więcej, Bizancjum mogło w każdej chwili uwolnić trzymanego w niewoli księcia Orhana, a wówczas – tak jak pięć

lat wcześniej w Dobrudży – konieczne byłoby nawiązanie współpracy z Mehmedem, by księcia usunąć. Troska o dobro państwa przeważała nad strachem przed śmiercią i Halil wysłał posłańca do Manisy, choć wiedział, że Mehmed się na nim zemści. Tymczasem gdy Mehmed dotarł do Edirne i objął tron, natychmiast rozkazał zamordować karmionego piersią Ahmeda, ale z Halilem nie rozliczył się z wydarzeń sprzed pięciu lat¹⁶. Nie, nie rozliczył się.

Wezyr doskonale to pamięta. Mehmed, którego nie widział od pełnej przepychu ceremonii w Edirne – ze swoją krępą sylwetką, krótką, grubą szyją i garbatym nosem, rozpoczynającym się niemal na czole, zakrytym czarnym turbanem, a kończącym prawie na podbródku – stał się wtedy władcą, wreszcie prawdziwym władcą, cieniem Boga na ziemi, panem mórz i lądów, przywódcą wiernych, sułtanem Mehmedem, synem sułtana Murada, syna sułtana Mehmeda Czelebiego, syna Bajazyda Błyskawicy, syna Murada Hüdawendigara, syna Orhana Gaziego, syna Osmana Gaziego, syna Ertogrula. Z wyrazem twarzy jasno pokazującym, że pozostaje w żałobie po śmierci ojca, zwrócił się do Szehabeddina Paszy:

– Paszo! Dlaczego moi wezyrowie stoją tak daleko? Powiedz im, by zajęli swoje dawne miejsca, jak za panowania mojego nieboszczyka ojca. Halil Pasza będzie też moim wielkim wezyrem. A Ishak zostanie bejlerbejem Anatolii. Niech jak najprędzej przewiezie święte ciało mojego ojca do Bursy i tam pochowa!

Halil, zgodnie z wymogami ceremonii, ucałował dłoń młodego padyszacha, uspokojony, że będzie mógł nadal rządzić państwem w znany sobie sposób. Tak, uspokoił się, lecz wydarzenia przybrały inny bieg, niż przypuszczał. Wybicie z głowy młodemu władcy myśli o podboju Konstantynopola było trudniejsze niż wydarcie złota skąpcowi. Paszowie Szehabeddin i Zaganos z jednej strony, a rządzący pogranicznymi obszarami bejowie oraz derwisze i mułlowie z drugiej bardzo mocno naciskali i ignorując kwestię równowagi sił, podżegali Mehmeda do wojny z Bizancjum. To ostatnie było tymczasem jak jabłko, które lada chwila spadnie z gałęzi. Całkiem przegniłe, coraz bardziej pozbawione sił. Przy pierwszym mocniejszym powiewie wiatru samo spadłoby im w dłonie. Atak na wciąż niewzruszone mury miasta i niewczesna próba oblężenia, jakie już kiedyś podejmowali Bajazyd Błyskawica, Musa Czelebi, a nawet Murad, którego Halil tak bardzo cenił i którego umiłowanie pokoju nigdy nie budziło jego wątpliwości, doprowadziłyby do niepotrzebnych ofiar. Co więcej, taki postępek mógłby ponownie wprawić w ruch wojska krzyżowców, które nadludzkim wysiłkiem i dzięki wielkiemu poświęceniu Osmanów zatrzymane zostały pod Warną, i doprowadzić do naruszenia na niekorzyść Turcji równowagi zbudowanej dzięki perspektywicznemu myśleniu i doświadczeniu Halila. Próba zdobycia Konstantynopola dla papieża, despoty Serbii, a co najgorsze – nieustraszonego regenta Węgier, Jana Hunyadyego, oznaczała zachętę do ataku. Gdyby miasto zostało oblężone, a cała siła osmańskiej armii byłaby skoncentrowana na tym, by doprowadzić do jego upadku, w niebezpieczeństwie znaleźliby się również Osmanowie w Rumelii, a świat chrześcijański nie przepuściłby takiej okazji i mógłby przepędzić Turków tam, skąd przybyli, w głąb Anatolii. Mehmed nie rozliczył Halila z tego, co robił za panowania jego ojca, Murada. Gdy bowiem po raz pierwszy obejmował tron, miał świadomość pozycji wezyra, jego wpływów w strukturach państwa i w wojsku. Ale teraz... Tego ranka, który nastąpił po nocy, kiedy mimo wszystkich jego wysiłków oblężenie zakończyło się sukcesem i miasto upadło, nadeszła pora rozliczenia.

Pora rozliczenia... Rozliczanie się ze swoich czynów nie było czymś, do czego Halil przywykł. Dotychczas zajmował się jedynie rozliczaniem innych, nawet tych, którzy piastowali najwyższe stanowiska w państwie. Z jakiegoś powodu nigdy nie przyszło mu do głowy, że wyjaśnianie swoich działań może być w polityce jedną z zasad gry; nikt nigdy nie przypomniał mu, że jego los zależy od jednego słowa, jednego rozkazu, który padnie z ust sułtana. Koniec Czandarlego Halila oznaczał koniec pewnej tradycji w rządzeniu państwem, koniec rodu

wezyrów, który zawsze cieszył się nietykalnością. Halil to wyczuwał. Nie bał się. Nie bał się śmierci. Miał jedynie wątpliwości, czy imperium będzie nadal podtrzymywane przy życiu przez swoje sługi. To zaś nie dawało mu spokoju i pragnął stanąć w obronie dziedzictwa przodków, którzy od samego początku podzielali marzenie Osmana Gaziego, owo piękne marzenie realizowane tyleż z pomocą Boga, ile siłą miecza. Być może było to zachowanie instynktowne, ale nie miało nic wspólnego z przywiązaniem do życia ani chęcią ratowania skóry. Życie było dla Halila dziwną siłą sprawczą, obowiązkiem tożsamym z tworzeniem i ochranianiem tego, co się stworzy, i nie miało nic wspólnego z witalnością ciała. Nagle się zorientował, jak bardzo jest zmęczony. Nie było to ani zmęczenie ostatnimi dniami, ani wyczerpanie wynikające z ciągnących się bez końca narad, ani nawet wycieńczenie spowodowane trwającym tak długo oblężeniem Konstantynopola. Było to zniechęcenie, nieprzyjemne odrętwienie, wypełniające go powoli i spowalniające zarówno bicie serca, jak i pracę umysłu. Po porannej modlitwie położył się na postaniu, którego kazał nie ścielić służącym przybyłym do namiotu. Od razu zapadł nie w sen, lecz w rozmyślanie o wydarzeniach ostatnich lat. Usiłował zrozumieć i przeanalizować wszystkie wypadki, które doprowadziły go tu, w ten poranek po upadku miasta, do takiej beznadziei, do takiego poczucia klęski.

Halil nie zaakceptował Mehmeda ani za jego pierwszego, ani za drugiego panowania, tak jakby nie był on padyszachem, który dwa razy objął tron, tak jakby władza w państwie należała się rodowi Czandarlych, a sultan mógł jedynie sprawować pewną kontrolę, tak jakby o tym stanowiło prawo. Dopóki Murad pozostawał przy życiu, wezyr nie godził się na uznanie władzy tego ambitnego, nieustraszonego młodzieńca. Powody jednak, dla których odebrał mu tron, snując intrygi, jakich pierwszy lepszy polityk nie zdołałby pomyślnie przeprowadzić, nie były osobiste. Kiedy po śmierci Murada Mehmed obejmował tron po raz drugi, Halil musiał mu wytłumaczyć, że robił to wszystko dla dobra państwa. Jego pierwszym błędem była nadmierna wiara w siebie: nie odgadł, co czuje młodzieniec w związku z przeszłymi wypadkami ani jak silnego uczucia poniżenia doznaje.

Natychmiast pomyślał o Edirne. Przypomniał sobie Nowy Pałac, stojący nad brzegiem Tundzy, platanu zrzucające liście jesienią i osty niesione nurtem rzeki przepływającej pod mostami. Zdało mu się, że ponownie widzi zatłoczone targowiska miasta, jego minarety i błękitne iznickskie kafle pokrywające ściany meczetów. Podobnymi płytkami – lecz o wiele bardziej kolorowymi, bo na ich powierzchni tu i ówdzie rozkwitały fioletowe bratki i róże czerwone jak krew, a gdzieś tam otwierały się też pąki innych kwiatów – kazał wyłożyć ściany swojego rodzinnego mauzoleum. W ostatniej woli miał zamiar zażyczyć sobie, by pochowano go tam obok sarkofagu ojca, Czandarlego Hajreddina. O dziwo jednak ani myśl o śmierci, ani twarze jego dzieci, które stanęły mu przed oczami wraz ze wspomnieniem Edirne, ani nawet dostojne spojrzenie ukochanego syna Ibrahima, tak doskonale korespondujące z powagą rodu, nie wzbudziły w nim tak wielkiej ekscytacji, jak wyobrażenie Starego Pałacu, stojącego dumnie obok jego posiadłości. Gdy był młodzieńcem, obserwował renowację, którą przechodził pałac, a kiedy Murad mianował go wielkim wezyrem, za pozwoleniem władcy postawił swoją rezydencję na placu Kawak, tuż obok owej siedziby sultana.

Choć przestronne hole, przepastne spiżarnie i kuchnie, niezliczone pokoje oraz wypełniające je olśniewające ozdoby sprawiały, że rezydencja Halila była bardziej majestatyczna od samego pałacu, to jednak nie wywoływała w nim uczuć, które choć trochę przypominałyby dumę, jaka przepełniała go, gdy przybywał na posiedzenie dywanu, czy przyprowadzając o zawroty głowy ekscytację bycia u władzy. Pewnego razu, gdy Murad nie zdołał uzbierać trzech tysięcy florenów, które każdego roku wysyłał biednym z Mekki i Medyny, zwrócił się do Halila o pomoc, lecz nawet zasmakowanie szczęścia, jakim było posiadanie majątku większego, niż

miął sam padyszach, nie mogło się równać poczuciu władzy. Pałac oznaczał panowanie, ale nad państwem Osmanów panował ród Czandarlych. Halil wspomniał proste stroje Murada, jego zaokrągloną brodę, zaczynającą się tuż pod kośćmi policzkowymi, i skośne oczy. Na szatę z ciemnoczerwonej satyny wkładał zwykle zieloną kamizelkę i nigdy nie ściągał z głowy czerwonej czapy. Upijał się nie tylko winem sączonym z miedzianego pucharu, lecz także słowami nieodstępujących go na krok derwiszy. Halil uznawał, że podstawę państwa stanowi prawo miecza, tylko wtedy, gdy widział sułtana podczas bitwy, jak w zbroi i z szablą stoi na czele armii, natomiast w pałacu opierał się na nieprzebranym zaufaniu, jakim darzył go padyszach, i wiedział, że władza należy do rodu Czandarlych. Kiedy Mehmed przybył do Edirne po śmierci ojca, rozkazał jak najprędzej zakończyć budowę pałacu, którą Murad rozpoczął, gdy był jeszcze w pełni sił, po czym porzucił starą siedzibę sułtanów, wzniesioną wewnątrz murów miejskiej twierdzy – gdzie doszło do wielu istotnych wydarzeń, w tym narodzin i obrzezania samego Mehmeda oraz jego późniejszego ślubu z Sitti Hatun – i przeniósł się do ogrodów nowej rezydencji. Prawdę mówiąc, Halil nie przywykł ani do rządów Mehmeda, ani do tego pałacu, którego zabudowania nie były na pierwszy rzut oka widoczne, gdyż stały wśród drzew, i który nie miał nawet porządných murów.

Przypomnił sobie wielkie wrota, które podziwiał za każdym razem, gdy wchodził do sali audiencyjnej Starego Pałacu, stajnie sułtańskie na wewnętrznym dziedzińcu, sadzawki haremu i skąpany w świetle przestronny salon. Przed oczami przepłynęły mu obrazy audiencji udzielanych zagranicznym posłom. Gdy sułtan był poza stolicą, to Halil ich przyjmował, a często też samodzielnie podejmował decyzje. Przez lata niemal mieszkał nie w swojej rezydencji, lecz w tym właśnie pałacu, w którym znał każdy najdrobniejszy szczegół, każdy najlepiej ukryty kąt. A potem, pewnego dnia, nagle nie było już ani jego ukochanego Murada, ani pałacu wznoszącego się ku niebu w samym środku miasta niby wyzwanie rzucone postawionemu przez tego samego sułtana meczetowi; wraz z nowym władcą nadszedł kres dawnego porządku. Halil wciąż pozostawał wielkim wezyrem, lecz z każdym dniem coraz silniej odczuwał, jak ster państwa powoli wymyka mu się z rąk. Nie wzywano go już na każde posiedzenie dywanu, a zagranicznych posłów przyjmowali teraz dawni wychowawcy nowego sułtana, Zaganos i Szehabeddin. To zaś doprowadzało go do szału. Tkwił w pustce, schwycony przez uczucie upokorzenia, którego nie potrafił nazwać i które było mu dotąd obce. Spadał. Mimo to wciąż ziała przed nim bezdena, niekończąca się otchłań. Ziemia się rozstała i gdy sądził już, że utrzymał dotychczasową pozycję, że chwilowy wstrząs minął, zaczął spadać. Często śnił mu się Murad. Wspólnie upijali się winem i gnali konno po stepie, urządzając zawody w rzucie oszczepem. Byli niczym dwa oblicza jednej osoby. Jakże byli do siebie podobni! Taka sama okrągła twarz, takie same czarne oczy, taki sam szacunek żywiony do turkmeńskiej tradycji. Tak, spadał. Podczas zawodów – z konia, w pałacu – ze schodów, w domu – z sofy; nie wiedział, czego się schwyćć podczas tego niekończącego się upadku, i nie ufał niczemu prócz majątku, który zgromadził przez wiele lat służby. Owo poczucie spadania, owa przesadna nieufność napędzały jego żądze zysku i uczyniły z niego chciwca. Wiedzieli o tym tylko on i Mehmed.

Tymczasem z pozoru wszystko było tak jak dawniej. Był wielkim wezyrem. Halilem, starym wielkim wezyrem nowego sułtana. Pełnił tę funkcję za panowania Murada, potem – gdy ten abdykował – za panowania małego Mehmeda, następnie znów za Murada, gdy ten odsunął syna od władzy, i wreszcie – znów za Mehmeda. Jego pozycja – mimo zmieniających się okoliczności i upływu lat – pozostawała niezagrożona. Od jakiegoś czasu jednak wiedział, że jego władza została ograniczona, że jego słowa nie docierają do dywanu i że już nigdy do niego nie dotrą. Wiedział, ale przed samym sobą udawał, że nie wie. Miał jeszcze jakąś nadzieję, czekał na zdarzenie, które przechyli szalę na jego korzyść. Gdyby na przykład zrezygnowano

z obłączenia, odzyskałby dawne wpływy. Dowiódłby młodemu sułtanowi, że miał rację, że nie należy lekceważyć jego wieloletniego doświadczenia w rządzeniu państwem, i doprowadziłby do usunięcia z pałacu wszystkich dewszirme wraz z derwiszami.

Nagle przepełniła go nadzieja. Poglądził brodę. Nie bez powodu siwa broda jest symbolem mądrości! Uśmiechnął się przebiegle. Mehmed nie każe mu przecież poderżnąć gardła jak byle komu, nie dając szans na wyjaśnienie. Nie upuści tak łatwo krwi wielkiego rodu Czandarlych. Nie był w końcu byle jeńcem, uchodźcą najętym w pałacu. Był wnukiem Dżenderelego Kary Halila, gwarantem kontynuacji turkmeńskich tradycji w państwie, filarem imperium Osmanów. Oczy rozblęły mu nadzieją. Blask ten zgasł jednak wkrótce pod gęstwiną białych brwi. Na chwilę zapomniał, że Konstantynopol właśnie upadł. Miasto upadło. Otoczenie Mehmeda miało rację, miasto zostało zdobyte. Zaraz obsiadą go jak krogulce i zażądają od sułtana jego głowy. Tak, głowy...

No dobrze, ale dlaczego dookoła nie było nikogo? Na co czekał Mehmed? Dlaczego jeszcze nie kazał go pojmać? Słońce wzniosło się już nad horyzontem na wysokość włóczni i niemal pionowo z góry oświetlało namiot, ogrzewając jego wnętrze. O dziwo, w zasięgu wzroku nie było nikogo. Czyżby wszyscy, nawet śludzy, ruszyli do miasta, by wziąć udział w grabieży? Halila przeszedł dreszcz, jakby sam został w ciemności. Czy byłoby lepiej, gdyby po zakończeniu plądrowania padyszach wrócił z wojskiem do Edirne i zostawił go sam na sam z trupami pod zburzonymi murami Bizancjum? Co miałyby robić sam na ulicach splądrowanego, zrujnowanego miasta, dokąd pójść, w którym pałacu zostać wielkim wezyrem? Sam i bez domu, a co gorsza – bez insygniów; tak, wielki wezyr bez insygniów władzy. Śmierć była lepsza, wszak miasto upadło; koniec Konstantynopola miał wyznaczyć koniec jego koszmaru, upadku, o którym śnił, odkąd umarł Murad. Śmierć była lepsza. Przypomniał sobie, jak pewnej nocy go obudzono i w asyście naczelnika czarnych eunuchów oraz gwardii sułtańskiej doprowadzono przed oblicze władcy. Po raz pierwszy przeląkł się wtedy śmierci. Po raz pierwszy i ostatni. Roześmiał się na myśl o swojej ówczesnej naiwności. Zadźwięczał mu w głowie przeraźliwy odgłos szabli, którą naczelnik walił w drzwi jego rezydencji. W czerwonym świetle pochodni czarna twarz eunucha lśniła, a jego powykrzywiane jak nagrobki zęby w wielkich ustach migotały bielą. Miał rozbiegane, błyszczące czarne oczy. Powiedziano mu, że sułtan oczekuje go natychmiast. Choć nie potrafił pojąć, dlaczego tak pospiesznie wezwano go do pałacu, starał się nie tracić zimnej krwi. Gdy się ubrał i zszedł na dół, nagle wpadł w panikę. Już miał wyjść na zewnątrz, lecz wtem obrócił się i wbiegł po schodach. Wszedł do skarbcza i wziął z niego wysadzaną brylantami złotą szkatułkę, wypełnioną drogocennymi klejnotami, którą ukrywał nawet przed najbliższymi i na którą zwykle nawet nie patrzył, po czym wsunął ją pod pachę.

Leżąc na posłaniu w namiocie w oczekiwaniu na gwardię, która tym razem zaprowadzi go nie do Pawilonu Widokowego, lecz prosto do lochu, Halil wspomina, jak pojmano go w środku nocy w Edirne i zabrano przed oblicze sułtana. Przypomina sobie gniadą klacz, która za nic nie chciała iść naprzód, oraz to, jak w miarę zbliżania się do pałacu coraz mocniej ścisnął pod pachą szkatułkę. Serce przepelniał mu wtedy strach, gdyż zorientował się, że jest prowadzony nie główną drogą, lecz od tyłu, przez „kurzy lasek”. Usiłuje zrozumieć, jak w trakcie przechodzenia przez most mógł pomyśleć o ucieczce, o tym, by skoczyć nagle do wody, jak coś takiego mogło mu w ogóle przyjść na myśl. Później widzi ponownie Pawilon Widokowy: jego marmurowe schody, wysokie mury, umieszczone w nich zakratowane okna oraz zwieńczoną stożkowatym dachem wieżę, która w ciemności napawała go przerażeniem. Cylindryczna wieża, wznosząca się z dwupiętrowego prostopadłościanu umieszczonego na samym środku dachu, sprawia, że budowla wygląda nie tyle jak reprezentacyjny pawilon, ile jak więzienie. Dookoła panuje absolutna cisza. Wszyscy zapewne śpią. Światło widać tylko w jednym oknie, nieopodal

haremowej części pałacu. Pada ono na ciemną wodę i oświetla kamienie przystani, pokryte glonami, oraz żelazne obręcze, do których cumują łodzie. Pada też na nenufary, rozkładające płatki na szerokość prześcieradeł. Nagle z brzegu ku światłu skacze żaba; nurkuje w miejscu, w którym powierzchnia wody jest oświetlona, po czym znika w ciemności. Halil się wzdyga, gdy do jego uszu dociera przerażający dźwięk wody w miejscu, gdzie Tundża wpada do Maricy. Noc nie jest więc tak bezgłośnie, na jaką wygląda. Woda cały czas płynie, a pod jej taflą ryby toczą nieustanną walkę. Całe robactwo drży o swoje życie. Halil słyszy, jak na wietrze szumią cyprysy. W tej samej chwili odzywa się sowa, po niej następna, i jeszcze jedna. Pohukiwania zdają się chórem śmierci. Śmierć krąży przecież w ciemności. W wodzie jest ryba, na gałęzi – sowa, a wśród liści cyprysów – wiatrem. Gdy Halil wejdzie do pałacu, stanie naprzeciw niego w postaci szabli. Momentalnie oddzieli jego głowę od ciała. W taki właśnie sposób Mehmed go ukarze, nie dając mu nawet szans na wytłumaczenie, jak pospolitego złodzieja złapanego na gorącym uczynku. Jego krew spłynie na marmurową posadzkę. Szlachetna krew rodu Czandarlych. Halil ponownie się wzdyga, gdy w jego umyśle pojawia się obraz pawilonu stojącego pomiędzy drzewami w jeziorze czerwonej krwi, i przepływa przez niego fala gorąca. A ileż by oddał jeszcze niedawno, by przekroczyć za dnia próg tej zwieńczonej dziwaczną wieżą budowli, w której roiło się od artylerzystów, saperów, derwiszów oraz mędrców przybyłych z Buchary, Damaszku i Kairu! Drzwi pałacu stały bowiem otworem dla wszystkich – nawet dla posłów i wędrownych mistyków – lecz tylko przed nim, przed potomkiem wezyrów z rodu Czandarlych, wielkim wezyrem Halilem, stały zamknięte. Było mu więc pisane przekroczyć je jak jakimś uciekinierowi, w środku nocy i w strachu o własne życie. Przypomina sobie, jak naczelnik czarnych eunuchów i gwardziści zostawili go na progu sułtańskiej komnaty.

Po otwarciu drzwi ujrzał Mehmeda leżącego w pościeli z rozmierzwionymi włosami. Podszedł do niego i ucałował jego dłoń, po czym natychmiast położył przed nim złotą szkatułkę wysadzaną brylantami.

– Mój panie! Nie jest w zwyczaju państwowych dygnitarzy zjawiać się przed obliczem sułtana z pustymi rękami, zwłaszcza o tej porze.

– O czym ty mówisz, *lala*?! – odparł Mehmed. – Nie mogę dziś spać. Przewracam się cały czas z boku na bok.

Użyte przez władcę poufale słowo *lala* rozwiało obawy Halila. Uspokoił się.

– *Lala* – powtórzył Mehmed. – Nie zaznam spokoju na tym ziemskim padole, póki nie wezmę Konstantynopola. Mam jeden cel, jeden jedyny, na tym i na tamtym świecie: Konstantynopol. Muszę go zdobyć!

– Bóg dał ci, panie, większą część ziem Imperium Rzymskiego; podaruje ci także Konstantynopol.

Nagle Mehmedowi rozbłysły oczy. Dotąd przekrwione ze zmęczenia i niewyspania, zaczęły rzucać naokoło iskry. Nie patrzył – rozpałał ogień w wielkim piecu.

– A wtedy, Halilu, ofiaruję ci większy skarb niż ten, który dziś mi przyniosłeś! Wystarczy, że mi pomożesz i szybko weźmiemy miasto. Niech sztandar mojego ojca jak najprędzej załopocze na wieżach Konstantynopola!

Wspominając rozmowę, którą odbył owej nocy z sułtanem w Pawilonie Widokowym, Halil wciąż nie potrafi pojąć, jak mógł być tak naiwny, tak ślepy na prawdę. Mehmed go potrzebował. Bez niego nie zapanowałby nad janczarami, nie okiełznałby ulemów. Teraz jednak sytuacja przedstawiała się zupełnie inaczej. Zdobył Konstantynopol, a w dodatku uczynił to wbrew jemu, Halilowi, swojemu wielkiemu wezyrowi, który w trakcie oblężenia powtarzał mu co chwilę, że należy je przerwać. I nie tylko wbrew jemu, lecz także wbrew wszelkim przeciwnościom: wbrew całemu okrucieństwu wojny, wbrew wszystkim porażkom, wbrew

Orbanowi¹⁷, którego wielkie działo eksplodowało, wbrew podpaleniu floty; zdobył miasto, przeniósłszy okręty łądem. Mimo całej determinacji, całego bohaterstwa wszystkich obrońców Konstantynopola – od cesarza po Giustinianiego¹⁸, od mnichów po podlotki – zdobył to miasto, w którym się zakochał, nieszczęśliwie zakochał, to miasto, które odbierało mu sen, które nawet na chwilę nie opuszczało jego myśli, które trawiło go gorączką jak chorego na febrę, a jednocześnie wywoływało w nim jęki rozkoszy. Wreszcie osiągnął swój cel. I Halil już wie, że jego koniec jest bliski. Leżąc na posłaniu w namiocie w oczekiwaniu na straż, słyszy zarówno odgłosy z plądrowanego miasta, jak i ptaki zlatujące się do resztek jedzenia poniewierających się w obozie. To ptaki wiosny, zwiastuny słońca. Ptaki niosące na skrzydłach zapowiedź pięknych dni i gorących letnich wieczorów. Halil powoli przymyka powieki. Oddaje się snowi, który przychodzi po wszystkich niepotrzebnych rozmyślaniach, wspomnieniach i koszmarach przeszłości, po całym tym wysiłku i zmęczeniu. A gdy tylko zasypia, ponownie zaczyna spadać.

Po przebudzeniu Halil ujrzał otaczającą go feerię barw. Zachwycił się nagle magią kilimów – drżących i zmieniających kształty w słonecznym świetle – których każdy fragment przepełniony był atmosferą rzewnego lamentu, a jednocześnie niósł w sobie zapach łąk, i które poruszały się z prędkością koni ścigających wiatr, toczących pianę z pysków. Jak to się stało, że wcześniej tego nie dostrzegł, że nie zauważył, iż przez całe obłężenie mieszkał w środku owego marzenia, owego pięknego uniwersum barw?! Kilimy pokrywające od wewnątrz wszystkie ściany namiotu poruszały się wraz z drogocennymi kamieniami zawieszonymi na słupach, a kolorowe nici, z których były utkane, wzmagwały radość z budzenia się w nowym świecie – przechodziły niczym kłosa pszenicy od żółci do czerwieni, od czerwieni do pomarańcza, od pomarańcza do błękitu, a stamtąd znów do żółci, czerwieni i pomarańcza. Wojna się skończyła, a na przesiąkniętej krwią, łzami, potem i bólem bizantyńskiej ziemi wraz z wiosennymi kwiatami puściły pędy także choraszańskie kilimy. Halil pomyślał o turkmeńskich koczownikach, którzy ze swoimi czarnymi namiotami z koziej sierści osiedli na anatolijskim stepie jak orzeł zajmujący gniazdo. Przeszli bezkresne równiny, pokonali góry i minęli wiele krain. Gnali gniade konie o pięknych grzywach ku samotnym źródłom i wzdłuż potężnych rzek. Walcząc wygiętymi mieczami z podwójnie hartowanej stali, zdobyli wiele twierdz; oddawali i odbierali życie. Wreszcie osiedli na równinie Söğüt, po czym – niepowstrzymani – zdobyli Biledzik i Bursę, skąd dotarli do Rumelii, by wznieść pałace w Edirne. Konie przekraczające teraz Dunaj należały do rodu, który zaczął od czterystu namiotów, po czym wzniósł potężne państwo. Halil wiedział, że wraz z upadkiem Bizancjum w historii imperium osmańskiego rozpocznie się nowy rozdział. Państwo zerwie z oguzyjską tradycją, a utworzony przez jego dziada, Karę Halila, korpus janczarów stanie się problemem najpierw dla bejów, a później dla samych sułtanów. Jeszcze przez jakiś czas przyglądał się z posłania kilimom sprowadzonym ze świętej choraszańskiej ziemi. Przepęłniła go nieposkromiona radość. Poczul w swoim starym ciele młodzieńczą witalność, jakiś zryw, którego źródła należało może upatrywać w niesamowitej koczowniczej przeszłości jego przodków. Niewiele brakowało, by kazał sługom przyprowadzić swoją gniadą klacz. Chciał wypaść z namiotu i jak błyskawica przemknąć przez Konstantynopol do Anatolii, pognać konia galopem aż do Izniku. Radość jednak powoli opadła, ustępując miejsca druzgoczącemu poczuciu klęski. Gdy do namiotu wtargnęli strażnicy, Halil nie zareagował. Podniósł się tylko z posłania i podszedł do stołu; odnalazł pomiędzy mapami, rozkazami i listami pieczęć wielkiego wezyra i spojrzał na nią po raz ostatni. Następnie wręczył ją dowódcy straży i wyszedł z namiotu w eskorcie żołnierzy.

Gdy minąwszy wzgórze, zeszli na brzeg, zobaczył wieżę. Swoją wieżę. Nie położył pod

nią fundamentów ani nie mieszał zaprawy, nie stawiał też jej murów; patrzył jednak, jak rosła kamień po kamieniu, i poniósł koszty jej budowy. Stał nagle naprzeciw tej wieży, która wraz z innymi budowlami w całym imperium miała uczynić nieśmiertelnym jego imię, a zarazem imię rodu Czandarlych. Wzdrygnął się, doznawszy dziwnego uczucia. Jak to się stało, że dotąd tego nie zauważył?! Ciężkie, niskie, okrągłe wieże Zaganosa i Sarudży ze swoimi spiczastymi dachami pokrytymi ołowiem spoglądały z góry na jego wieżę, na tę przysadzistą wielokątną bryłę, która nie rzucała nawet cienia na wodę, stały bowiem na szczycie wzniesienia. A przecież jeszcze nie tak dawno, bo rok wcześniej, gdy twierdza była budowana, osobiście skontrolował plany i doniósł Mehmedowi, który koniecznie chciał, by wszystkie wieże miały tę samą wysokość i średnicę, że jego rozkaz został wypełniony. Halila na tyle zaprzętały inne myśli, że nie przyszło mu nawet do głowy, iż pozorna różnica pomiędzy wieżami wynika nie z architektury, lecz z ukształtowania terenu. Nie dostrzegł też wielkich dział umieszczonych na podwójnych murach od strony morza, w każdej chwili gotowych wystrzelić kamienne pociski ze swych przerażających gardeł na odległość setek metrów. Zdawało mu się, że się kurczy, maleje, niknie; trawiło go owo straszliwe uczucie, które towarzyszyło mu także, gdy w koszarach upadek się kończył, a on rozpadał się na kawałki. Oderwał wzrok od wież twierdzy i spojrzał na morze, a stamtąd na przeciwległy brzeg.

Tam, u ujścia potoku Göksu do Bosforu, który w świetle zachodzącego słońca przybrał barwę kwiatów judaszowca, zarzucił kotwicę mały statek. Znad jego burt, zniszczonych czarnomorskimi falami, spomiędzy jego potarganych żagli, które nigdy nie złapią już wiatru, widać było fortecę stojącą na anatolijskim brzegu. W jej murach, ciemniejących wraz z nadchodzącym zmrokiem, w miejscu odprawiania modłów położonym przed nimi i w drzewach wystrzelających ku niebu spomiędzy zabudowań było coś, co dawało człowiekowi spokój. Tutaj wydawało się, że wojna się zakończyła, a właściwie – nigdy się nie rozpoczęła. Nad potokiem przesuwały się czerwone chmury. Z daleka nie było natomiast widać kormoranów, które u jego ujścia co rusz zanurzały się pod wodę. Halil wiedział jednak, że w tej wieczornej porze zbliżają się one do słodkiej wody i ukrywając głowy pod skrzydłami, szykują się do snu w świetle zachodzącego słońca, że zmęczone minionym dniem, tulą się do siebie, znajdując ukojenie w miłym bezruchu. Już raz oglądał to miejsce o podobnej porze. Już raz oczekiwał czegoś w podobnym podekscytowaniu. Wówczas jednak był wielkim wezyrem Halilem Paszą, przygotowującym przeprawę wojsk sułtana Murada z Anatolii do Rumelii, a nie jeńcem, który do lochu w zbudowanej przez samego siebie wieży wieziony jest wozem zaprzęgniętym w woły. Wtedy gdy tylko dotarła do niego wiadomość, że wojska krzyżowców przekroczyły Dunaj, postawił sobie za cel sprowadzić Murada z Bursy, gdzie ów żył w odosobnieniu, i nie przekonały go namowy sułtana Mehmeda, będącego jeszcze dzieckiem: „Poproś mojego ojca, by chronił Edirne przed bizantyńskimi gjaurami, gdy wytoczę wojnę Węgrom”. Nie zniechęciły go nawet słowa samego Murada: „Masz swojego pana, rozmawiaj z nim!”; wyprawił do Bursy specjalnego wysłannika Kasapoğlu Mehmeda Beja, by ten wezwał sułtana do ponownego objęcia władzy w państwie, którego byt był zagrożony. Gdy na przeciwległym brzegu ukazał się Murad, prowadzący anatolijskich żołnierzy, Halilowi kamień spadł z serca. Jakże zaskoczyli wroga! Wówczas na miejscu tej twierdzy, która teraz trzema wieżami rzucała wyzwanie Bosforowi, nie było nic prócz ruin greckiego klasztoru. Na brzegu umieszczono działa, a janczarzy, dżebedzi i żołnierze z Rumelii zostali ustawieni w szyku bojowym. Halil wiedział, że cieśnina Dardanele jest zablokowana przez chrześcijan i że Murad może przepłynąć się do Rumelii tylko w tym miejscu; z utęsknieniem oczekiwał więc tutaj ukochanego sułtana. Był wieczór podobny do dzisiejszego i gdy twierdza anatolijska lśniła w świetle zachodzącego słońca, a chmury nad potokiem Göksu stawały się czerwone, tuż obok ukazali się spahisi. Wyglądali jak zjawy wśród

pyłu unoszącego się spod końskich kopyt. Wyglądali jak zjawy, lecz byli najważniejszą formacją w armii i stanowili jedyną nadzieję państwa na ratunek. Mknęli jak błyskawica z czerwonymi i żółtymi proporcami, zjeżdżając ku potokowi z dwóch stron. Za nimi zaś podążali azabowie i musellemowie. W zbrojach i hełmach, z toporami i włóczniami, dosiadający koni spahisi przypominali rzeźby z brązu. A na samym przedzie, na mlecznobiałej klaczy, jechał sam sułtan Murad. Padyszach rozkazał, by przeprawy na drugi brzeg dokonać przed nadejściem poranka, w świetle pochodni. Wojsko weszło więc na pokład genueńskich statków, nim konie zdążyły odpocząć po podróży, i dzięki owym wielkim karakom handlowym, które w niczym nie przypominały osmańskich okrętów stacjonujących w Gallipoli, połączyło się z armią rumelijską.

Halil przypominał sobie, tak jakby zdarzyło się to dziś, jak dwie bizantyńskie galery, które nad ranem chciały powstrzymać przeprawę, poszły na dno Bosforu, zatopione ogniem z armat. Raz jeszcze zaczął ubolewać, że Murada nie ma już na świecie. Nim wezyr zdążył się porządnie nacieszyć zwycięstwem pod Warną, dowiedział się w Edirne, że sułtan zamierza udać się do Manisy wraz ze swoim cześnikiem Hamzą Bejem oraz Ishakiem Paszą, by tym razem „oddać się pijaństwu i zabawie”. Myśl, że znów samodzielnie stanie u steru państwa, uczyniła go wtedy szczęśliwym. Szczęście owo nie trwało jednak długo, gdyż wkrótce zaczął dotkliwiej odczuwać brak Murada i radość ustąpiła miejsca uczuciu dziwnej samotności czy niemal porzucenia.

Teraz jednak, gdy strażnicy prowadzą go do lochu, podobne uczucie samotności nie przyprawia go o dreszcze, nie. Cierpi jedynie na myśl o tym, że jest mały, że cała jego potęga przepadła, że za sprawą jednego rozkazu stał się niczym, że nie jest wart nawet tyle, ile mrówka. I po raz ostatni przed zamknięciem w więzieniu patrzy na zachód słońca nad Bosforem. Twierdza anatolijska pogrążyła się już w ciemności. Tak samo statek o potarganych żaglach stojący w samotności – niemożliwej do pokonania – u ujścia potoku Göksu. Światło ognisk, rozpalonych przez strażników, odbija się w wodzie. Kormorany dawno już zapadły w sen. Nie ma statków przepływających w pobliżu, nie ma huczących dział. Nie dochodzą tu hałasy z wciąż plądrowanego miasta. W ciszy nocy kryje się jednak jakiś ból. Czy jest to ból Konstantynopola, czy może świadomość zbliżającej się nieuchronnie śmierci, którą Halil odczuwa całym ciałem?

Nagle Halil odnajduje się w innym świecie; jakby jakaś ręka, jakaś niewidzialna siła przesłoniła mu oczy. Tak gęsta, tak niesamowita jest ta ciemność. Maca dłońmi mury. Zimne, kamienne mury. Jeszcze nie pokryły się wilgocią, jeszcze nie zamokły i nie przegniły. Nie minął nawet rok od ukończenia budowy. Zaprawa pomiędzy kamieniami jeszcze nie wyschła. Ściany pachną wapnem i jajami mew. Oraz ziemią, wiatrem i krwią, tak, krwią. Tymczasem do zaprawy nie mogła dostać się żadna krew prócz tej pochodzącej ze zwierząt złożonych w ofierze zaraz po ukończeniu budowy. A zatem owa krew, płynąca strumieniami krew ofiar, którą przesiąknięta jest okoliczna ziemia, nie wystarczyła. Twierdza potrzebuje jeszcze jednej ofiary, ofiary z prawdziwego człowieka, z wielkiego wezyra. Fundamenty fortecy zroszone zostaną także jego krwią, ziemią, ta osmańska już, stara, nienasycona ziemia wypije jego świętą krew. „Moje mury – myśli Halil. – Moje mury stoją pomiędzy mną a światem, moje mury czynią mnie ślepym”. Pojmuje, że wszystko przepadło, że nie ma i nie będzie powrotu do barw, smaków i tego całego piękna, jakiego doświadczył w życiu. Nie przejmuje się teraz ani głodem, ani brakiem nakrycia głowy. Chce jedynie widzieć, oglądać – tak jak jeszcze niedawno – kolory, kształty i świat w całej jego rzeczywistości. Jego oczy powoli przyzwyczajają się do ciemności. Potrafi już dostrzec siennik umieszczony w kącie, lampę oliwną, miednicę i dzban. Usiłuje obliczyć w głowie wymiary celi. Nie jest aż tak źle. Skoro jest lampa, jest i nadzieja na światło w tym

miejscu, gdzie może się położyć i odpocząć, a kiedy mu się to znudzi – chwilę pospacerować. Uśmiecha się na myśl, że cela, co prawda, nie dorównuje rozmiarem rezydencji w Edirne, lecz jest większa niż namiot, który zajmował podczas oblężenia. Ciekawe, jak teraz wygląda. Bez turbanu i kaftana. Głodny i zmęczony. Nagle uświadamia sobie z mocą, że jest dawnym wielkim wezyrem, który utracił cały majątek, wszystkie swoje skarby, i że racji bytu może szukać jedynie w przeszłości. W zasadzie nie jest tak trudno przywyknąć do nowej sytuacji. Jednak świadomość, że odebrano mu władzę, sprawia mu ból nie do wytrzymania. I myśl o śmierci, myśl, która powoli zaczęła docierać do niego wczoraj, ponownie pojawia się w jego głowie, tym razem bardziej namacalna.

Prawdę mówiąc, śmierć nigdy nie wydawała mu się czymś zwyczajnym. Zawsze piastował wysokie stanowiska państwowe i żył z dala od myśli o śmierci czy lęku przed nią. Odczuł go tylko raz, owej nocy, gdy Mehmed wezwał go do pałacu. Nie był bowiem żołnierzem. Nie docierał na pola bitewne, nie oglądał rozczłonkowanych ciał ani krwi tryskającej zza przebitych pancerzy. Nie był ani poborowym żołnierzem, ani kapykułem. Nie był mężem stanu wywodzącym się z dewszirme, jak Sarudża czy Szehabeddin, lecz wnukiem Czandarlego Kary Halila¹⁹, krewnego szejcha Edebalego, teścia Osmana Gaziego²⁰. Jakże bezsilny pozostawał jednak wobec perspektywy śmierci z rąk kata, który w każdej chwili może go skrócić o głowę! Mimo to stara się patrzeć na taką możliwość jak na coś dziejącego się poza nim, jak na śmierć kogoś innego, jakiegoś innego wielkiego wezyra. Tak jakby głowa, na którą opadnie miecz, miała nie należeć do niego. I nagle przypomina sobie węgierskiego króla Władysława, zabitego pod Warną. Jego ścięta głowa dotarła do pałacu w Edirne wraz z wieścią o zwycięstwie. Posłaniec wyciągnął ku niemu rękę ze słoikiem i uniósł małą, brodatą głowę, wydobytą za włosy z miodu, w którym była zanurzona, po czym zawołał: „Oto twój wróg!”. Halil doskonale pamięta smutne spojrzenie oczu, które wydały mu się niemal żywe, pociągłą twarz o zapadniętych policzkach i czarne wąsy. Teraz gdy oczekuje śmierci, czuje ciężar czasu, który spada na niego i przytłacza go jak kamień młyński. Kiedy słuchał w Bursie, jak Murad dyktował swój testament, pomyślał, że nawet sułtanów czeka śmierć, lecz nigdy nie przyszło mu do głowy, że on także jest śmiertelny. Wówczas w Bursie śmierć jawiła się jako odległa, bardzo odległa perspektywa, a nie tak jak teraz – jak bliski szept, powtarzany przez echo więzienia. Na okoliczność swojej śmierci Murad, ów padyszach mający takie doświadczenie w rządzeniu państwem, że w walce o tron bał się nawet własnego syna, ów sułtan, który mógł umrzeć po nocy hulanek lub nad ranem w objęciach jakiejś odaliski, zawarł w swym testamencie takie oto słowa: „Jeżeli dokonam żywota poza Bursą, uczynicie tak, by moje ciało spoczęło w grobie w czwartek!”.

Głos władcy odbijał się od kopuły, wiszącej nad nimi w pustce, tak jakby zaraz miała spaść, i przechodząc przez zatroskane oblicza paszów Sarudży i Ishaka, zmieniał się pod trzcinią muły Hüsrewa w czarne pochyle pismo. Dokument był tak istotny, że ani jedna kropka, ani jedna litera nie mogły w nim zostać zmienione.

– Złóżcie moje ciało w sarkofagu w Bursie, obok mojego zmarłego syna Alego! – mówił Murad grubym, donośnym głosem.

Sułtan mówił, muła Hüsrew pisał, a Halil myślał. Skoro władca dyktował swoją ostatnią wolę, z pewnością bał się odebrać tron Mehmedowi. Przewidywał więc zapewne, że młodzieniec zrobi wszystko, zaryzykuje nawet wojnę, byle tylko utrzymać się u władzy. Halil spojrzał na Murada z uczuciem i powiedział mu, odpowiednio dobierając słowa, że powinien ufać sobie i swojemu doświadczeniu w sprawach państwa oraz że janczarzy wciąż są po jego stronie i chcą, by był ich sułtanem. Teraz, w dniu upadku Konstantynopola, łaska płynąca od padyszacha, który dawno już obrócił się w pył w swoim grobowcu, nie może uspokoić Halila i ukazać mu bram nieba. Wiosenny wiatr pozostał na zewnątrz, podobnie jak deszcz i słońce. Wszystko, łącznie

z przeszłością Halila, znajduje się poza tymi murami. Wewnątrz jest tylko skazaniec, czekający na koniec. Starzec, któremu odebrano cały świat, którego odarto z wszystkich ubrań, świadczących o jego pozycji, odziany teraz tylko we własną śmierć.

Kat ścinał Halilowi głowę pewnego ciepłego lipcowego poranka, czterdzieści dni po wtrąceniu go do lochu. Krew obficie wytrysnęła z tętnicy. Głowa nie spadła od razu. Nie odezwała się też jednak do kata słowami: „Ciąłeś raz, tnij ponownie!”. Gdyby tak się stało, być może Halil by ożył. A tak jedynie zmarszczył czoło, zmęczony i zrezygnowany. Po czym pozbawione głowy ciało wielkiego wezyra opadło na ziemię jak waląca się wieża.



Tego ranka wszystko zdaje się dopiero co przebudzone – wraz ze mną – z głębokiego snu. Morze jest jeszcze zamroczone poranną mgłą, podobnie jak zimorodki latające w tę i we w tę przed moim wykuszowym oknem. Ubieram się i idę na dół, na przystań. Bosfor przepływa przede mną w świetle wschodzącego słońca. Od bardzo dawna nie zapadłem w tak głęboki, w tak długi sen. Nawet chłód fal poruszających się u moich stóp nie zdołał mnie rozbudzić, choć czułem go przecież na twarzy. Za nic nie potrafiłem zrzucić z barków ciężaru nocy. Zapragnąłem – tak jak robiliśmy w wakacje z żoną i przyjaciółmi – zaparzyć mocną herbatę i wypić ją w ogrodzie, patrząc na ryby pływające w sadzawce. Po chwili jednak pomyślałem z jakiejś przyczyny, że ogród może już nie mieć dawnego uroku. Trawa zapewne zaczęła już żółknąć, a platan zrzuca liście. Ryby zaś trafiły pewnie do akwarium w którymś z pobliskich domów. Pomyślałem o samotności ławki, na której siadywaliśmy z żoną każdego ranka. O niedoglądanych kwiatkach, więdnących na skraju wody, o fontannie, o pokrytych glonami kamieniach, wreszcie o altanie. Tak, w ogrodzie stała nawet – dalej stoi – wsparta o mur altana, w której przesiedzieliśmy wiele letnich dni. Cóż jednak mogę powiedzieć? Zwyczajnie nie miałem ochoty. Nie chciałem tam iść i siedzieć pod dachem, nie chciałem sączyć herbaty, patrząc na zwiedle róże obok opróżnionej sadzawki. Musiałem wreszcie zaakceptować, że ogród pozostał w innym czasie, wśród pięknych dni, do których nie ma już powrotu. Czy była to melancholia jesiennego poranka, czy może ciężar snu, którego wciąż z siebie nie zrzuciłem? Czy może ani jedno, ani drugie, lecz owo nieokreślone, ukryte w podświadomości rezydium snów, które śniłem w nocy, a których wszystkie szczegóły umykają mej pamięci? Nieistotne. Postanowiłem udać się do miasta. Być może, gdybym wyszedł z domu, mógłbym pozbyć się tego przytłaczającego ciężaru, tego niepokoju wynikającego z tak niechętnie rozpoczętego dnia. Po raz pierwszy, odkąd zacząłem pisać *Boğazkesen*, czułem potrzebę opuszczenia rezydencji.

Szedłem pieszo wzdłuż drogi aż do przystani promów. Ze względu na zabytkowe drewniane domy stojące tu i ówdzie nad brzegiem oraz bezkształtne betonowe budynki wypełniające przestrzeń pomiędzy nimi przez długi czas nie dostrzegałem wody. Ulicą przejeżdżały samochody, taksówki i pierwsze poranne autobusy. Pomyślałem, że wskoczę do któregoś z nich i pojedę na ostatni przystanek, by tam – nie obchodziło mnie, w którym miejscu Stambułu – powłóczyć się bez celu po ulicach i w ten sposób pozbyć się do wieczora myśli, które mnie dręczyły. Potem postanowiłem jednak wsiąść na prom. Podróż statkiem aż do przystani w Eminönü mogła mi dobrze zrobić. Gdy przeszedłszy przez bramkę, stanąłem na nabrzeżu, poczułem ekscytację – znów oglądałem Bosfor. Stało się to dla mnie nałogiem! Widok cieśniny

wrył mi się w pamięć – z jej ciemnoniebieską o poranku, a purpurową o zachodzie słońca wodą, z migoczącymi na jej powierzchni refleksami słonecznego światła, z zielonymi lasami na przeciwległym brzegu oraz z górującą nad nim twierdzą; Bosfor stał się nieodłączną, integralną częścią mej tożsamości i mego samotnego życia w zabytkowej rezydencji, niemal jego synonimem. Pierwszy poranny statek wyłonił się z mgły, spieniając otaczającą go wodę, i zbliżył się do przystani wśród szumu drobnych fal, regularnie bijących o brzeg. Wszedłem na pokład i udałem się na rufę, gdzie usiadłszy na wygiętej jak łuk ławce, oddałem się słuchaniu odgłosów morza. Popłynęliśmy z prądem ku Kandilli.

Mgła była dosyć gęsta. Wkrótce oba brzegi przestały być widoczne. Po lewej ledwo majaczyła brudna biel pałacu Küçüksu. Przypominał nie tyle bogatą rezydencję, ile zapuszczony budynek o kamiennych ścianach i mrocznym dziedzińcu, jakby wyjęty z filmu kryminalnego. Potoku Göksu zaś nigdzie nie dało się dostrzec. Podobnie platanów, drogi oraz wyrastającego nad okolicą wzgórza Sevda. Gdy usłyszałem przenikający przez mgłę dźwięk wezwania do modlitwy, pojąłem, że zbliżamy się do przystani Kandilli. W tejże chwili odezwał się gwizd wszystkich syren promu. Dołączyły do niego nawoływania ludzi, krzyk mew i dźwięk liny wpadającej do wody, tak że ezan przestał być słyszalny. Po postoju w Kandilli skierowaliśmy się ku przeciwległemu brzegowi i po chwili zatopiliśmy się całkowicie w nieprzebranej mgle. Do promu przestały też docierać jakiegokolwiek odgłosy. Płynęliśmy, nie widząc i nie wiedząc dokąd, wśród przyjemnego szumu wody. Zdawało się, że nasz prom jest pierwszym statkiem, który tę wodę przecina. Parliśmy naprzód przez nietkniętą przez człowieka, dziewiczą przyrodę w towarzystwie ryb i mew. Pomyślałem o czasach sprzed tysięcy lat, o geologicznej historii tego morza, na którym się znajdowaliśmy. Co się stało z rybami, wtedy gdy wody Morza Czarnego wypełniły Bosfor – wówczas płytką dolinę – i połączyły się z ciepłymi, słonymi wodami Morza Śródziemnego, gdy dwa akweny weszły w siebie pożądliwie, spłotyły się ze sobą i na zawsze scalały? Ludzi nie było jeszcze wtedy na ziemi, lecz były ryby, a nawet morskie potwory. Gdy dolina wypełniła się wodą, otaczające ją wzgórza się obniżyły i powstały dwa prądy: jeden płynący górą z północy na południe i drugi płynący dołem w przeciwnym kierunku. Kto wie, ile ławic ryb, ile statków, ile ciał nieszczęsnych ludzi, którzy utonęli – lub zostali utopieni – w głębokiej wodzie Bosforu, porwały ze sobą owe prądy od tamtych czasów? Ten płynący na powierzchni porwał teraz nas i ciągnął prom, usiłujący dotrzeć na drugi brzeg, na południe, ku otwartemu morzu. Po jakimś czasie takiego dryfowania pojąłem, że mój niepokój jest nieuzasadniony. Nauczony wieloletnim doświadczeniem, kapitan ruszył całą naprzód od przylądka Akinti do zatoki Bebek i dał „diabelskiemu prądowi” porwać prom. Gdy oddawałem się rozmyśleniom i próbowałem wyobrazić sobie najdawniejsze czasy Stambułu, to, co przytrafiło mu się jeszcze w prehistorii, mgła zaczęła się unosić, a Bosfor stopniowo dawał się poskromić. Pozostająca w nieustannym ruchu woda oraz domy i wzgórza na brzegu ujawniały się, a biel łodzi, które rzuciły kotwice w zatoce Bebek, robiła się coraz wyraźniejsza.

Im dłużej płynął prom, tym lżejszy stawał się ciężar, który mnie przygniatał. Poczulem się oczyszczony z mroku nocy, z gmatwaniny snów, myśli i obrazów związanych z *Boğazkesen*; byłem jak nowo narodzony. Zdawało mi się, że to moja pierwsza podróż promem po Bosforze. Na nowo zaczynałem dzień, na nowo odkrywałem świat: szum wody, chłód wiatru, krzyk mew, gwizd syren statków, ciepło wrześniego słońca, które padłszy na przeciwległy brzeg, rozpraszało mgłę. Nagle przepłynął obok nas ogromny statek. Fala, którą wzbudził, zmoczyła pasażerów siedzących na burcie. Nawet nie drgnęli. Nadal w milczeniu sączyli herbatę. Gdy przybiliśmy do przystani w Bebeku, zobaczyłem maleńką kopułę meczetu stojącego na brzegu i podobny do zabawki, przysadzisty minaret. Drzewa w parku nie zaczęły jeszcze zrzucać liści. Rozdarty na dwoje stary pień wielkiego platanu ktoś podparł ścianą, tak by drzewo nagle nie

runęło.

Skierowaliśmy się ku Arnavutköy. Stamtąd zaś do Ortaköy i Beşiktaşu. Każda przystań była niby zajazd, gdzie zatrzymywałem się na chwilę podczas podróży, którą odbywałem po raz pierwszy. Zarówno w starych drewnianych posiadłościach, jak i w betonowych budynkach ustawionych wzdłuż brzegu widziałem dopiero co przebudzone kobiety i mężczyzn w piżamach, palących pierwszego tego dnia papierosa. Wydawali się ludźmi z nieznanego mi świata, ze świata, który dopiero odkrywałem. Tak byli odlegli, nieokreśleni, nierealni. W istocie to ja byłem nierzeczywisty i odcięty od prawdziwego życia. Odkąd zamknąłem się w więzieniu przybrzeżnej rezydencji, zapomniałem, że na świecie mogą istnieć inni ludzie, mieć miejsce inne sytuacje. Moja pozycja nabierała stopniowo coraz większej wagi, a ja, przebywając w świecie białego papieru i słów sam na sam z bohaterami *Boğazkesen*, próbując stworzyć ich w wyobraźni, coraz bardziej oddalałem się od realiów życia. Gdy płynąłem promem, dość mocno niepokoiły mnie – przemykające przed moimi oczami niczym film – niezwykle, a raczej zapomniane przeze mnie obrazy domów, przedmiotów, które zostały w nich umieszczone, i ludzi, którzy w nich przebywali, ulic, przejeżdżających nimi pojazdów i zgromadzonych na nich tłumów, a nawet nieba. Kiedy znalazłem się w zatłoczonym Eminönü, odczucie to jedynie się pogłębiło. Nie należałem do mieszkańców tego miasta. Nie potrafiłbym poddać się prądowi Stambułu i dać się nieść przeniósłymi dniami, tak jak oni. Wpadłbym na minę lub na inny statek i zatonął. Nie znałem bowiem obowiązujących tu reguł, byłem bezbronny. Jedyńm moim celem, jedyną racją bytu w tym mieście była *Boğazkesen*. Zgromadziłem wszystkie dokumenty, notatki i kroniki potrzebne mi do napisania powieści. W tymczasowym domu, porozrzucane bezładnie na półkach pokoju z wykuszem, czekały cierpliwie na dzień, w którym staną się namacalnym światem pewnej narracji, losami ludzi zamieszkujących ów świat, żyjących w nim. Gdy przywołałem w pamięci inne książki, zwłaszcza dawne rękopisy, mające stworzyć szkielet mojej powieści, nieco się uspokoiłem. Kiedyś, gdy swobodnie spacerowałem po ulicach tego miasta, gdy po zmroku odpoczywałem w chłodzie przybrzeżnych kawiarenek, a w południe w cieniu platanów, gdy wieczorami chodziłem do lokali, w których umówiłem się z przyjaciółmi, by pić tam z nimi do późna, sądziłem, że znam każdy kąt, każdą ulicę Stambułu. Podczas jednej z takich wędrówek bez celu odkryłem stare domy. W trakcie innej znów zaszedłem do kilku bizantyńskich cystern oraz do zapleśniałych i wilgotnych tawern Galaty. Zresztą w większości swoich książek opisywałem Stambuł. Pisałem zarówno o tęsknocie za nim, którą odczuwałem, gdy byłem daleko, o mieście z moich wyobrażeń, jak i o przynależącym do wspomnień Stambule mojej młodości, a także o tym, który przedstawiali podróżnicy i dziejopisarze. Zdarzało mi się opowiadać o jego ulicach, zdarzało mi się też pisać o drewnianych budynkach, wielkich hotelach i pałacach. Mówiłem tyleż o stambulskich meczetach, ile o kościołach i synagogach. Pragnę powiedzieć, że w moich książkach powstał obiektywny i adekwatny pod względem historycznym oraz geograficznym obraz Stambułu. Obraz pozbawiony ludzi, nakreślony z perspektywy, lecz kolorowy. Kolorowy i prawdziwy. Nagle przyszło mi na myśl, że w *Boğazkesen* mogę to wszystko powtórzyć w nieco inny sposób. Muszę jedynie znaleźć taką metodę, która pozwoli mi przedstawić historyczny wymiar miasta, a zarazem odejść od historycznych faktów. Zatrzymałem taksówkę i kazałem się wieźć do biblioteki imienia Mehmeda Zdobywcy w dzielnicy Fatih²¹. Przebiwszy się nie bez trudu przez zatłoczone Eminönü, dotarliśmy do Unkapanı, skąd przez Saraçhanebaşı przedostaliśmy się na Fatih. Gdy tylko przekroczyłem próg biblioteki, zostawiłem za sobą hałas miasta, tłumy promieniujące zwierzęcą energią, nieustanny ruch autobusów i taksówek, statków i promów, gołębi i mew, zostawiłem wszystko, tak, wszystko, nawet własne ruchy, ruchy swoich kończyn, ruchy, które – mimo że mieszkałem w odległej rezydencji w pobliżu twierdzy anatolijskiej – dziś stały się częścią tego niekończącego się, chaotycznego

strumienia. Wertując zakurzone strony rękopisu, który odnalazłem w bibliotece, utonąłem w legendach o założeniu Stambułu.

W tym rozdziale poznajemy legendy o założeniu Stambułu

A jest w krainie Greków wielkie miasto zwane Konstantynopol. I można w nim odnaleźć przewspaniałe budowle oraz magiczne miejsca. [...] A od tamtego czasu na owo miasto spadało wiele nieszczęść i katastrof – a to dżuma, a to trzęsienie ziemi. Wiele razy było niszczone i obracane w ruinę. Doświadczały je wojny i czasy niepokoju. Wiele lat leżało w ruinie i zamieszkały w nim bestie i smoki. Aż przyszedł król imieniem Konstantyn i wspaniałe je odbudował. I jeszcze wiele innych podobnych wydarzeń miało miejsce z powodu zła ostatnich czasów.

Gelibolulu Ahmed Bidżan, *Dürri Meknun*

Gdy ukochany sługa Boga i jego wysłannik, prorok Mahomet (niech pokój i błogosławieństwo Boga będą z nim), zapytał swych uczniów – a dzięki niech będą za to wielkiemu Bogu, który stworzył niebo i ziemię oraz wszystkie istoty żyjące, wraz z Adamem – „Czy słyszeliście o mieście, które z jednej strony otoczone jest lądem, a z trzech morzem?”, ci odrzekli: „Tak, Panie!”, dając wyraz zachwytowi nad wyjątkowością świętego miasta Stambułu. Także tysiące egzegetów Przenajświętszego Koranu podkreślają, że piętnasty werset sury *Sabejczycy*, który głosi: „Jedźcie z zaopatrzenia waszego Pana i dziękujcie Mu! Jest to kraina przyjemna, a Pan Przebaczający!”²², oraz ósmy werset sury *Jutrzenka*, gdzie mowa o mieście posiadającym kolumny, jakich „nie stworzono w żadnym kraju”, opisują Stambuł. Tak zatem, w ślad za naszymi przodkami i mistrzami, postanowiliśmy i my opowiedzieć legendy o powstaniu Stambułu, owej perły natury, owego miasta miast, za którego jeden kamień pewien poeta gotów był poświęcić „całe perskie imperium”, a inny patrzył na nie z góry w zachwycie i mówił: „Wiele jest na świecie miast pełnych przepychu, / lecz to ty tworzysz czarodziejskie piękno”. Opowiedzmy więc, a dusze tych, którzy urodzili się w tym mieście i w nim umarli, niechaj się weselą; ci zaś, którzy śpiewają jego pieśń, którzy w nim żyją, którzy z dala od niego płoną z tęsknoty, niechaj zaznają spokoju serca i żyją długo oraz w zdrowiu. Tak więc powiadają:

Prorok Salomon, który sprawował władzę nad całym światem, przewodził nie tylko ludziom, lecz także wilkom i ptactwu, rybom w morzu i mrówkom w ziemi, drapieżnym tygrysom i słoniom, słowem – tysiącom rodzajów zwierząt, jak również dżinom i wróżkom, olbrzymom i karłom. Nie panował tylko nad jednym człowiekiem, tylko jednego nie udało mu się sobie podporządkować: Ankura, który mieszkał na wyspie na samym środku bezkresnego zachodniego oceanu. Ankur był nieustraszonym, dzielnym władcą, który przed nikim nie ustępował.

Dowiedziawszy się, że na całym świecie pozostał tylko jeden władca, który nie przyjął jego zwierzchnictwa, Salomon wyruszył na wojnę na wyspę Ankura. Żołnierzy wsadził na olbrzymie okręty o atlasowych żaglach, linach ze złotych nici i cedrowych wiosłach i przepawił ich przez morze, armię zwierząt, dżinów i wrózek wysłał zaś drogą powietrzną. Po wielkiej bitwie Ankur został pokonany. Choć pod groźbą śmierci Salomon kazał mu wyznać wiarę w wielkiego Boga, uparty władca opierał się do samego końca. Jego głowa została więc ścięta płonącym mieczem przed namiotem Salomona, a wszystko, co posiadał, zostało mu odebrane.

Ankur miał przepiękną i młodziutką córkę imieniem Szemsije. Salomon wziął ją sobie za żonę i wrócił do swojego kraju. Szemsije za nic jednak nie potrafiła przywyknąć do nowej ojczyzny. Całymi dniami wylewała strumienie łez, pogrążona w wielkim bólu. Salomon nie mógł wytrzymać tego, w jakim stanie jest jego ukochana żona. Pewnego dnia zwrócił się do niej: „Nie płacz już, tylko życz sobie ode mnie, czegokolwiek chcesz”. Szemsije odparła, że zazna szczęścia

tylko wtedy, kiedy zamieszka we wspaniałym pałacu, który stanie w miejscu niemającym sobie równych na ziemi. Usłyszawszy jej odpowiedź, Salomon rozkazał w ptasim języku ptakom, w języku dżinów – dżinom, w języku wrózek – wrózkom, a w języku olbrzymów – olbrzymom, by odnaleźli na świecie krainę, która nie będzie miała sobie równych. Ci zaś przeszukali cały świat, wszystkie kraje od wschodu po zachód, od północy po południe, od arabskich pustyń po archipelagi oceanów, od dziewiczych lasów Afryki po syberyjskie równiny, od Kitaju po krainy leżące aż za górą Kaf, i w końcu odnaleźli na brzegu Bosforu, tam gdzie morze Marmara łączy się z Morzem Czarnym, skrawek ziemi z jednej strony ograniczony lądem, a z trzech wodą, gdzie w połyskującej błękitnej toni pływały radośnie ryby, a na brzegu zieleniła się trawa, gdzie klimat był przyjemny, a pogoda słoneczna. Salomon wznosił tam dla swej ukochanej żony przepiękny pałac. Po dziś dzień w tym miejscu w Stambule, które zwiemy Cyplem Pałacowym, można odnaleźć pozostałości tej wspaniałej budowli, gdzie mieszkała Szemsije. I na całym tym pięknym półwyspie, który koi cierpienie i uspokaja serce, można napotkać ruiny wielu pałaców, murów i pomników.

Prawdę mówiąc, chciałbym, tak jak moi przodkowie, wierzyć w to, że prorok Salomon, który wznosił wszystkie wspaniałe budowle, świątynie i miasta na świecie, założył też Stambuł. Jednakże to nie koniec opowieści o tym, jak powstało nasze ukochane miasto. Fundamenty Stambułu – tak jak w przypadku każdego pięknego, historycznego miejsca – zalane są krwią i łzami. A zatem:

Gdy Szemsije zamieszkała w pałacu – którego ściany wykonano z marmuru, drzwi i okna z czystego złota, a balkony i dach ze srebra, w którego ogrodzie rosły róże, kwitnące kilka razy w roku, a na chłodnym dziedzińcu z sadzawką nieustannie rozlegał się śpiew słowików – nie zapomniała o swoim ojcu. Aby wspominać go każdego dnia i utrzymywać przy życiu w swoim sercu, kazała pałacowym malarzom wykonać jego podobiznę. Na obrazie Ankur stał wyprostowany – z błękitnymi oczyma, złotymi włosami i jeszcze nieposiwiałą bródką. Jedną dłoń trzymał na mieczu umieszczonym w pochwie, a w drugiej dzierżył naszyjnik, który jego ukochana córka własnoręcznie wykonała z pereł, wyłowionych z oceanu. Ów magiczny naszyjnik miał za chwilę powiesić na szyi kłęczącego przed nim księcia. Książę przybył z odległej krainy, by prosić o rękę Szemsije, i pomyślnie przeszedł wszystkie próby, na które wystawił go Ankur. Im dłużej dziewczyna patrzyła na obraz, tym lepiej przypominała sobie dawne czasy, szczęśliwe lata spędzone w kraju ojca, i zaczęła tym bardziej odsuwać się od Salomona i jego religii. Dowiedziawszy się o tym, prorok kazał zabić Szemsije pod pretekstem oddawania czci bożkom.

Pewnego ranka ciało pięknej księżniczki zostało pogrzebane w pałacowym ogrodzie. Na grobie posadzono drzewo cyprysowe. Od tamtej pory na wszystkich cmentarzach Stambułu cyprysy kołyszą się delikatnie, poruszane wiosennym wiatrem. A ponieważ do substancji, z której powstało miasto, dołączone zostało kobiece ciało, jego klimat złagodniał, woda zrobiła się przejrzysta, słońce stało się oślepiające, a morze błękitne. Ludzie, którzy w nim mieszkają, są subtelni i delikatni, ziemia zaś jest żyzna. Tęsknota za nim pali mocniej niż ogień, a spotkanie z nim słodsze jest od najgłębszego snu. Jego brak ciało odczuwa mocniej niż wbity w siebie sztylet pokryty rdzą.

Choć to prorok Salomon zbudował pierwszy pałac w miejscu, gdzie dziś znajduje się Stambuł, właściwym założycielem miasta, człowiekiem, który wznosił jego mury, domy i świątynie, wyznaczył ulice oraz aleje i postawił wielkie kolumny, a następnie osiedlił tam ludzi, jest Janko, syn Medjana. Ów Janko, którego jakoby urodziła klacz, był najpotężniejszym, najmądrzejszym i najbardziej uczonym władcą, jakiego widział świat od czasów Salomona. Jego władza sięgała wszędzie: od Maszreku do Maghrebu, od Europy po Indie, aż do miast

położonych za Wielkim Murem Chińskim, zamieszkiwanych przez ludzi o twarzach spalonych słońcem, wspierających Goga i Magoga.

Pewnej nocy Jankowi ukazał się we śnie stary, białobrody mędrzec. Nakazał on władcy postawić miasto w miejscu, gdzie Morze Czarne łączy się ze Śródziemnym, i powiedział, że jeśli chce, by jego imię wspomniano aż do końca świata, w fundamenty owego miasta winien wmurować wielkie kamienie sprowadzone ze wszystkich krain, którymi rządzi. Gdy Janko przebudził się ze snu, siedział na tronie na skrawku lądu z trzech stron otoczonym morzem. Z początku sądził, że wciąż śni. Gdy jednak rozejrzał się naokoło i dostrzegł niezrównanie piękny widok, którego nigdy dotąd nie oglądał, pojął, że białobrody mędrzec przeniósł go wraz z tronem w miejsce, gdzie miał postawić owo miasto. Rozesłał posłańców na wszystkie strony swojego imperium i kazał im natychmiast sprowadzić mistrzów murarskich. Na wozy i statki załadowano olbrzymie kamienie, marmurowe kolumny i kopuły pokryte ołowiem, po czym wyprawiono je w drogę do miejsca, w którym przebywał Janko. Przygotowania trwały siedem lat. Przez siedem lat w dzień i w nocy mieszano zaprawę, ciosano kamienie i lano ołów. Siódmego dnia siódmego miesiąca siódmego roku, przed przystąpieniem do kopania dołów pod fundamenty, Janko postanowił zasięgnąć rady nadwornego astrologa. Ten powiedział władcy, że aby miastu sprzyjało szczęście, należy w pierwszej kolejności wznieść kolumny i na rozpiętych pomiędzy nimi linach zawiesić dzwony, które same zaczną bić, gdy nadejdzie właściwy moment do rozpoczęcia prac. Wszystko, od położenia gwiazd na niebie po odczyty z astrolabium, potwierdzało słowa astrologa. Dlatego też Janko nakazał postawić kolumny i rozpiąć pomiędzy nimi liny, na których następnie zawieszono dzwony. I wszyscy zaczęli czekać na pomyślny moment.

Wielkiemu Bogu ani trochę się to jednak nie spodobało i aby przypomnieć swym sługom, że nic nie może się zdarzyć, jeśli taka nie będzie Jego wola, jeszcze przed nadejściem pomyślnej chwili wysłał w niebo bociana. Do dzioba zaś włożył mu węża. Gdy ptak przelatywał nad dzisiejszym Cyplem Pałacowym, wąż wypadł z jego uchwytu i uderzył w jeden z dzwonów. Ten zaczął dzwonić, a w ślad za nim – poruszone liną – odezwały się następne. Nagle wszędzie dookoła słychać było bicie dzwonów. Czekający w gotowości murarze uznali wobec tego, że nadszedł właściwy czas, i zaczęli kopać ziemię pod fundamenty. Na nic zdały się wołania nadwornego astrologa i samego Janka. Tak to z woli Boga los Stambułu, którego budowę rozpoczęto nie w porę, wypełnił się cierpieniem, śmiercią i zniszczeniem. Miasto siedem razy było niszczone i siedem razy je odbudowywano. Zaznało wielu trzęsień ziemi, zaraz i katastrof, lecz nie zaznało szczęścia. Siedem razy się wyludniało i siedem razy ponownie osiedlali się w nim ludzie. W jego ruinach zagnieżdżały się węże i wiję, nietoperze, sowy i kruki; po jego ulicach krążyła dżuma. Jego pałace, targowiska i łaźnie to wypełniały się ludźmi, to pustoszały. Wielokrotnie oblegane, wciąż przechodziło z rąk do rąk. Niekiedy jego mieszkańców mordowano, innym razem brano w niewolę i sprzedawano. Czasami wypełniało się pogańskimi świątyniami, czasami zaś meczetami i kościołami. W jego murach odprawiano przeróżne czary. Niektórym książętom wykluwano tu oczy, innych – jeszcze w niemowlęctwie – zaduszano w lochach. Rządziły nim tysiące władców. Widziało wiele piękna, wylało niezliczone łzy. I przez cały czas coraz bardziej przesuwało się ku morzu. Wszystko, co je spotkało, opisywane jest od dawien dawna w eposach i poematach. I od dawien dawna za każdym razem, po każdej katastrofie, po każdym ciosie, naznaczonym krwią i ogniem, odradza się z popiołów niczym feniks.

Ustaliliśmy już, że Stambuł wielokrotnie obracał się w ruinę i wielokrotnie był odbudowywany. Jednym z jego założycieli stał się Zu'l-Karnajn²³, ów dwurogi władca, którego Bóg stworzył, by zaprowadził na ziemi nowy porządek, a którego niewierni zważają Aleksandrem

Wielkim. Wszyscy wiedzą, że ten król podporządkował sobie cały świat, spalił tysiące miast, a granice jego imperium sięgały aż w głąb Azji, lecz niewiele osób zdaje sobie sprawę, że z wody stworzył Sztambuł, wówczas znany pod nazwą Makdon. Uznaliśmy więc za stosowne opisać to wydarzenie, które z jakichś powodów umyka uwadze historyków. W ten sposób do legend o powstaniu naszego miasta dołączy kolejna. A oto ona:

W krainie, w której dziś znajduje się Sztambuł, rządziła tyleż piękna, ile okrutna królowa imieniem Kajdafa. Stolica owej krainy, zwana Makdon, mieściła się między dzisiejszym Cyplem Pałacowym a Üsküdürem. Ponieważ w owym czasie Morze Czarne i Morze Śródziemne były jeszcze od siebie oddzielone, nie było łączącej je cieśniny, Bosforu. Gdy Aleksander podporządkował już sobie cały świat, zapragnął podbić także kraj Kajdafy. Walczył dotąd przeciwko licznym królom i ich olbrzymim armiom, lecz nigdy jeszcze nie podniósł ręki na kobietę. Wysłał więc do Kajdafy posłów z żądaniem, by powściągnęła swój kobiecy upór i poddała się władcy świata. Gdy odrzuciła tę propozycję, Aleksander rozpoczął oblężenie Makdonu, lecz za nic nie udało mu się zdobyć miasta. Bronił go bowiem przerażający morski smok o olbrzymich skrzydłach i siedmiu głowach, których paszcze z rozwidlonymi językami strzelały ogniem, a czerwone mrugające oczy rozsiewały naokoło czerwone światło. Wojsko Aleksandra, dowodzone przez najdzielniejszych, najmężniejszych i najświatlejszych generałów, za nic nie potrafiło sobie poradzić z owym morskim potworem zakochanym w królowej Kajdafie. Smok, któremu lud Makdonu każdego dnia ofiarował dziewicę, nie okazywał litości żołnierzom oblegającym miasto i palił ich ogniem, a włóczyki spadających na niego niczym deszcz używał jako wykałaczek do zębów, wielkich jak minarety. Aleksander pojął, że dopóki smok, który nie widział świata poza Kajdafą, będzie każdego dnia pożerał dziewicę, dopóty nie zostanie pokonany, i przyszedł mu do głowy plan uprowadzenia z miasta wszystkich dziewczyn. Pewnej nocy wraz z kilkoma zaufanymi ludźmi udało mu się przedostać na drugą stronę murów, tak że strażnicy niczego nie zauważyli. Już miał uwieść makdońskie dziewczyny swoimi złotymi lokami, piękną twarzą i silnymi mięśniami, gdy został złapany na gorącym uczynku. Zaprowadzono go przed oblicze Kajdafy. Królowa nie potrafiła się jednak zdobyć na zabicie tego przystojnego, silnego młodzieńca o mądrym spojrzeniu. Rozkazała strażnikom, by wtrącili go do lochu. Ale mowa przecież o Aleksandrze – czyż można go było zamknąć w więzieniu?! Znalazł, oczywiście, sposób na ucieczkę i wrócił do swojego kraju. Choć generałowie radzili mu, by zrezygnował z pomysłu zdobycia Makdonu, nie posłuchał ich. Tym razem znalazł inną metodę. Zebrał wszystkich inżynierów i architektów imperium i kazał im zmierzyć wysokość brzegów Morza Czarnego. Po pomiarach i skomplikowanych rachunkach, trwających wiele dni, uczeni uznali, że Morze Czarne położone jest wyżej od Śródziemnego i ma od niego więcej wody. Na te wieści Aleksander zmobilizował setki tysięcy robotników i kazał im kopać kanał na północ od Makdonu. Wkrótce woda popłynęła na południe, ku Morzu Śródziemnemu. Wszyscy mieszkańcy miasta się utopili. Mówi się, że z katastrofy ocalała jedynie królowa Kajdafa, którą smok zabrał do podwodnej jaskini i tam uwięził.

Tak oto Aleksander założył nowe miasto, czyli dzisiejszy Sztambuł, na brzegu kanału, który kazał wykopać, u zbiegu mórz Czarnego i Śródziemnego. Siedmiogłowy smok nie dawał jednak za wygraną i nocą wychodził z wody, by burzyć fundamenty, mury i drogi, które powstawały za dnia. Generałowie tym razem próbowali nakłonić Aleksandra, by zrezygnował z budowy miasta. On jednak trwał przy swoim. Nakazał stolarzom wykonać wielką wodoszczelną skrzynię i na dwóch jej ścianach zamontować bulaje z grubego szkła. Rzemieślnicy trudzili się całe miesiące, lecz w końcu, wykorzystawszy całą swą wiedzę i zręczność, wykonali przedmiot opisany przez króla. Aleksander przywołał dwóch rysowników i wzięwszy ze sobą skrzynię, wypłynął statkiem w morze. Tam zamknął się z artystami w skrzyni

i nakazał wrzucić ją do wody. Żeglarze wypełnili rozkaz króla. I tak skrzynia wraz Aleksandrem i dwoma rysownikami opadła na dno Morza Śródziemnego. Gdy pomiędzy pokrytymi glonami skałami przyglądali się w zachwycie wielokolorowym rybom, które przepływały przed nimi, machając ogonami, oraz ośmiornicom i krabom, nagle ich oczom ukazał się smok. Zbliżał się, poruszając płetwami na grzbiecie, i co chwilę rozdziawiał paszczę jak ryba, próbując oddychać, a przy każdym oddechu spomiędzy jego kłów wystrzeliwały istne gejzery. Nie zauważywszy skrzyni, przepłynął obok niej. Rysownicy natychmiast sporządzili szczegółowy rysunek potwora. Gdy wrócili do miasta, Aleksander nakazał brązownikom wykonać rzeźby na podstawie tych rysunków. Po wielu miesiącach pracy dniem i nocą stworzyli oni dwa odlewy rzeczywistych rozmiarów. Aleksander kazał wznieść na brzegu morza ogromne marmurowe kolumny, a na nich ustawić rzeźby. Pewnej nocy smok wyszedł z morza i gdy ujrzał swoje podobizny, tak się przeraził, że z powrotem wskoczył do wody i zniknął, by nigdy więcej się już nie pojawić. Tak oto na półwyspie, który nie ma sobie równych, a jego częścią jest dzisiejszy Cypel Pałacowy, opodal zatopionego miasta Makdon, powstał Sztambuł.

Mówi się, że od tamtej pory smok szuka okazji, by wrócić do miasta i zrównać je z ziemią, i że gdy tylko znikną kolumny, które wciąż stoją na brzegu, przybędzie i sprowadzi na Sztambuł pożogę. Nie wiem, jak wy, ale ja wierzę, że siedmiokrotnie niszczone i siedmiokrotnie odbudowywane miasto na siedmiu wzgórzach spłonie w ogniu morskiego smoka. Albowiem informację, że miasto to pewnego dnia zniknie, znaleźć można w najstarszych archiwach, w legendach, a nawet w świętych księgach opisujących dzień Sądu Ostatecznego. Tak oto miastu zrodzonemu z wody koniec przyniesie ogień. To powszechnie znany fakt, lecz mimo to go przypomnę: człowiek w wodzie się topi, a w ogniu płonie. I tylko w Sztambule może zrozumieć, że każdy kolejny dzień to utrapienie.



Tak się zagłębiłem w nieregularne znaki pisma, że nie zauważyłem, jak szybko minął czas. Na moim ramieniu spoczęła delikatnie czyjaś dłoń. Obróciłem się – bibliotekarz.

– Zamykamy – powiedział. – Jeśli pan chce, mogę to dla pana odłożyć do jutra.

Rozszyfrowywanie starego pisma porządnie mnie wymęczyło i udało mi się dojść jedynie do połowy dokumentu. Na kolejnych stronach z pewnością kryły się inne legendy opowiadające o powstaniu Stambułu. Powiedziałem bibliotekarzowi, że mieszkam daleko, więc być może nie uda mi się ponownie tu dotrzeć, i spytałem, czy mogę skserować rękopis.

– Oczywiście – odparł. – Ale dziś jest już za późno. Jeśli pan sobie życzy, ja to zrobię i wyślę na pański adres.

Podziękowałem mu za pomoc i zostawiłem adres wraz z pewną sumą pieniędzy.

– Być może do zobaczenia! – powiedział, gdy wychodziłem.

– Być może – odrzekłem.

Powietrze na zewnątrz było ciepłe. Wszystko pozostawało w owym bezruchu, który dociera do Stambułu tylko wraz z wrześnieym słońcem. Przeszedłem na drugą stronę ulicy i wspiąłem się po schodach. Oto stałem w kompleksie meczetu Mehmeda Zdobywcy! Szedłem wzdłuż budynków o kopułach pokrytych ołowiem, małych spiczastych dachach i żelaznych kratkach w oknach. Odczułem dziwaczną przyjemność z przebywania w tym miejscu, gdzie niegdyś najświetniejsi uczeni udzielali lekcji, a uczniowie pili i jedli za darmo, w tym miejscu, które spajając w całość biblioteki, hammam, jadłodajnię, karawanseraj, szpital i *muwakkithane*, doprowadzało do spotkania wiedzy z jej poszukiwaniem, nauczyciela z uczniem, wiary z myślą. Byłem zarówno wewnątrz czasu, jak i poza nim. Czas krył się w owych zabytkowych murach, w tajemnicach zawartych w komnatach uczniów, w samotności pokrytych ołowiem kopuł. Był poza mną, był realnością pozostałą w przeszłości, czymś, do czego nie sposób już wrócić. Jakąż realnością – snem! Nosilem jednak w sobie ów sen, chowałem go i pomagałem mu rosnąć. Czas był częścią mnie. Najbardziej użytecznym członkiem mego ciała, punktem, w którym skupiała się cała moja świadomość. Szedłem wzdłuż murów medres wzniesionych przez Mehmeda. Wreszcie przez wielką bramę wkroczyłem na dziedziniec meczetu. Na środku znajdowała się piękna wielokątna fontanna do ablucji; w jej czterech rogach rosły cztery cyprysy. W pobliżu nie było nikogo. Usiadłem w cieniu jednego z portali i oparłem plecy o wspaniałą rzeźbioną kolumnę. Patrząc na wodę tryskającą z fontanny, wspomniałem dziedziniec meczetu stojącego

nieopodal kawiarni, w której przed laty – nim jeszcze porzuciłem to miasto – zwykłem spotykać się co weekend z przyjaciółmi. Na owym dziedzińcu także stała fontanna. Jej woda nie była jednak tą samą wodą, której monotonny dźwięk hipnotyzował mnie w tym momencie. Siedziałem tak dłuższą chwilę. Później wstałem, lecz nim przekroczyłem próg meczetu, obszedłem go dookoła. Obejrzałem cmentarz i grobowiec Mehmeda Zdobywcy. Sarkofag był niesamowitych rozmiarów. Biały kamienny turban zatknięty u jego krańca oświetlała olbrzymia świeca. Patrząc na jej płomień, myślałem o przeszłości. Dawno temu człowiek złożony w tym grobie żył. Panował na dwóch kontynentach i zaznał szczęścia. Doświadczył jaśniejszych i mniej jasnych chwil, nim na zawsze pogрузzył się w ciemności. Poczulem przy sobie jego obecność, tuż obok. Nie pachniał ziemią, nie! Pozostawał w bezruchu. Brodaty i blady jak na portretach. Gdyby tak teraz wstał z trumny, otworzył drzwi grobowca, podszedł do mnie i mnie objął... Albo gdyby przyzywał mnie do siebie, szepcząc: „Dzięki tobie ożyłem. Tchnąłeś w moje ciało swoją duszę, piórem przywróciłeś mi puls. Jestem ci dłużny życie, nowe życie”. Cóż tam jednak szept, usta mu nawet nie drgnę. Martwi bowiem nie mówią. Nie mówią ani nie dają znaków.

Gdy przez jedną z bocznych bram ruszyłem ku pobliskim uliczkom, pojąłem, czemu nie wszedłem do meczetu. Wiedziałem bowiem, że wspañiała kopuła runęła wraz z minaretami podczas pewnego trzęsienia ziemi i że do naszych czasów z dawnego budynku zachowało się bardzo niewiele. Dawny budynek... Dawne czasy, dawne dni, dawna śmierć. Tymczasem wszystko już było nowe, a to, co stare, nosiłem w sobie tylko ja. Niczym ruinę zakończonej miłości, relacji, która się rozpadła. Po trzęsieniu ziemi nie pozostał kamień na kamieniu. Kopuły oderwały się od łuków, ziemia się rozstała, a z jej głębin wyskoczyły trupy. Nowy był zarówno grobowiec Mehmeda, jak i sarkofag. Tam gdzie znajdowało się jego ciało, hulał zaś wiatr. Szedłem wąską uliczką, przy której stały drewniane domy. Skręciłem w kolejną, po czym przeciąłem pustą działkę, gdzie dzieci bawiły się w berka. Teren był porośnięty trawą. W rogu, wśród ruin jakiegoś starego grobowca, stał kamienny ołtarz, pokryty osadem ze stopionych świec. Od wielu lat nie trafiłem do tej dzielnicy. Schodząc ku Złotemu Rogowi, postanowiłem nieco lepiej poznać ten biedny obszar Stambułu. Słońce jeszcze nie zaszło. Padało na popękane, rozpadające się szyby zamontowane w wykuszowych oknach, oświetlając stare meble, brudne ściany i przegniłe deski drewnianych stropów w pokojach pozbawionych zasłon. Zdawało mi się, że znalazłem się w innym świecie. Dookoła nie było ani jednego budynku, który można by nazwać nowoczesnym. Nie było też widać morza. Ani ujścia Bosforu, ani Złotego Rogu. O tym, że jestem w Stambule, świadczył jedynie hałas docierający z miasta. Zanim wyruszyłem na spacer, który miał trwać do zmroku, postanowiłem wypić herbatę, by dojść do siebie, by zrzucić z siebie ciężar snu. Usiadłem w niewielkiej kawiarni mieszczącej się w cieniu platana o grubym pniu i wielkich gałęziach. Poza mną nie było tam nikogo. Przed kelnerem dotarły do mnie koty. Dwa wychudzone uliczne koty. Jeden z miaukiem wskoczył na stół, odbijając się od taboretu, na którym usiadłem, a drugi zwinął się u moich stóp. Tak oto w pewien wrześniey wieczór zostałem sam na sam z dwoma kotami w nieznanym mi dzielnicy Stambułu. Tego nieskończonego miasta, które od momentu powstania do dziś ukrywa wszystkie swoje sekrety, które nigdy nie ujawnia się całkowicie, które na każdym kroku chowa jakąś historię, jakąś dawną śmierć...

W ogrodzie naszego domu w pobliżu twierdzy anatolijskiej ludzie zwykli zostawiać nowo narodzone kocięta. Moja matka nie potrafiłaby wyrzucić na ulicę drżących z zimna zwierzątek, więc przygarniała je i karmiła. Gdy koty trochę podrosły i przybrały na wadze, trafiały albo do któregoś z sąsiadów, albo do jakiegoś krewnego. Ani jeden nie został u nas na dłużej, lecz dom i tak zawsze był ich pełen. W lecie spały w cieniu morwy, która rosła w ogrodzie, a jesienią kopulowały, drąc się wniebogłose. Wraz ze śmiercią matki dobiegło końca ich panowanie. Przeprowadziliśmy się ze starego domu do wygodnego mieszkania w kamienicy w centrum

miasta. Ojciec i ja. Ojciec chciał zapomnieć o tym domu, w którym wiódł szczęśliwe życie z matką, a ja chciałem zapomnieć o ojcu. Poszedłem do szkoły z internatem, a potem wyjechałem do Paryża. Jakie to dziwne, że zapomniałem dzieciństwo spędzone w owym drewnianym domu, tak niedaleko rezydencji, którą obecnie wynajmowałem. Wszystko do mnie wróciło, gdy zobaczyłem koty. W owych czasach okolice twierdzy anatolijskiej przypominały dzielnicę, w której znalazłem się teraz: wąskie, zabłocone uliczki, drewniane domy z wykuszami, pałacyki z przeszklonymi altanami w ogrodach... Zorientowałem się, że zapomniałem nawet Stambuł z lat swojego dzieciństwa. Wiedziałem dużo o historii i geografii tego miasta, znałem bardzo wiele legend z nim związanych. Moja wiedza dotycząca jego codziennego życia, jego mieszkańców, jego problemów była jednak ograniczona. Przez całe lato czytałem w gazetach o przerażającym wzroście zagrożenia terrorystycznego, o tym, że młodzi ludzie bezlitośnie mordują się w starciach organizacji lewicowych z prawicowymi, a ceny podstawowych towarów stają się horrendalnie wysokie. My jednak byliśmy na wakacjach. Sami ze sobą, z dala od niebezpieczeństwa i walki o byt. Nie interesowało nas zbytnio to, co się działo w mieście. Ten stan nie dotyczył zresztą tylko nas, emigrantów – także mieszkańcy kraju przywykli już do chaosu i przestali nań reagować. Każdego dnia wypadki drogowe i ataki terrorystyczne odbierały życie setkom ludzi, a liczba osób, które nie były w stanie się utrzymać, więc popełniały samobójstwo, sprzedawały swoje narządy czy imały się prostytucji, rosła w zastraszającym tempie. Być może decyzja o pozostaniu w takich okolicznościach w nadmorskiej rezydencji i pisaniu w niej *Boğazkesen*, gdy kraj zmierzał ku niepewnej przyszłości, była konsekwencją mojej chęci odnowienia więzi z utraconą przeszłością, ze Stambułem. W miarę pisania jednak oddalałem się od teraźniejszości miasta i coraz głębiej zanurzałem się w mrokach historii sprzed wielu wieków. Z pochodnią w ręku błądziłem po wąskich zaułkach i schodziłem do podziemnych cystern. Podnosiłem umarłych z grobów. Starając się przywrócić im życie, pozbawiałem się własnego. Energia witalna powoli opuszczała moje ciało. Krew odpływała mi z żył, a pustkę mojego umysłu całym swoim ciężarem, z całą mocą wypełniała przeszłość. Moja pamięć znalazła się w stanie obłąkania. To, że każdego ranka budziłem się nad Bosforem, naprzeciwko Twierdzy Rumelijskiej, nie oznaczało przecież, że żyję w Stambule. Żyłem w jego przeszłości, nie pamiętając zupełnie o politycznych perturbacjach, przez które przechodziło miasto, a w ślad za nim cały kraj. Gdy tak siedziałem, pogrążony w rozmyślaniach, nagle odezwał się ktoś z obsługi:

– Nie ma już herbaty, proszę pana! Zaraz zamykamy!

Niechętnie wstałem, pogłaskałem kota, który wdrapał się na mój stolik, i poszedłem dalej.

Znów błądziłem po ulicach. Gdy chodziłem wzdłuż fasad drewnianych domów z zakratowanymi oknami, otaczających mnie z dwóch stron, doznałem wrażenia, że żyję we śnie o dawnych czasach. Jakbym znajdował się poza miastem, w miejscu nieosiągalnym, nieznanym nikomu, wewnątrz teatralnej scenografii, do której nie sposób wejść. Co jakiś czas przejeżdżały obok mnie samochody i stare stambulskie dolmusze, a czasami przechodzili uliczni handlarze.

– Starzyyyyyzna! Skupuję starzyyyyyzną! – nawoływał jeden.

Drugi krzyczał, że jego arbuzów można przed zakupem „sskosztować” i z niewiadomych przyczyn „pomidor” wymawiał jako „pomidór”.

– Papryka! Bakłażan! Sałata! Ślaz! – usłyszałem potem.

Dzięki dawnych dni, zapomnianych przeze mnie ulic Stambułu. Dochodziły z nierzeczywistego świata. Ze świata, który zdawał mi się grą cieni, do którego – choć przecież w nim żyłem – nie miałem już dostępu.

Tak oto zszedłem aż na brzeg Złotego Rogu. Przebudziłem się ze snu o dawnych czasach dopiero wtedy, gdy do mych uszu dotarł hałas ruchliwej arterii. Przeszedłszy na drugą stronę

ulicy pomiędzy ściśniętymi w wieczornym korku samochodami, znalazłem się w parku, ciągnącym się wzdłuż brzegu. Jeszcze przed kilku laty znajdowało się tu miejsce, ukryte tuż przy ruinach dawnych murów obronnych, gdzie na wąskich uliczkach, cuchnących moczem, można było odnaleźć ponure sklepiki oraz kloszardów pijących spirytus i palących haszysz. Mimo wszelkich wysiłków nie zdołałem odnaleźć tego miejsca. Prawdę mówiąc, nie miałem też za bardzo ochoty siadać w tym nabrzeżnym parku z betonowymi ścieżkami, w którym trawa nie była nawet porządnie zielona, a drzewa wydawały się skarłałe. Spacer zaś aż do Eminönü, gdzie mógłbym wsiąść na prom płynący w moje okolice, zdawał się trudny jak daleka i męcząca wyprawa. Wróciłem na ruchliwą aleję. Po przejściu niewielkiego kawałka drogi zatrzymałem przejeżdżającą obok taksówkę i kazałem się wieźć w okolice Galatasarayu. Tam, w pasażu, z trudem wcisnąłem się do szynku, w którym jako stolików używano beczek.

Być może pisanie przychodzi mi z takim trudem, gdyż nie spędziłem nocy w wynajętej rezydencji. Dobrze jednak się stało, że pojechałem do miasta. Dałem nieco odpocząć myślom i pozbyłem się znużenia, które zbierało się we mnie od wielu dni, tego napięcia narastającego w miarę pisania. Teraz jednak, pod koniec dnia, który rozpoczął się w pokoju hotelowym na Tepebaşı, podjęcie na nowo pisania *Boğazkesen* wydaje się niemożliwe. Tego wieczoru Bosfor jest jeszcze spokojniejszy niż zwykle, a woda znów ma purpurowy kolor. Nad twierdzą zbierają się czerwone, fioletowe i różowe chmury. Wieże, baszty i strzelnice wciąż tkwią na swoich miejscach. Twierdza i dziś pozostaje moją jedyną prawdą, niezbywalną racją mojego bytu. Piosenka w radiu mówi o dawnych czasach: „Czas płynie jak woda”. To prawda, czas płynie jak woda. Także wody Bosforu płyną i znikają w dali. Tylko słowa donikąd nie odpływają. Słowa, które przylgnęły do mojego pióra, które wciąż do mnie wracają, jakby niespodziewanie wpadły w wir, a wracając, powtarzają cały czas te same znaczenia. Gdybym tak mógł je rzucić w bieg wydarzeń! One się jednak nie mnożą i zamiast ustawić się w kolejności, zamiast przepłynąć w określonym porządku, sklejają się i pozostają w miejscu.

Do dziś pisanie jakoś mi szło, choć niekiedy bardzo powoli. Skończyłem kilka lepszych lub gorszych rozdziałów; nie zapominałem wspomnieć w nich o ważnych i nieistotnych wydarzeniach, w których brałem udział. Staralem się nawet dostosować narrację do przebiegu tych właśnie wydarzeń. Nie będę mógł jednak kontynuować w tym samym stylu. Coś tu się przytyka, coś nie działa. Z jakiegoś powodu tego wieczoru słowa nie wydają obfitego plonu. Nie zapładniają się i nie rozmnażają. Nie dzielą się na dwoje, troje, sto, i tak w nieskończoność, jak organizmy jednokomórkowe. Tego wieczoru słowa są bezpłodne, niechętnie. Bezwolnie kręcą się wokół własnej osi, powtarzając w niekończącej się obsesji jak refren, jak rymowany dwuwiersz, wciąż jedną frazę: „padyszach miał pociągłą, zmęczoną twarz”.

Zamierzałem ją uwzględnić, ale w swoim czasie. Miejsce tej frazy przypadało na ostatnie rozdziały powieści, a nie tutaj. O portrecie sułtana Mehmeda Zdobywcy wykonanym przez weneckiego malarza Gentile Belliniego w 1480 roku wspominałem już na samym początku *Boğazkesen*, dając tym samym pierwszą wskazówkę. Reszta miała nadejść później. Druga wskazówka, kolejne rozdziały, a potem nagle kilka błysków naraz i kunszt malarza zwanego Gentile Bellinim. Nie udało się jednak; gdy po powrocie z Beyoğlu zasiadłem za biurkiem, słowa układały mi się tylko w jedną frazę: „padyszach miał pociągłą, zmęczoną twarz”. Wiem, że wpływają na to wydarzenia w hotelu, w którym zatrzymałem się poprzedniej nocy. Teraz jednak chcę pisać *Boğazkesen*, a nie rozwódzić się nad tym, co mi się przytrafiło w hotelowym pokoju.

Upiwszy się w Pasażu Kwiatowym, zamiast wracać do domu, postanowiłem spędzić noc w hotelu na Tepebaşı. Jakże mogłem przypuszczać, że gdy wejdę do pokoju i zapalę światło,

moim oczom ukaze się portret Zdobywcy, wiszący na ścianie?! Tymczasem tak właśnie się stało: przed sobą miałem wyciętą ze starego numeru czasopisma „Hayat”, oprawioną ilustrację przedstawiającą Mehmeda; była przynajmniej tak realna jak dzień, który właśnie się kończył. Tak realna jak widok, który odsłonił się z pokładu promu, gdy rozproszyła się mgła, jak dziedziniec meczetu, jak – bo ja wiem? – stare stambulskie uliczki. Dzień rozpoczęty wśród teatralnej scenografii dobiegł końca późno, w rażącym świetle hotelowego pokoju o żółtych ścianach, z których sypał się tynk. Opisałem już to, co pozostało z owego dnia; choć pewne rzeczy pozostawiłem niedopowiedziane, starałem się wyjaśnić, jakie skojarzenia budziło we mnie wdychanie prawdziwego powietrza miasta. Relacja z nocy niech pozostanie na inną okazję.

Wstałem zza biurka i poszedłem do kuchni. Nie byłem głodny, ale chciałem coś przegryźć i wcześniej pójść spać. To, co zjadłem poprzedniego dnia w pasażu, osiadło mi na żołądku. Wyciągnąłem z lodówki ser i owoce. Oстрыm jak brzytwa tasakiem o wielkiej ręczce – odkąd tu zamieszkałem, zastanawiam się, jak ten nóż trafił do kuchni – pociąłem najpierw ser, a potem chleb, wyciągnięty z plastikowej torebki. Zacząłem powoli jeść. Nie była to pierwsza kolacja, którą spożywałem w samotności. Mimo to – być może dlatego, że posiłek składał się jedynie z sera, owoców i chleba – poczułem żal, tak jakbym został czegoś pozbawiony. Był to sezon na ryby. Skończył się zakaz połowów, a pelamidy i lufary zaczęły się rozmnażać. Ja zaś, sam w wielkiej kuchni olbrzymiej zabytkowej rezydencji, jadłem przy stole kolację, okraszając swoją samotność chlebem i serem.

Nic to; tak oto minęła kolejna noc. Położyłem się wcześniej, starając się zapomnieć dziwne wypadki w hotelu na Tepebaşı. Nazajutrz rano chciałem bowiem zacząć pisać kolejny rozdział. Byłem zdeterminowany. Cokolwiek by się działo, miałem wstać wcześniej i napisać o tym, co sułtanowi Mehmedowi Zdobywcy przydarzyło się w kompleksie meczetowym jego własnego imienia. Tak, o tym miałem napisać.

W tym rozdziale dowiadujemy się,
co się przydarzyło sułtanowi
Mehmedowi Zdobywcy
w kompleksie meczetowym jego imienia

Sułtańskiego meczetu zazdrozczą wszystkie z siedmiu nieb
Kopuła jego – firmament, a wielki jak ziemski glob
Gdy wszystkie budowle miasta wzniesionego z marmuru
Znikną, on wciąż pozostanie, choć świat cały jest ulotny.

Sirozlu Sadi (przyjaciół sułtana Dżema i gawędziarz na jego dworze), *Istanbul Kasidesi*
Zsiadłszy z konia, Mehmed rozkazał ludziom w swoim orszaku, by za nim nie szli. Chciał zostać sam. Ilekroć zresztą tu przychodził, ilekroć wspinał się po schodach, by znaleźć się na przestronnym, rozległym dziedzińcu meczetu, tylekroć szukał samotności. Tym razem także wolno pokonał schody. Zauważył, że z każdym stopniem nieco bardziej oddala się od swoich zmartwień i od spraw tego świata, że staje się coraz lżejszy dzięki przepelniającemu go uczuciu oczyszczenia. Wokół fontanny nie było nikogo. Sułtan postanowił przysiąc na chwilę koło wody, nim zjawią się tam uczniowie pragnący dokonać południowej ablucji, i ogrzać nieco kości, zwróciwszy plecy ku słońcu przeświecającemu znad wspartych na łukach kopuł. Ciało miał zmęczone wilgotnym chłodem zimy, niekończącymi się wojnami i nocnymi hulankami, które trwały w pałacu aż do świtu.

Usiadł na jednej z marmurowych ław stojących nieopodal fontanny i oddał się słuchaniu wody szumiącej w sadzawce. Światło padało z góry i czyniło wszystko jeszcze bielszym niż

w rzeczywistości. Wielkie kamienie dziedzińca, pełnego przepychu, jego marmurowe kolumny, mury, fontanna oraz woda płynąca rynnami – tego wiosennego ranka wszystko było przejrzyste i kojące. Sułtan chciał chłonać ciepłe powietrze, nasycić się błękitem przeświecającym spomiędzy gałęzi rozkwitających drzew.

Wszystko było piękne jak dotyk młodzieńca o delikatnej skórze. Świat pozostał na zewnątrz, poza murami dziedzińca. Wojny, śmierć, prawo, zebrania dywanu, niekończąca się korespondencja, pałacowe intrygi i namiętności, pragnienia pojawiające się wraz z nadejściem nocy, nagie ciała, z których czerpał przyjemność, nie dając nic w zamian, które głaskał, by nasycić nigdy nienasyconą żądzę – wszystko to zostało po drugiej stronie murów. Tu były tylko woda i światło, i chłód marmuru. Na dziedzińcu swojego meczetu, którego budowa dobiegła już końca, sułtan był szczęśliwy. Pogodzony ze sobą, w harmonii ze światem jak otaczająca go architektura, spokojny jak gołębie pijące wodę z fontanny. Miał czterdzieści lat. Pomyślał, że zaczyna się starzeć. Przez chwilę przyglądał się minaretom, wznoszącym się ku niebu po obu stronach kopuły meczetu. Wreszcie zakończyła się budowa – prowadzona pod jego osobistym nadzorem – tego wielkiego kompleksu, który zapewni mu nieśmiertelność, który przetrwa na zawsze na tym świecie, gdzie wszystko ma swój koniec. Nauczyciele i uczniowie byli jeszcze zapewne na lekcjach. Mułła Seradzeddin przygotowywał, być może, gdzieś w rogu piątkowe kazanie, które miał za chwilę wygłosić. W kuchni gotowała się strawa, w jadłodajni rozdawano jedzenie ubogim, w hammamie marmurowe misy wypełniały się gorącą wodą, w sanatorium przygotowywano lekarstwa dla rekonwalescentów, w szpitalu opatrywano rannych, w salach lekcyjnych uczniowie połykali książki, w stajniach karawanseraju doglądano koni podróżnych przybyłych z dalekich stron, a w *muwakkithane* poranne słońce wskazywało godzinę. Oto w Konstantynopolu został ustanowiony porządek. Od zdobycia miasta Mehmed starał się je odbudować: stawiał mosty, zajazdy, łaźnie i bazy, wznosił nowy pałac, otwierał akwedukty i karmił ubogich. Jego życzeniem było, by mieszkańcy miasta zaznali szczęścia, by zanim trafią na tamten świat, już na tym doczekali się spokoju, by państwo kwitło w dobrobycie. Władza trafiła w jego ręce po to właśnie, by dokonał tego dobra. Był cieniem Boga na ziemi, dziedzicem Cesarstwa Wschodniorzymskiego, jedynym pretendentem do tronu całego świata, chanem Mehmedem, synem Murada, zawsze zwycięskim, jak pisał na swojej tuzrze. Poczł, jak wzrasta w nim i pęcznieje pragnienie władzy, jak wzbiera w nim niepohamowana żądza podboju. Wymierzył Bizancjum ostatni cios, zdobył setki bałkańskich zamków i zrzucił korony z głów królów; klękały przed nim Peloponez i Serbia, Pont i Amasra, lecz Rzym wciąż pozostawał niepokonany. Sułtana niepokoiło, że papież mu się opiera, a wojny z Wenecją za nic nie mogą zakończyć się zwycięstwem; bał się też, by kłopoty z Uzunem Hasanem²⁴ na wschodzie nie stały się jeszcze poważniejsze. Pomyślał, że aby zrealizować swoje marzenie o imperium obejmującym cały świat, powinien prosić Boga o siłę i przyrzec mu, iż zrobi wszystko, żeby osiągnąć cel, nie zawaha się nawet poświęcić życia. Po chwili jednak uznał tę myśl za niewłaściwą. Czyż nie przybył do meczetu po to, by o wszystkim zapomnieć, by uciec od problemów tego świata i znaleźć schronienie w wiedzy, w zakamarkach duszy? Dlaczego więc jego myśli biegły ku Rzymowi, ku Uzunowi Hasanowi, ku Wenecji? Dlaczego wciąż nie nauczył się powściągać swych pragnień, ograniczać swoich marzeń o władzy? Jego mistrz, Akszemseddin²⁵, poradził mu pewnego dnia, by prawdy szukał nie w wojnie ani w modlitwie, lecz w samym sobie. Sułtan wyrzuca sobie teraz, że nie wcielił – i nigdy nie wcieli – tej rady w życie. Nagle ogarnia go przemożna tęsknota za starcem. Odkąd odszedł, a później udał się na wieczny spoczynek, minęło wiele lat, lecz Mehmed wciąż tak mocno odczuwa jego duchową obecność!

Mehmed przysiadł więc obok fontanny na dziedzińcu meczetu noszącego jego imię

i wspomina dni spędzone z Akszemseddinem. Z początku staje mu przed oczami broda mistrza, biała jak obłoki na wiosennym niebie, potem przypomina sobie jasną twarz i błyszczące czarne oczy. Widzi go, jak odprawia zikr w klasztorze na obrzeżach Edirne. Otaczający go derwisze wykrzykują imię Boga, a budynek trzęsie się w posadach. Wszyscy na wół przytomni, boso i bez nakrycia głowy kiwają się w transie, odziani w białe szaty. Właściwie nie można tego nazwać kiwaniem. Wymawiając pierwszą sylabę, unoszą głowy w prawo, by przy drugiej nagle opuścić je szybko w lewą stronę, nad serce, tak jakby mieli oderwać je od szyi. Tempo wyznaczone tamburynami i kastanietami stopniowo wzrasta. *La ilahe* – Nie ma boga – słychać i głowy unoszą się z zamkniętymi oczami. *Illallah* – oprócz Boga – i głowy opadają na lewo, tak szybko, jakby miały oderwać się od ciał. *La ilahe illallah! La ilahe illallah! La ilahe illallah!* Akszemseddin – jedyny z zakrytą głową – usiadł po turecku w środku kręgu tworzonego przez uczniów i patrzy w nieokreślony punkt. Wydaje się, jakby był w innym świecie. W podróży, w którą wyruszył, obcuje z aniołami. Jego wargi delikatnie się poruszają. Nikt nie jest tego świadom, gdyż zarost całkowicie zakrywa mu usta. Mehmed jednak się domyśla, że mistrz powtarza pewną modlitwę, a właściwie nie tyle modlitwę, ile tajemnicę, którą zna tylko on i Bóg. Wszystko bowiem zależy od owej tajemnicy. Tak, Mehmed wierzy, że jeśli zdobędzie Konstantynopol, stanie się tak za sprawą Akszemseddina. Wie, że jego własna modlitwa, modlitwa grzesznika, którego ręce zbrukały się krwią brata, gdy tylko wstąpił na tron, nie będzie miała posłuchu u Boga. Dlatego całą uwagę skupia na szejchu. Dźwięk tamburynów stopniowo narasta. Derwisze wpadają w ekstazę i zaczynają bić się po ciałach i zrywać z siebie odzienie. Niektórzy tracą przytomność i padają na dywany. Akszemseddin pozostaje zaś nieruchomy jak antyczna rzeźba. Porusza jedynie ustami. Owe usta proszą wielkiego Boga, którego imię przyzywają wszyscy dookoła, o zwycięstwo, które odmieni losy świata. Białobrody starzec powtórzy tę prośbę już rok później, gdy stanie przed murami miasta. Niestrudzony i zdecydowany, do końca będzie wierzył, że zwycięstwo zostanie ofiarowane wszystkim muzułmanom uosabianym przez Mehmeda. Mehmed wszystko pamięta. Na nowo ogląda rytuał, który obserwował z ukrycia w klasztorze bajramitów. Wszystko ma przed oczami żywe i wyraźne. Do klasztoru przybył też w gości pewien mewlewita. Mehmed widzi, jak po zikrze ów gość rozpoczyna mistyczny taniec. Jest młodszy i o wiele wyższy od Akszemseddina. Głową niemal dotyka sufitu – tak wysoki jest ten szczupły młodzieniec. Zaczyna się obracać. Gdy to robi, jego suknia otwiera się niczym nenufar. Mehmed nie potrafi oderwać od niego wzroku. W jednej chwili zapomina o wszystkim. Zapomina, kim jest, jakie ma plany, jak wielka odpowiedzialność spoczywa na jego barkach. Zaczyna obracać się w myślach razem z derwiszem. Wiruje w czystych, silnych objęciach młodzieńca ze stepu i traci przytomność we wspaniałej jasności, w świetle mocniejszym niż to, które rzucają lampiony. Nie jest już sułtanem Mehmedem, nie jest głową państwa ani wodzem armii. Pozostaje jedynie człowiekiem, jaźnią, która roztapia się jak świeca umieszczona w lampie, a wtedy jeszcze głębiej odczuwa swój niebyt i w owym niebycie powstaje, zyskuje prawdziwy byt. Jest sługą. Rytuał doprowadza go do innego, służebnego ja, które w sobie nosi. Gdy wiruje, wirują też omdlałe, powykęcane twarze, które go otaczają. Mehmed budzi się ze snu na dźwięk pięknego, niskiego głosu mewlewickiego derwisza, na jego słowa, które odbijają się od niskiego sklepienia klasztoru przyjemnym dla ucha echem.

Pięknie stąpasz, o Duszo Dusz,
lecz nigdzie beze mnie nie idź.
Tyś życiem przyjaciół swoich,
więc sam do ogrodu nie idź²⁶.

– O Duszo Dusz! – mówi derwisz głosem Rumiego. – Nigdzie beze mnie nie idź!
Dlaczego ci mewlewici wciąż rozprawiają o rozłące?! O czym tu mówić? Poza tym nie wiadomo, o jaką rozłąkę chodzi. Czy o dystans między człowiekiem a Bogiem, czy o rozstanie kochanków, czy może o łkanie neju? Nej został oddzielony od trzciny, człowiek zaś – od swojego ideału. Jedno i drugie pogrążone jest w rozpacz:

Słuchaj, jak ten flet trzciniowy swą smutną opowieść snuje,
jak on z powodu rozstania skarży się i lamentuje²⁷.

– Proszę, beze mnie nie idź – mówi derwisz. – Beze mnie nie idź – łka, a wtórują mu drgający płomień świecy i skóra tamburyna. – Nie idź.

Niebo, beze mnie się nie kręć;
Księżycu, beze mnie nie świeć.
Ziemio, beze mnie nic nie ródź;
Czasie, beze mnie się nie śpiesz²⁸.

Głos wyraża nie tylko ból rozstania, lecz także radość z bycia razem. Wykrzykuje, jakim szczęściem jest przebywanie na tym świecie, bycie częścią całego stworzenia wraz z nocą i dniem, gwiazdami i księżycem na niebie, a na ziemi – glebą, wodą, roślinami, zwierzętami i ludźmi. Wciąż jednak najważniejsza pozostaje rozłąka. To ona bowiem jest jedynym sensem życia, tym, co umożliwi ponowne zjednoczenie. Gdy derwisz wiruje, wirują także słowa w umyśle Mehmeda. Mistyk odchylił głowę na bok, a to, co zbiera z ziemi lewą ręką, otwartą ku niebu prawą przekazuje wszechświatowi; aby przyspieszyć, aby wirować jeszcze szybciej, przy każdym tupnięciu nogą powtarza:

Nigdzie beze mnie nie idź²⁹.

Za każdym razem wysławia swój ból coraz głębszym krzykiem, coraz bardziej przejmującym tonem:

Uważnie mi się przyglądasz,
Lecz nigdzie beze mnie nie idź³⁰.

Po zdobyciu miasta, a tym samym osiągnięciu celu, Mehmed spędził noc w namiocie z Akszemseddinem, a nazajutrz rano szejch wyjechał w swoje strony, do Göjnik, by nigdy już nie powrócić. Tak, by nigdy, ale to nigdy już nie powrócić. Owego ranka Mehmed po raz pierwszy w życiu odczuł ból rozstania; chciał paść mistrzowi do stóp i ruszyć za nim.

– Dane ci są tron i miecz, nie suknia derwisza! – pouczył go Akszemseddin, po czym kazał mu wziąć się w garść i poradził, by trzymał się z dala od grzechu, a nad przyjemnościami cielesnymi stawiał duchowe.

Sułtan wciąż ma w pamięci listy, które otrzymywał potem z Göjnik. Wiedząc o zainteresowaniu swojego ucznia mistycyzmem, szejch pisał z właściwą sobie dalekowzrocznością: „Nie sądz, że jesteś taki jak inni ludzie. Nie zajmuj się niczym innym, jak tylko naprawianiem kraju!”. Mehmed posłuchał słów mistrza i tak dożył dzisiejszego dnia. Doprowadził państwo i jego mieszkańców do dzisiejszego stanu. Do dobrobytu.

Czy rzeczywiście tak było? Czy rzeczywiście czynił tylko dobro, nigdy nie postępował źle? Mehmed ma co do tego wątpliwości. Wie, że nosi w sobie też zło, że niektóre jego działania wynikały ze złych pobudek. Nie czuje jednak żalu. Nie boi się ani piekła, ani Boga. Chce tylko zapomnieć. Zapomnieć o przelanej przez siebie krwi, o ciałach, których dotykał, o duszach ofiarowanych katom – o wszystkim. Wirować jak tańczący derwisze i dzięki temu uwolnić się od

bytu. Nie powinien w ciele i w sercu czuć bólu rozłąki. Jakiej rozłąki? Przecież nigdy nikogo nie kochał! Miłością obdarzył jedynie Konstantynopol. Tak, na tym świecie najbardziej kochał to miasto, i gdy tylko połączył się z nim, osiągnął swój cel, natychmiast o nim zapomniał. Być może trochę kochał także swego mistrza Akszemseddina. Długo go błagał, by nie wyjeżdżał do Göjnik, lecz nie udało mu się go przekonać. Owej nocy, którą spędzili razem w namiocie, Mehmed pojął – co prawda, odrobinę za późno – jak bardzo kocha tego starca. Później jednak, choć wspomnienie mistrza wciąż wstrząsało ciałem sułtana w ekstazie i przepelniało jego serce cierpieniem, przywykł do braku Akszemseddina. Rumi tymczasem kochał naprawdę. Zapomniawszy o wszystkim, nurkował w morzu miłości. Na świętej twarzy Szamsa³¹ potrafił ujrzeć oblicze Boga. Potrafił połączyć się w jedno serce, w jedną duszę z tym, kogo kochał, kogo pragnął. To oczywiste, że o bólu rozłąki należy krzyczeć. To oczywiste, że brak ukochanego należy odczuwać w głębi serca. Gdyby Mehmed kiedyś kogoś pokochał, naprawdę pokochał, także zapomniałby o całym świecie. Tak się jednak nie stało i nie powinno się stać. Powinien pozostać na tym świecie i poprzestać na jego problemach, nie odpowiadać na wezwanie cielesnej miłości. Nagle przypomina sobie swojego ukochanego syna, księcia Mustafę. Jak mógł o nim zapomnieć? Nawet nie przyszedł mu do głowy! Owszem, jest na tym świecie ktoś, kogo kocha, istota, z której nie potrafiłby zrezygnować, która nadaje sens jego życiu: księżę Mustafa! Może powinien odstąpić mu tron i usunąć się na bok? Oddać się rozmyślaniom, tak jak jego ojciec? Albo hulankom, które trwałyby całe dni i noce. Stworzyć dla siebie osobny świat, pełen przyjemności i wiedzy, mistycznych rytuałów i ekstazy. Zrezygnować z istnienia, uwolnić się od tego świata, którym wciąż się nie nasycił, którego wciąż tak bardzo pragnie. Spędzić resztę życia nad brzegiem Tundży w Edirne, na rozmowach z mędrkami i ucztach z pięknymi ludźmi.

Mustafa jednak nie zdołałby zrealizować wszystkich zamierzeń ojca! Być może nawet podtrzymałby potęgę Osmanów i podbił nowe krainy. Lecz nie wzięłby Rzymu. Tylko on sam, tak, tylko chan Mehmed, syn Murada, zawsze zwycięski może objąć swym panowaniem cały świat. Dzięki temu uczuciu, dzięki temu marzeniu, które nagle przekształciło się w przekonanie, Mehmed otrząsa się z zamyślenia. Przechodzi go dreszcz doznania podobnego do miłości, lecz jeszcze od niej większego: wreszcie pragnienie władzy przeważa nad miłością. Sułtan jest gotów zaakceptować samotność i brak miłości – byle tylko mógł urzeczywistnić swoje wielkie marzenie. Byle tylko przed śmiercią osiągnąć to, o czym śni. Rozgromił już Bizancjum i sprawił, że z Hagii Sophii rozległ się dźwięk ezanu; teraz pozostawało jedynie pokonać Państwo Kościelne i przekroczyć konno mury Watykanu. Oczami wyobraźni widzi drzewo jabłoni. Na jego gałęziach wiszą błyszczące jak słońce, wielkie, czerwone owoce. Drzewo jest na wyciągnięcie ręki, lecz Mehmed i tak waha się przed zerwaniem jabłka. Wie, że zdobycie Rzymu nie będzie tak proste, jak chwycenie owocu zwisającego z gałęzi. Drzewo ma wszak tuż przed sobą. Stoi na skraju nieogrodzonego sadu, wśród kolczastych róż, goździków i fiołków. Mehmedowi wydaje się jednak, że owoc z tego drzewa nie przypadnie mu w udziale. Że gdy tylko poń sięgnie, jabłoń zniknie. Dlatego woli patrzeć z daleka i oddawać się rozmyślaniom, ostateczną decyzję pozostawia na później. Nagle zaczyna płonąć w nim ogień. Pragnie zerwać jabłko już teraz, w tej chwili. Już ma wyciągnąć dłoń ku gałęzi, zrezygnowawszy z dotychczasowych postanowień, gdy nagle muzyka, do której był przyzwyczajony od tak dawna, do której przywykły nie tylko jego uszy, lecz niemal całe ciało, urywa się. W tej samej chwili derwisz przerywa taniec i pada na ziemię. Mehmed spotyka się wzrokiem z Akszemseddinem. Starzec uśmiecha się do sułtana, tak jakby odczytał wszystkie jego myśli. Nie wiadomo, czy owym uśmiechem chce powiedzieć padyszachowi, że jeszcze za wcześnie, czy może próbuje go przekonać, by nie żywił próżnej nadziei, gdyż owoc tego drzewa nie jest przeznaczony dla niego. Po prostu się uśmiecha. Mehmed niemal traci zmysły, próbując zrozumieć, o czym myśli szejch,

jakie uczucia wypełniają jego serce; starzec jednak wstaje i oznajmia, że rytuał dobiegł końca.

Siedząc przy fontannie, Mehmed uświadamia sobie, że pamięć powoli zaczyna przesłaniać mu mgła, że myli wydarzenia i daty, miesza rzeczywistość ze snami. Gdy z ukrycia obserwował mistyczny rytuał w klasztorze Akszemseddina, nie był wszak jeszcze zdobywcą Konstantynopola. Dopiero później, znacznie później, w jednym z listów pisanych z Göjnik szejch wyjaśnił mu, który owoc przypadnie mu w udziale w jakim czasie, i przypominając mu, że pewien sen odmienił jego własne życie, zasugerował, iż także życie sułtana zostanie odmienione przez sen, sen, który przyśni mu się w Noc Przeznaczenia³². Od tamtej pory Mehmed co roku kładzie się wcześniej w tę noc. I – jakież to dziwne – za każdym razem, zawieszony pomiędzy snem a jawą, widzi tę samą jabłoń, stojącą w dziwacznej ciemności. Widzi ją, lecz nie ma już nikogo, kto mógłby mu wyjaśnić ten sen, kto mógłby mu powiedzieć, jak powinien postąpić. Właśnie wtedy, gdy we wszystkich meczetach imperium jest odprawiana modlitwa, a dłonie wiernych unoszą się w błagalnym geście ku niebu, sułtanowi zdaje się, że słyszy głos Akszemseddina. Szejch opowiada władcy, jak został uczniem Hadżego Bajrama Welego³³. Mówi, jak rozpalony ogniem miłości, zszedł z drogi szariat i wstąpiwszy na mistyczną ścieżkę, zaczął wędrować po ostępach Anatolii i zapominać o wszystkim, co wiedział, aż pewnego dnia, na środku stepu, natrafił na klasztor Bajrama.

– Uznałem – kontynuuje – że mistykowi nie przystoi przejadać tego, co ma, choćby nawet cały majątek miał rozdać ubogim, i żebrać o chleb, więc natychmiast odszedłem z tego klasztoru. Widać nie uleczyłem się jeszcze z grzechu zwanego dumą. Wyruszyłem do Aleppo, by tam zostać uczniem szejcha Zejnela Hafiego. Lecz w karawanseraju, gdzie zatrzymałem się na noc, przyśnił mi się sen. Założono mi w nim na szyję łańcuch, którego kraniec wziął w rękę Bajram Weli. Na drugi dzień wróciłem do Ankary. Hadży Bajram wraz ze swoimi derwiszami był w trakcie żniw. Ja także chwyciłem za sierp i dołączyłem do nich. Pracowaliśmy bez przerwy aż do południa. Gdy słońce stanęło w zenicie i zaczęło palić nam głowy jak ogień, zrobiliśmy przerwę. W cienistym miejscu rozstawiono stoły. Wszyscy zasiedli do posiłku, lecz mnie nikt nie zaprosił. Nieco dalej stały miski z jedzeniem dla psów. Cóż mogłem zrobić, dołączyłem do zwierząt i jałem jeść wraz z nimi. Widząc to, Hadży Bajram zawołał do mnie: „Chodź no tu, młodzieńcze bez brody, szybkość mnie udobruchał”, i wezwał mnie gestem do siebie. Tak oto uczyniłem pierwszy krok w stronę ognia, którym płonął mistrz. A gdy sam już się nim zająłem, wspierany modlitwą szejcha, ruszyłem do Edirne, by założyć tam klasztor bajramitów.

Akszemseddin opowiedział tę historię owej nocy w namiocie. I zapowiedział, że gdy już umrze, Mehmedowi przyśni się w Noc Przeznaczenia sen, który sułtan winien uznać za wskazówkę. Mehmed nagle pojmuje prawdę. Jedyłą prawdę swojego życia, swojego losu. Nie powinien być dumny. Choćby nawet był zdobywcą Konstantynopola, powinien powstrzymać się od pychy. To właśnie chciał powiedzieć Akszemseddin. Dawał mu do zrozumienia, że tylko wtedy, gdy będzie pokorny, gdy będzie uctował z psami, jeśli zajdzie taka potrzeba, zdoła osiągnąć cel. Jak to się stało, że dotąd tego nie rozumiał?! Oznacza to, że choć podbił tyle krajów i zdobył tyle ziem, odejdzie z tego świata, nim zerwie upragnione jabłko, nim osiągnie swój najważniejszy cel. Odejdzie z tego ukochanego i zarazem przeklętego świata. Tymczasem dawno temu, tak, bardzo dawno temu, Aleksander zawładnął całą ziemią! Wszystkie ludy zjednoczył pod jednym sztandarem. Gdy maszerował na wschód, korony spadały z niezliczonych głów i niezliczeni władcy gięli przed nim kolana. Swym panowaniem objął Wschód i Zachód, ląd i morze, ziemię i niebo. W młodości Mehmed nie mógł się nasłuchać historii o Aleksandrze. Gdy przebywał w Manisie i niecierpliwie czekał dnia, w którym znowu zasiądzie na tronie, mułła Gürani³⁴ czytał mu z iluminowanej książki, ozdobionej miniaturami, a on słuchał.

Idąc na czele potężnego wojska, Aleksander wraz ze swoimi dowódcami przekraczał

rzeki i góry, przemierzał bezkresne pustynie i oceany. Te same oceany, które – gdyby wypełniał je atrament – nie starczyłyby do opisanego zwycięstw dwurogiego władcy świata. Tak, imię Aleksandra Wielkiego brzmiało Zu'l-Karnajn, gdyż był jedynym królem, który panował zarówno nad Wschodem, jak i nad Zachodem, który sprawował władzę nad całym światem. Nie było na ziemi kraju, którego by nie podbił, nie było władcy, którego by sobie nie podporządkował. Dane mu były zarówno miecz i tron, jak i siła i piękno. To on rozbijał armie i palił miasta. Ci, którzy mu nie ulegli, byli srogo karani, a ci, którzy się poddawali, ślali mu dary, aby uratować życie, tak jak indyjski książę Keid. Spośród wszystkich prezentów, które ów władca podarował Aleksandrowi, uwagę Mehmeda najbardziej przyciągał zawsze pełny kielich. Nie interesowali go ani Roksana, księżniczka o twarzy jak księżyc, oczach jak gazela, brwiach jak łuki, rzęsach jak strzały, zębach jak perły, policzkach jak jabłka, ustach jak czereśnie i sylwetce jak cyprys, ani stary mędrzec znający wszystkie sekrety kosmosu jak własną kieszeń, ani nawet medyk zdolny odgadnąć wszystkie choroby człowieka z kropli jego moczu. Myśli chłopca zaprzętały tylko ów złoty kielich. Naczynie, które się nie opróżniało, gdy pito z niego wino, zdawało się symbolizować pragnienie wiedzy, jakie żywił Mehmed. Czyż Prorok nie powiedział: „Wiedzy szukajcie choćby i w Chinach!”? Zamkniętego w pałacu w Manisie Mehmeda interesował cały świat; dokładał wszelkich starań, by poznać przebieg wszystkich wydarzeń w kosmosie, ruchy księżyca i innych ciał niebieskich oraz się dowiedzieć, co dzieje się w każdym z siedmiu nieb, a także na ziemi. Być może jednak kielich zawsze pełny wina wyrażał jedynie pasję poety do pijaństwa? Poeci uwielbiali rozrywki i przyjemności; zawsze towarzyszyli padyszachowi w jego hulankach. Tak czy inaczej, tym, co najbardziej podobało się Mehmedowi w przygodach Aleksandra, były nie wojny prowadzone przez władcę świata, lecz jego niekończąca się ciekawość. Aleksander, tak jak Mehmed, czuł niepokonane pragnienie, by rozwikłać wszystkie zagadki wszechświata, i płonął nie tylko żądzą władzy, lecz także umiłowaniem wiedzy. A gdy mułła Gürani czytał *Księgę Aleksandra*, Mehmed wraz z antycznym królem przemierzał całą ziemię. Ruszał w drogę jego tropem, by rozmawiać z niejedzącymi mięsa fakirami w Indiach i z wybitnymi teologami w Mekce, a w Etiopii spotykać płomiennookich Murzynów, zakrywających twarze jak kobiety. Razem gubili się w mrocznych puszczech. Otaczały ich wściekle lwy, dziki o ostrych kłach, węże i żmije. Gdy zabili już wszystkie te potwory, wyrastały przed nimi góry, których ośnieżone szczyty przebijały nieboskłon. Pokonali straszliwego smoka mieszkającego po drugiej stronie gór, a dotarłszy do miasta kobiet, zatrzymali się nad głębokim jeziorem. Na przeciwległym brzegu mieściło się miasto zwane Herum. Nie mieszkał w nim żaden mężczyzna. Kobiety zaś jeździły tam konno i przypasywały sobie miecze, a w strzelaniu z łuku i w walce maczugą nie mogli się z nimi równać nawet najdzielniejsi żołnierze. Każda miała jedną pierś – jak czerwony owoc granatu toczący się po jedwabiu – druga zaś była wycięta. Wszystkie były dziewicami. Gdy któraś z nich zapragnęła wyjść za mąż, wypędzano ją z miasta, a jeśli przepłynęła jezioro, znalazła męża i urodziła córkę, ta wracała do Herumu. Kobiety pełniły straż pod wielkimi drzewami na brzegu głębokiego jeziora. Gdy któraś pokonała w walce mężczyznę i zrzuciła go z konia, na głowę zakładano jej koronę, a uszy przystrajano złotymi kolczykami. Widząc przed sobą armię kobiet noszących złote kolczyki, Aleksander zrezygnował z zamiaru oblężenia tego dziwnego miasta, otoczonego wodą zamiast murami, i za pozwoleniem mieszkanki zagubił się na ulicach, by rozwikłać jego tajemnice. Podczas przechadzki spostrzegł, że zaczęła się zamieć. Domy, pałace i góry – wszystko pokryło się śniegiem. Nagle się zorientował, że jest nie w mieście, ale nad jakąś wodą. Gdy spojrzął w jej taflę, zobaczył kręcone włosy i błękitne oczy. Wtem z całym swoim wojskiem znalazł się na pustyni. Ze zbroi żołnierzy strzelały płomienie. Było tak gorąco, że końskie podkowy niemal topniały w słońcu. Jakby świat zmienił się w piekło z piasku. Żołnierze byli

zmęczeni, a konie spragnione. I tak oto przemierzali gorące pustynie i pokryte śniegiem góry, zatrzymywali się nad rzekami i przekraczali bezkresne równiny, zmagali się z węzami na wyspach i z drapieżnymi ptakami w lasach, rozgramiali armie i niszczyli mury, aż wreszcie dotarli do krainy zamieszkiwanej przez ludy Goga i Magoga.

Ludzie ci, prawdę mówiąc, byli przedziwnymi istotami. Twarze mieli całkiem czarne, a oczy jak węgielki. Także ich języki i spojrzenia były czarne. Używali dziwacznej mowy, której nikt nigdy wcześniej nie słyszał. Ich ciała, przywodzące na myśl drapieżne zwierzęta, całe pokryte były włosami. Mieli szerokie barki i uszy podobne do uszu słońi. Gdy kładli się spać, jednego ucha używali jako poduszki, a drugim nakrywali się jak kołdrą. I żadna broń nie potrafiła ich zabić. Ich samice za jednym razem rodziły tysiące dzieci, a wraz z nadejściem wiosny całą krainę zalewało rozszalałe zielone morze. Z czarnych chmur, niesionych szalonym wiatrem, na głowy spadały im węże. Żywili się nimi i nasycali swe żołądki, a gdy robiło się ciepłej, ich głosy, przypominające kamienie spadające w lawinie, upodabniały się do gruchania gołębi. Aleksander zabrał się do pracy i przy pomocy murarzy, sprowadzonych z czterech stron świata, zbudował mur, za którym uwięził owe monstra.

Mehmed przypomina sobie pewien zachód słońca w Manisie. W jego komnacie jeszcze nie płoną lampy. Gürani siedzi przed nim po turecku i czyta *Księgę Aleksandra*. Słowa pojedynczo spływają z jego ust. I gdy tak spływają, kropla po kropli tworzą głębokie jezioro. Poemat ciągnie się jak pięknie kaligrafowane litery arabskiego pisma, a z każdą strofą, z każdym wersem przed oczami Mehmeda ożywają coraz to nowe odległe krainy. Chce poddać się magii słów, dać im się porwać. W głąb tworzonego przez nie jeziora. Jednak gdy opowieść dociera do kraju Goga i Magoga, ogarnia go strach. Nauczyciel przerywa na chwilę lekturę, aby księżę przestał się bać. Wraz z wieczornym półmrokiem pokój wypełnia także cisza. Wszystko wydaje się takie odległe, niewyraźne. Mehmed czuje się nagle tak, jakby przebudził się z głębokiego snu. Na wprost siebie widzi górę. Jest taka bliska i majestatyczna, że wydaje się, jakby zaraz miała runąć na pałac. Być może lud Goga i Magoga mieszka właśnie za nią. Gdy w dzień sądu nieboskłon zwinie się jak kartka, a góry powstaną i zaczną chodzić, gdy ziemia rozstąpi się i wyskoczą spod niej martwe ciała, ów lud podbije cały świat. Mehmed pyta mistrza, czy to plemię naprawdę istnieje. Gürani nie odpowiada od razu. Cisza staje się nie do wytrzymania, a pałac na dobre pogrąża się w ciemności. Świat i tak jest pełen zła, niebo i tak zgubiło drogę. Gdzieś obraca się jakieś koło, ale jak, skąd i dokąd? Nikt, absolutnie nikt tego nie wie. Nawet Aleksander. Tak, ani Aleksander, ani Gürani nie znają tajemnicy ciemności. Czyżby Gog i Magog byli jej siłami? O, wielki Gürani, powiedz, czy taki lud naprawdę istnieje?

– Oczywiście, że tak – odpowiada mistrz po dłuższej chwili. – Nawet w Koranie jest o nim mowa.

Następnie recytuje fragmenty sury *Grota*. Mehmed pamięta słowa mistrza, które tym razem rozbrzmiewają niczym huk trzęsącej się ziemi, niczym trąba apokalipsy:

– „I będę ciebie pytać o Zu’l-Karnajna. Powiedz: «Ja przytoczę wam o nim pewne wspomnienie». Oto umocniłszy go na ziemi i daliśmy mu do każdej rzeczy jakąś drogę. I poszedł on po pewnej drodze. A kiedy dotarł do zachodu słońca, to zobaczył, że ono schodzi do jakiegoś błotnistego źródła; a przy nim napotkał jakiś lud. [...] Następnie poszedł inną drogą. Aż kiedy doszedł do wschodu słońca, spostrzegł, iż ono wschodzi nad ludem, nad którym nie rozpostarliśmy żadnej zasłony, która by go przed nim chroniła. [...] Następnie znowu poszedł inną drogą. Aż kiedy doszedł do miejsca znajdującego się między dwoma zaporami, znalazł za nimi pewien lud, który zaledwie mógł pojąć jakąkolwiek mowę. Oni powiedzieli: «O Zu’l-Karnajnie! Oto Gog i Magog sieją zgorszenie na ziemi! Czy moglibyśmy przygotować dla ciebie daninę, abyś zbudował między nami i między nimi zaporę?». On powiedział: «To, w czym

umocnił mnie mój Pan, jest lepsze; udzielcie mi więc wydatnej pomocy, a ja zbuduję między wami a nimi tamę. [...] A kiedy przyjdzie obietnica Pana, to On uczyni ją pyłem»”.

Mehmeda ogarnął wtedy taki strach, jakby nadszedł zapowiedziany czas, a postawiona przez Aleksandra zapora runęła i lud Goga i Magoga miał objąć cały świat. Jakież był wówczas naiwny, jaki łatwowierny! Do tego stopnia, że wierzył we wszystko, co usłyszał albo przeczytał. Tak jednak mówił przecież Koran, takie było słowo Boga. Gdy nadejdzie koniec czasu i mur runie, to lud Goga i Magoga, a nie on obejmie władzę nad światem. Tymczasem teraz – kto wie, ilu ludzi porównuje go do tego dzikiego plemienia, ilu ludzi drży w strachu przed jego furią! Powinien więc kontynuować walkę i ruszyć na Rzym. Jak Hannibal. Jak armia Hannibala – ze słoniami na Rzym! No dobrze, a później? Co będzie później, kiedy Rzym zostanie już podbity? Na co zda się ten cały wysiłek, tyle krwi i łez? Gdy wszystko przeminie, gdy śmierć zapuka wreszcie do drzwi. Nawet Aleksander nie zdobył eliksiru wiecznego życia; nikt, nikt na całym świecie nie zakosztował nieśmiertelności. Ani mędrcy, ani święci, ani władcy. Nawet prorocy! „Tak, nawet prorocy!” mówi do siebie Mehmed, rozżalony i przegrany. I przypomina sobie koniec Aleksandra. Zdaje mu się, że słyszy na własne uszy słowa wypowiedziane do króla przez Samotne Drzewo, które ten odnalazł, gdy przemierzył już cały świat, gdy przeżył wszystkie przygody, jakie tylko można sobie wyobrazić, gdy zdobył tyle miast i obalił ich władców, gdy zaspokoił już ciekawość i dotarł najdalej, jak tylko może dotrzeć człowiek. Wielkie drzewo o podwójnym pniu, którego liście szumiały na wietrze, mówi: „Oto dotarłeś na koniec świata. Nie masz już dokąd pójść! Odpocznij teraz, na próżno się męczyłeś!”.

Myśli Mehmeda wracają nagle do czasu, w którym żyje. Jego biografia w niczym nie przypomina przecież biografii Aleksandra. Dzięki Bogu, wciąż jest przy życiu, w pełni sił. Nie zdołał jednak jeszcze dorównać zdobywcy świata, zmarłemu w młodym wieku – i nigdy nie zdoła. Przypomina sobie pomnik Justyniana, który stał za Hagią Sophią. Jakże pewny siebie był władca na tej wysokiej kolumnie, jak majestatycznie się prezentował! Zdawało się, że na swym koniu, stającym dęba, przeskoczy mury i zniknie w obłokach, które zebrały się nad morzem. Prawą ręką wskazywał nieokreślony punkt gdzieś w oddali, granicę znanego świata. Samotne Drzewo stało jeszcze dalej. Do niego właśnie – bo to stamtąd przybywali – Bizancjum wyгнаło skośnookich żołnierzy, którzy przez całe stulecia najeżdżali je na swych koniach, szybszych niż wiatr. W lewej ręce cesarz Justynian dzierżył czerwone jabłko – świat zawieszony pomiędzy firmamentem a korzeniami owego drzewa stojącego na środku stepu, które ze swoim wyschniętym pniem przypominało starego szamana. Justynian nie był rzeźbą z brązu, był symbolem władzy nad światem. Jednak on także nie utrzymał jej na wieczność i utracił ją, tak jak prorok Salomon. Kiedy Mehmed zdobył miasto, strącił pomnik z kolumny i sądził, że zbierze w sobie siłę zmaterializowaną w owym jabłku. Siła ta jednak wymknęła mu się z rąk wraz z kulą armatnią, która zniszczyła zamek w Belgradzie.

Mehmed wstał i się wyprostował. Z narastającym poczuciem niedosytu, z nienasyceniem, które przyćmiewało mu myśli, ruszył w stronę świątyni. Być może tam, pod kopułą, którą kazał zbudować, będzie mógł zaznać spokoju. Zanim wszedł do środka, stanął przed drzwiami i uniósłszy głowę, spojrzął na napis wyryty w kamieniu nad zakratowanymi oknami wyglądającymi na dziedziniec: „Chwała Bogu, Panu światów, Miłosiernemu i Litościwemu”. Tymimi słowami zaczynał się Koran. Prawdziwym panem obu światów, stwórcą wszystkiego był On, wielki Bóg, który nie ma początku ani końca, który stwarza, lecz nie został stworzony, którego nie sposób opisać. Mehmed zaś był w istocie tylko Jego sługą – zupełnie tak jak jego poddani. Człowiekiem wśród ludzi. Słabszym niż posłaniec Boga, Mahomet, ów prorok, którego imię nosił. Ta myśl go uspokoiła. Gdy wchodził do świątyni, by odprawić modlitwę, uświadomił sobie, że nie dokonał ablucji. Zawrócił, przeszedł szybkim krokiem przez dziedziniec z fontanną

i udał się do swojej komnaty w jednej z medres.

Mehmed siedzi po turecku na poduszce i czyta księgę oprawną w skórę, ozdobioną pozłacaną rozetą. Tom rozłożony jest na stojącym przed sułtanem pulpicie, inkrustowanym masą perłową. W świetle padającym przez okno twarz władcy wydaje się nieco blada. Zdjął z głowy turban, włosy ma rozmięzwione. W tym stanie bardziej niż padyszacha przypomina nauczyciela medresy. Skromnego uczonego, który oddał się nauce, a teraz jest pogrążony w świecie ksiąg. Na jego kaftanie z krótkimi rękawami poruszają się jednak obłoki. Wyszywane złotą nicią zdobienia nie przestają lśnić. Na samym środku palmety, powstałej z trzech tulipanów i trzech owoców granatu, rozkwita złotolistny kwiat. Być może to dzika róża, a być może nieznana roślina, której nikt nigdy nie widział, zaistniała jedynie w wyobraźni mistrza tkackiego z Bursy – a więc nie tyle kwiat, ile uosobienie piękna. Białe, gołe ściany komnaty kontrastują z ubiorem Mehmeda. Taki kaftan pasuje wyłącznie do sułtana; właściwe miejsce odnajduje w pałacu, nie w komnacie medresy. Tymczasem Mehmed zasłużył na to pomieszczenie, na ten pulpit i poduszkę; zdobył je, wykorzystując siłę wiedzy. Już nic, nawet jego własny rozkaz, nie będzie w stanie go stąd usunąć. Zdał egzamin, tak, egzamin z prawdziwego zdarzenia. Jak uczeń. Jak niemający jeszcze zarostu chłopiec, który dopiero co opanował lekturę Koranu. Nauczyciele urządzili dla niego egzamin, nie bacząc na to, że jest sułtanem, wielkim zdobywcą Konstantynopola. Jak to jest, że się przed tym nie cofnęli, że nie bali się jego gniewu?!

– Panie – powiedział naczelnik medresy – zażądaj mojej głowy, ale nie proś mnie o komnatę. Jesteśmy ci dłużni wdzięczność. Podarowałaś nam ten przybytek wiedzy. Nie jesteś jednak ani nauczycielem, ani uczniem. Nie możemy przyznać ci tu komnaty.

Prawdę mówiąc, Mehmed nie spodziewał się takiej odpowiedzi. Zachował jednak kamienną twarz.

– Co więc muszę zrobić? – spytał tylko. – Chcę komnatę. Nieważne jaką, ale niech będzie moja. Jestem w końcu sułtanem Mehmedem!

– Jeśli chcesz, panie, możemy dać ci komnatę, ale nie jako sułtanowi, lecz jako uczniowi. Musisz jednak zdać egzamin!

I zdał egzamin. Zasłużył na tę skromną, przytulną komnatę nie siłą piastowanego urzędu ani siłą miecza, lecz wiedzą. Teraz zaś siedzi po turecku i w padającym przez okno świetle wiosennego słońca czyta księgę ustawioną na pulpicie wysadzonym masą perłową. Cóż to jednak za księga! Jakaż mądrość, jakież morze wiedzy ją wypełnia! Jakie piękne słowa, jakie głębokie myśli! I naturalnie, cuda dokonywane przez świętych.

Wydaje się, że zanurzony w lekturze *Masnawi*, Mehmed zapomniał o sobie. Gdyby uczeni, którzy za chwilę będą uczestniczyć w moderowanej przez niego debacie, wiedzieli nie tyle nawet, że czyta tę księgę, ile że w ogóle wniósł ją do medresy, rozpętałoby się piekło. Tak bardzo stoi w sprzeczności z przedmiotem dyskusji i z teologią. Choć Mehmed nie przeczytał dzieła Rumiego od początku do końca, lubi je czasem przeglądać i kontemplować – piękno któregoś wersu, to znów prezentowaną historię, a najbardziej – głęboką wymowę przypowieści. Za każdym razem, gdy bierze *Masnawi* do ręki, księga odsłania przed nim nowy świat, daje mu nowy rodzaj przyjemności. Wyrusza w długą podróż po Europie. Przekracza góry i pagórki. Mija miasta, wsie, pszeniczne pola i pustynie, nocuje w karawanserajach i dociera aż do Indii. Widzi w winiarniach zataczających się pijaków, którym płaczą się języki, szaleńców pozostających na wolności, osły w jednej chwili wywracające targowiska do góry nogami, piękne kobiety, kupców, padyszachów, niewolników, Beduinów i proroków. Śmieje się z muchy, która przysiadłszy na wyschniętym źdźble trawy pływającym w kałuży moczu, uważa się za kapitana,

i pojmuję, że robaka toczącego ludzkie ciało należy spalić; gdy niedźwiedzie się bawią, kozy pozdrawiają się wzajemnie, ptaki fruwią, a pośród ruin sokół wpada między sowy, Mehmedowi się wydaje, że odpoczywa w ogrodzie różanym. Jest chłopem, który w ciemności bierze wołu za lwa i go głaszcze, mężczyzną szukającym swojego wielbłąda, a nawet sułtanem sprawdzającym, do czego nadadzą się kupieni za bezcen niewolnicy. Zapomina o własnej tożsamości i jednoczy się ze światem *Masnawi*. Zawiera nieoczekiwane znajomości i spotyka handlarzy, nędzników i żebraków, na jakich natrafiał na targowiskach i w karawanserajach, gdy w młodości zachodził tam incognito. Księga go porywa – zabiera do Europy, do Indii, do Chin i pozwala mu przekroczyć górę Kaf. I – jakże to piękne – każda opowieść, nawet najprostsza, ma filozoficzne podstawy, mistyczny sens. *Masnawi* to naprawdę niezrównane dzieło. Gdy tylko wszedł do komnaty, wziął ją z szafki umieszczonej w rogu i zaczął czytać pod wpływem myśli, które zaprzętały go przed chwilą na dziedzińcu meczetu, pod wpływem wspomnienia mewlewickiego derwisza z dawnych dni. I już podczas lektury pierwszego zdania zadał sobie dziwne pytanie: dlaczego ta księga, w przeciwieństwie do pisanych przez innych wielkich ludzi, nie zaczyna się od basmali? Dlaczego Dżalaluddin nie rozpoczyna od inwokacji do Boga, lecz od słowa: „słuchaj”? *Bisznaw*. Tak, w tym perskim wyrazie z pewnością kryła się jakaś mądrość. Jakiś ukryty sens, który mógłby odkryć jedynie Akszemseddin. Niestety, Mehmed nie miał nadziei na znalezienie odpowiedzi na swoje pytania, ba! nie pozostał mu już nikt, kogo mógłby zapytać o tajemnicę tego wyrazu. Wszyscy nauczyciele medresy byli zwolennikami doktryny zahiru. W rzeczywistości Mehmed także wiedział, że takie rozważania donikąd nie wiodą, że droga do wiedzy prowadzi przez właściwie zadawane pytania, że racjonalne myślenie daje o wiele lepsze rezultaty niż poszukiwanie ukrytych sensów. Mimo to jednak nie umiał zrezygnować z magii liter, z magii batinu. „Skoro wyraz *bisznaw* zaczyna się od «b» – rozumował – może jest tak po to, by mógł zastąpić basmalę. Czyż sam Ali³⁵ nie powiedział: «Cały Koran zawiera się w jego pierwszej surze, cała ta sura w basmali, cała basmala zaś w rozpoczynającej ją literze b, a cała litera b – w umieszczonej pod nią kropce. Ja jestem kropką pod b»? Czyż archanioł Gabriel nie powiedział do Mahometa w jaskini: *Ikra!/? Ikra*, czyli: czytaj, głoś. Czy wielki Bóg mógłby zesłać prorokowi Koran, gdyby Mahomet był głuchy, gdyby ucho jego serca nie słyszało? I czy litery rozpoczynające każdą surę mogłyby wówczas trafić do serca Proroka? Te wszystkie alify, lamy, mimy³⁶? Podobne do żmij mimy o długich ogonach. Jeśli Ali jest kropką pod b, to czy Mahomet nie mógł kryć się w mim?”

Mehmed wypowiedział pod nosem początek *Masnawi*, której pierwsze osiemnaście bejtów Dżalaluddin Rumi spisał swoimi świętymi dłońmi na kawałku papieru wydobyłym pewnego dnia z turbanu:

Słuchaj, jak ten flet trzciny smutną opowieść snuje,
jak z powodu rozstania skarży się i lamentuje.

Następnie zaczął czytać przypadkowo wybrane fragmenty. W trakcie lektury zmarszczki na twarzy sułtana stopniowo się wygładzały, a jego serce zaznawało spokoju. Raz jeszcze się przekonał, że wszystkie stworzenia poza rybami mogą nasycić się wodą, że owa siła, która krosno świata wypełnia wielobarwnymi niemi, sama jest w istocie bezbarwna, że obraz widoczny w lustrze nie pochodzi z lustra i że wielki Bóg stworzył świat po to, by dać się poznać, by ukazać ów ukryty skarb, którym jest. Nagle utkwiał wzrok w bejcie:

Jest taki zwyczaj u królów, na pewno o nim słyszałeś,
a jeśli o nim słyszałeś, to wiesz i nie zapomniałeś

Dalszy ciąg przeczytał jednym tchem:

że najdzielniejsi rycerze stoją po ich lewej ręce,
ponieważ po lewej stronie w piersi bije nam serce,
nadzorcy zaś i pisarze po prawej miejsce zajmują,
ponieważ to prawe ręce potrafią pisać, notują.
Sufich natomiast królowie zawsze przed sobą stawiają,
ponieważ oni są lustrem: dusze w nich się odbijają,
albowiem lustra serc swoich zikrem wypolerowali,
by mogły ugościć obraz prawdziwy i nieskalany.
Ten, kto się urodził piękny, kto na świat przybył bez skazy,
musi przed sobą mieć lustro, by widzieć piękno swej twarzy.
Piękna twarz kocha zwierciadło, twarz taka lustro miłuje,
gdyż lustro dusze oczyszcza i serc pobożność szlifuje³⁷.

A więc w końcu w *Masnawi* znalazł rozwiązanie! Zawsze podczas dyskusji wynikał problem, kto powinien gdzie siedzieć, wybuchały kłótnie, a sułtan – gdy proszono go o rozstrzygnięcie – nie wiedział, co robić. Ten ustęp z Dżalaluddina mógł zaś rozwiązać ów problem. Czy będzie im się to podobało, czy nie, od tej pory podczas debaty uczeni będą zasiadać zgodnie z porządkiem wyznaczonym w tych wersach. Sułtan przepisał zalecenia Rumiego na kartkę, po czym złożył ją i wetknął za pas. Następnie kontynuował lekturę: czytał o niewolnicy, w której zakochał się padyszach, o jej ukochanym – jubilerze, o szejchach i innych świętych mężach, o turnieju między europejskimi a chińskimi malarzami, o procesie wytoczonym dudkowi przez wronę, o przyjaźni lwa i zająca, o księżycu, słońcu i gwiazdach na niebie, o wodzie na ziemi, o młynie i chlebie... *Masnawi* było prawdziwym skarbem, a nie pierwszą lepszą książką.

Mehmedowi przyszło na myśl, że na regale stojącym przy ścianie mogą znajdować się także inne skarby. Wstał i wziął z dolnej półki dość dużą księgę, po czym rozłożył ją na pulpicie. Gdy tylko ją otworzył, przed oczami ukazał mu się kolorowy świat. Mimo że album był sporych rozmiarów, dało się go łatwo oglądać. Na jego karty w przypadkowej kolejności przyklejano miniatury, dziwaczne rysunki, portrety, ryciny i drzeworyty. Ilekroć Mehmed brał tę księgę do ręki, tylekroć nie mógł oderwać wzroku od pewnej serii ilustracji, umieszczonej pomiędzy scenami bitewnymi, kwiatami, drzewami i ptakami. Owe miniatury różniły się od pozostałych, były o wiele ciekawsze. Sułtan szybko wertował album i zatrzymał się w miejscu, w którym znajdował się podpis: „Sijah Kalem”³⁸; jego spojrzenie jęło wędrować po sylwetkach ludzi uwiecznionych w ruchu, rogatych diabłach z ogonami i brodatych derwiszach z przeróżnymi czapami na głowach. Im dłużej się przyglądał, tym bardziej czuł narastające gdzieś w głębi podniecenie. Przedstawieni na ilustracjach śniadzi ludzie o grubych kościach i twarzach pokrytych zmarszczkami oraz owe przerażające, niemal nagie, owłosione monstra zdawali się prowadzić ze sobą jakąś walkę, pozostawać w niekończącym się ruchu. Walczyli, wymachując błękitnymi i czerwonymi chustami oplecionymi wokół ramion i chwiejąc się na stopach zdeformowanych od stąpania boso, a podczas walki obrzucali się gniewnymi spojrzeniami, czerwonymi jak ogień. Byli też tacy, którzy rozmawiali ze sobą szeptem, wygłupiali się lub podejrzliwie rozglądali naokoło, ciągnąc jednocześnie osły za uzdę czy za ogon. Podczas gdy w rogu pewnej ilustracji dzieci szarpały mamę za ręce, osioł robił pod siebie, jego właściciel zaś – zamiast zebrać odchody wielkości bobu, które sypały się na ziemię – jeszcze głębiej wciskał głowę zwierzęcia do torby z jęczmieniem, na innym fragmencie miniatury mężczyzna o włosach ściętych na jeża robił pranie w miednicy wśród bawiących się psów i rozbrykanych koni. Prócz tych obrazków z życia koczowników album zawierał także inne, bardziej niesamowite sceny. Jednooki, dwurogi diabeł porwał siwego konia w swe owłosione ręce.

Zwierzę skurczyło się znacznie w ramionach demona. Z pyska ciekła mu krew. Ostre zęby, wystające spomiędzy wielkich warg diabła, jego tylne łapy i długie palce, kurczowo trzymające ofiarę, stanowiły naprawdę straszny widok. Inny bies – w czerwonym stroju, z kozią bródką i bransoletami na nadgarstkach i kostkach u nóg – atakował z kolei osła: uniósł gruby konar, z którego odrastały kolejne gałęzie, i zamierzał się nim na zwierzę. Z oczu strzelały mu płomienie. Prawą dłonią schwycił osła za ogon, który splątał się zresztą z jego własnym, wystającym spod sukni. Na ilustracji widniał jeszcze jeden diabeł, przyciskający szyję zwierzęcia do ziemi. On też miał ogon, ostre zęby i bransolety na nadgarstkach i kostkach u nóg. Czy te monstra miały symbolizować zło? A te porwane i prowadzone do piekła zwierzęta – czy były grzesznymi ludźmi, którzy ulegli potrzebom ciała?

Nagle Mehmeda ogarnął strach. Przypomnił sobie własne grzechy. Swoich poddanych, których kazał torturować i traktować tak, jak przedstawione na ilustracjach diabły traktowały czerwone bale drewna cięte piłą na pół, których kazał mordować i wbijać na pal, których krew kazał przelewać. Tak – nie wrogów, lecz własnych poddanych, swoich ludzi. Natychmiast odsunął od siebie te myśli. Powrócił do rysunków przedstawiających walkę dobra ze złem z niesamowitą fantazją, a zarazem z porażającym realizmem. Ten Sijah Kalem rzeczywiście był wybitnym artystą. Jaka szkoda, że nic o nim nie wiadomo. Nikt nie wie, kim był, skąd pochodził i dokąd powędrował, gdzie wykonał swoje ilustracje. Może był Turkmenem przybyłym ze stepu do Anatolii, a może derwiszem zażywającym opium. Mehmed uznał, że powinien wysłać ludzi na poszukiwania Kalema, sprowadzić go do siebie i wypytać o sens tych ilustracji oraz o to, dlaczego przedstawione na nich diabły są tak potężne, a skrzydlate anioły – tak naiwne i strapione jak ludzie.

Sułtan przesunął wzrok na inne miniatury oraz na kolorowane drzeworyty. Większość z nich była dziełem gjaurów. Widniały pod nimi podpisy po łacinie i po grecku. Na jednej z rycin mały obsiadły gałęzie drzewa. Jedne obserwowały stamtąd młodzieńca leżącego w cieniu pod drzewem, drugie gładziły się po łysych głowach, niektóre grały na rozmaitych instrumentach, a jeszcze inne podziwiała swoje oblicza w lustrach, które trzymały w rękach. Bez wątpienia stanowiły symbol zła, nienasycenia i kapryśności.

Mehmed dalej przewracał karty albumu. Na każdej objawiał się przed nim inny świat, a wraz z nim – magiczne piękno. Zachwycał się, oczarowany coraz to nowymi barwami, kreskami i wciąż zmieniającym się światłem. Jego uwagę przykuł czterowersz zamieszczony na końcu księgi, wykaligrafowany w stylu *talik* i podpisany nazwiskiem Abdürrahim Jakubi. W zdumienie wprawił go nie tyle sens wiersza, ile kunszt, z jakim został spisany. Po lewej stronie smok wił się jak wąż wśród kwiatowych motywów, a poniżej feniksy przysiadły na gałęzi, szarpanej wiatrem, i składały skrzydła. Na samym środku, pomiędzy tymi przedstawieniami, widniała jego własna twarz. Dzięki grozie hasła „El gran Turco”, którym opatrzony został jego wizerunek, smok siedzący mu na głowie zdawał się jeszcze bardziej przerażający. Mehmed się uśmiechnął. Jedynym elementem oblicza przedstawionego na rycinie, który wykazywał podobieństwo do części jego własnej twarzy, był nos. Do pewnego stopnia może także pełne wargi. Jednak oczy i brwi, a także starannie uczesana długa broda oraz włosy opadające na ramiona sprawiały, że sportretowana postać przypominała raczej weneckiego kupca niż osmańskiego sułtana. Zapragnął, by ktoś wykonał wierny portret, który naprawdę oddawałby jego wygląd. Nie było to jednak zadanie, jakiemu mogliby sprostać nadworni miniaturzyści. Najlepiej byłoby wysłać posła do Wenecji i stamtąd sprowadzić malarza. Nagle władca poczuł radość. Powinien mieć portret taki jak te, które widział w Galacie i Bizancjum. Obraz, który uczyni go nieśmiertelnym, który sprawi, że przetrwa na tym przemijającym świecie, który do końca czasów poniesie jego wizerunek. Akszemseddin nie przyjąłby tego pomysłu z aprobatą.

Cóż z tego, w końcu sułtan nie musi przestrzegać zakazu tworzenia wizerunków! Jest pogromcą Bizancjum, tysiącletniej cywilizacji ikon i złotych mozaik zdobiących mury kościołów oraz porfirowych pałaców. Ani prorokiem, ani świętym. Jedynie padyszachem. Tak wielki władca powinien mieć przynajmniej jeden portret, który można by umieścić w sali audiencyjnej. Sułtan postanowił, że gdy tylko zostanie zawarty pokój z Wenecją, wyśle posła do Pałacu Dożów, by sprowadzić do Konstantynopola najwybitniejszego malarza. Obecnie nie było to, niestety, możliwe. Na horyzoncie majaczyła wojna. Gdyby tak jakiś artysta pojawił się przed jego śmiercią i nie czekając, aż Mehmed rzuci papieża na kolana, sporządził portret sułtana w dojrzałym wieku...

Mehmed przywiązał się do tej myśli i na trwałe zapisał ją w pamięci. Wówczas jednak, gdy zapatrzony w ilustracje wypełniające album, siedział w swojej komnacie w medresie, nie wiedział, rzecz jasna, że pewnego dnia jego portret powstanie, lecz nie tylko nie zajmie pierwszej strony w podobnej księdze i nie będzie podziwiany, szanowany ani uwielbiany przez jego dzieci, wnuki i wnuki jego wnuków, ale w dodatku zostanie sprzedany kupcom z Galaty przez jego własnego syna Bajazyda, gdy tylko obejmie on tron. Wiedział jednak, kiedy zamykał album rozłożony na pulpicie inkrustowanym masą perłową, że decyzja o tym, by – jeśli starczy mu życia – przy pierwszej okazji zlecić wykonanie takiego portretu, jest nieodwracalna, ostateczna i przynajmniej tak istotna oraz odważna, jak ta dotycząca zdobycia Konstantynopola.

Ulemowie oczekiwali Mehmeda zaraz po zakończeniu południowej modlitwy. Tymczasem gdy padyszach wszedł do sali, było już dosyć późno, słońce zaczynało chylić się ku zachodowi. W świetle wpadającym przez okna przedmioty i ludzie rzucali coraz dłuższe cienie. Spóźnienie sułtana nikogo nie zdziwiło. Ilekroć władca zamykał się w komnacie w medresie, pograżał się w lekturze i zapominał o całym świecie. Wszyscy wiedzieli, że znów zajęła go jakaś księga i że nawet teraz, gdy dotarł już na debatę, jego myśli wciąż krążą wokół niej. Mehmed rzeczywiście był bardzo zamyślony. Spoczął na honorowym miejscu. Uczni stali naprzeciw niego i czekali, aż wskaże im, gdzie mają usiąść. Padyszach skinął na jednego ze sług. Ten zbliżył się do sułtana i wysłuchawszy wypowiedzianego szeptem rozkazu, jął w pośpiechu układać na nowo rozłożone na ziemi poduszki. Tę zaś, która leżała vis-à-vis padyszacha, usunął. Ulemowie nie zrozumieli tych zmian, dokonywanych w ostatniej chwili. Jak zawsze, niezmiernie ich interesowało, kogo tym razem sułtan usadzi naprzeciw siebie; jako że każdy z nich uważał siebie za najbardziej godnego tego zaszczytnego miejsca, wszyscy czekali w gotowości. Usunięcie poduszki oznaczało jednak, że miejsce pozostanie puste. Uczni nie wiedzieli, jak zareagować na tę nieoczekiwaną sytuację.

– Mam świadomość, co was najbardziej dręczy – zaczął Mehmed. – Wreszcie znalazłem rozwiązanie. Nie ma, niestety, wśród nas osoby, która powinna siedzieć naprzeciwko mnie. Wiele lat minęło, odkąd odeszła z tego świata. Od dziś nikt nie będzie zasiadał na tym miejscu!

Wsunął dłoń za pas i wyjął stamtąd kartkę, po czym odczytał fragment *Masnawi*. Wówczas uczni zrozumieli. Sułtan sugerował, że prawo do zajmowania zaszczytnego miejsca należy się Akszemseddinowi, a na potwierdzenie swojej decyzji cytował ustęp z niecieszącego się szczególną estymą mistyka Dżalaluddina Rumiego. Mehmed zlustrował wzrokiem uczonych, którzy stali przed nim, przybierając pełne szacunku pozy, w wielkich, ciężkich turbanach oraz w zielonych, czerwonych i błękitnych kaftanach spływających do ziemi, przewiązanych w talii pasami wysadzonymi drogocennymi kamieniami. Z jakiegoś powodu ubrali się lepiej niż zwykle. Było jasne, że do dzisiejszej debaty przykładali szczególną wagę. Sułtan wiedział, że jest dla ulemów dobroczyńcą, że dzięki pensjom, które im hojnie wypłacał, bardzo się wzbogacili

i obrośli w tłuszcz. Nawet mułła Gürani nie miał na sobie zwykłych, prostych szat. Zawsze gdy Mehmed widział swojego mistrza, ogarniała go ekscytacja i zaczynał drżeć, nie potrafił tego kontrolować. Tak było i tym razem. Gürani stał krok przed pozostałymi uczonymi; wysoki, z brodą farbowaną henną i śniadą twarzą, niepomarszczoną mimo zaawansowanego wieku, raczej epatował majestatem kadiaskera, który to tytuł niegdyś nosił, niż przypominał muftiego Konstantynopola. Odrzucił nawet stanowisko wielkiego wezyra, twierdząc, że nie przystoi ono uczonemu, i poprzestał na tytule najpierw kadiaskera, a potem muftiego. Dumny człowiek nauki podszedł do padyszacha i wyciągnął do niego rękę. Mehmed wiedział, że w przeciwieństwie do pozostałych mułła Gürani nie ucałuje jego dłoni ani kraju kaftana, lecz sam da mu rękę do pocałowania. Powoli uniósł się z poduszki. Gdy nachylał się nad dłonią uczonego, poprzecinaną błękitem żył i pokrytą ciemnymi plamkami, zdało mu się, że widzi laskę wykonaną z krzewu derenia. Laska ta po raz pierwszy sprawiła mu ból w pałacu w Manisie. Gürani używał jej, gdy Mehmed był jeszcze księciem. Nagle sułtanowi pociemniało w oczach. Poczul w ciele niepokonioną ekscytację sprzed wielu lat, ból wywołany przez kij, który miał zawrócić niegrzecznego księcia ze złej drogi. Czas nie upłynął, świat się nie zmienił. Mułła Gürani znów stał naprzeciw Mehmeda. Ogarnęła go tęsknota za tamtymi czasami. Przypomnił sobie podnóże góry, dokąd docierał, przemknąwszy na mlecznobiałym arabie przez sady oraz wypełnione szumem ciemne pieczary, które przemierzał, by schwytać w nich myszołowa, a także rzekę Gediz przecinającą dolinę, w której całymi dniami jeździł konno i strzelał z łuku. Wśród wszystkich tych zajęć i ukochanych zabaw nie było oczywiście czasu na czytanie. Wszak Mehmed urodził się nie po to, by czytać i pisać, lecz po to, by polować, dosiadać wierzchowców i strzelać z łuku. Na nic nie zdały się nawet rady jego ojca Murada; jedynym sposobem na okiełznanie krnąbrnego księcia był kij z krzewu derenia. Także po każdym błędzie popełnionym podczas lektury Koranu na wnętrze jego dłoni spadał ten właśnie pręt. Mehmed spojrzał na Güraniego oczami przepełnionymi wdzięcznością. Miłość do nauki, do gubienia się wśród ksiąg i nurkowania w nieprzebranym oceanie wiedzy zawdzięczał swojemu mistrzowi. Temu wciąż krzepkiemu starcowi, który z kijem w ręku otwierał przed nim wrota mądrości. Mehmed ucałował jego dłoń, po czym pozdrowił go jak zwyczajnego zapaśnika i usadził po swojej lewicy.

Po Güranim do sułtana podszedł Ali Kuszczu. Ucałował dłoń władcy i na znak szacunku przytknął ją sobie do czoła. Dopiero niedawno dostał się pod opiekę Osmanów. Mehmed przypomniawszy sobie, jak bardzo spodobał mu się ten mężczyzna, gdy był jeszcze posłem Akkojunlu³⁹, i jak – zachwycony jego wiedzą – zdołał po licznych prośbach sprowadzić go do Konstantynopola. Choć Kuszczu pozytywnie odniósł się do jego propozycji, Mehmed się nie spodziewał, że uczonego rzeczywiście będzie chciał trafić do medresy przy Hagii Sophii. Ucieszył się więc niezmiernie, gdy Kuszczu przestał pełnić obowiązki posła i doniósł, że wyrusza do Konstantynopola; rozesał wówczas umyślnych, by w każdym karawanseraju, w którym uczonego zatrzyma się po drodze, zostawili po tysiąc sztuk złota. Dogłębna wiedza Kuszczu w dziedzinie astronomii i matematyki nie stanowiła jedynego powodu do radości Mehmeda, wiedział on bowiem, że uczonego był synem dawnego sokolnika Uluga Beja⁴⁰, o którym słyszał co nieco w dzieciństwie, a także że dorastał na dworze samarkandzkiego sułtana, wnuka Timura Chromego⁴¹. Natychmiast po przybyciu do Konstantynopola Kuszczu zjawił się przed obliczem padyszacha i przedstawił mu dwa swoje dzieła, które nazwał *Fethije* (O podboju Konstantynopola) i *Muhammedije* (O Mehmedzie), a w zamian został zaszczycony licznymi tytułami i darami. Mehmed przypomniawszy sobie, o czym opowiadał mędrzec pewnej nocy podczas długiego pobytu w pałacu.

Siedzieli razem w ogrodzie tuż obok sadzawki. Płomienie pochodni palących się przy

dwóch krańcach stołu rzucały refleksy na taflę wody. Niebo było pełne gwiazd. Nie drgał nawet jeden listek – była to gorąca, cicha noc, pełna wrażeń; jasna letnia noc, która pozwalała człowiekowi odpłynąć w dal, za morze Marmara, ciągnące się w świetle gwiazd, dokąd sięgał wzrok, ku bardzo odległej, niemal niemożliwej do osiągnięcia krainie, ku nieznanemu uniwersum. Księżyc był w nowiu. Zapatrzonego w odbicie płomieni, tańczące na powierzchni wody, Mehmed słuchał Alego Kuszczu. Uczony, zgodnie z wolą sułtana, opowiadał mu o Samarkandzie: o ogrodach miasta, o jego zadbanych budynkach, czystych ulicach, bazarach, murach obronnych, chłonących stepowe słońce, rezydencjach i pałacach. Szczegóły przytaczał ze skrupulatnością matematyka, piękno miasta zaś opisywał z wyobraźnią poety. Nim przystąpił do opowieści o przygodzie Uługa Beja, mówił o ludziach, tradycjach i życiu w kraju swojego urodzenia. Transoksania była krainą żyznej ziemi, pracowitego ludu, dzielnych żołnierzy i piękności łamiących serca. Dzięki Bożej łasce ów region, nawadniany przez dwie rzeki, produkował nie tylko wspaniałą pszenicę, lecz także niezliczonych mędrców; rozważa zawsze brała tam górę nad pasją, rozum nad pragnieniem, a sztuka nad brawurą. Mehmed się domyślał, co próbuje powiedzieć mu Kuszczu. Chciał jednak usłyszeć opowieść o Uługu Beju, więc się nie odzywał i cierpliwie czekał, siedząc na czerwonych, błękitnych i czarnych haftach dywanu rozłożonego pod bluszczem, który wspinał się na ścianę ogrodu. Wreszcie przyszyła kolej na historię Uługa Beja.

Kuszczu zaczął od tego, że w przeciwieństwie do swego dziada Tamerlana Uług Bej nie był nieustraszoną wojowniczką, lecz mężem stanu, który poświęcił się nauce, i że jeśli chodzi o wiedzę i pamięć, nie miał sobie równych na całym świecie. Sułtan miał dwie główne pasje, dwie dziedziny, którym poświęcił życie: polowania i astronomię. Nim przystąpił do kalkulowania ruchów gwiazd, zaczął prowadzić zeszyt, w którym notował wszystkie właściwości upolowanych przez siebie zwierząt. Ulubionym zajęciem Uługa Beja było zapisywanie w zeszycie nazw zwierząt w porządku alfabetycznym. Nieżyjący już ojciec Alego Kuszczu, który jako nadworny sokolnik brał udział w wyprawach łowieckich, czasem zabierał ze sobą syna i jemu właśnie powierzał opiekę nad owym zeszycem. Czegóż tam nie było! Zielonogłowe kaczki, żurawie, krzywonogie gęsi, niedźwiedzie – i to dziesiątki gatunków – potem lwy o przerażających paszczach, piękne, zwinne, nakrapiane tygrysy, delikatne sarenki... Chłopiec uwielbiał je wszystkie i podziwiał Boga za to, że stworzył tyle rozmaitych i tak różniących się od siebie gatunków. Później ów podziw miał się przekształcić w niewyczerpaną ciekawość świata, w niekończącą się pasję badawczą, ukierunkowaną na rozwiązywanie tajemnic stworzenia. Kuszczu opowiadał bez wytchnienia. Mówił, ale nie chciał jakoś poruszyć tematu obserwatorium, złego losu, który spotkał Uługa Beja.

Mehmed wysłuchał także cierpliwie historii o tym, jak pewnego dnia, gdy zaginął zeszyt sułtana, ten najpierw wpadł w furję, a potem, uspokoiwszy się nieco, wezwał do siebie Kuszczu i jednym tchem, bez zastanowienia, podyktował mu całą listę zwierząt. Padyszach pochwalił wspaniałą pamięć władcy, jego wyrozumiałość i tolerancję. Kuszczu opisał też Mehmedowi swoje zdumienie, gdy po odnalezieniu oryginalnego zeszytu zobaczył, że między dwiema listami nie ma prawie żadnej różnicy. Cierpliwość Mehmeda niemal się wyczerpywała. Jego gość wciąż nie wspominał nawet słowem o samarkandzkim obserwatorium, o którego sławie Zdobywca słuchał od dzieciństwa i które próbował sobie wyobrazić za każdym razem, gdy patrzył w rozgwieżdżone niebo.

– Czy to wszystko? – przerwał uczonemu. – Czy to cała historia Uługa Beja?

Zapadła dłuższa cisza. Księżyc już zaszedł, a pochodnie zgasły. W tafli wody odbijały się jedynie gwiazdy. Mehmed patrzył na Kuszczu niczym uczeń wyczekujący odpowiedzi nauczyciela i starał się nie okazywać gniewu. Uczony rozumiał, na czym zależy władcy.

– Oczywiście, że nie cała – odparł. – Zdarzyło się jeszcze wiele wspaniałych rzeczy. Zarówno wspaniałych, jak i strasznych. Dobro pomieszało się w Samarkandzie ze złem, mój panie!

Następnie zaczął mówić, tak jakby przekazywał Mehmedowi złe wieści i nie do końca chciał, by sułtan je poznał – zatroskanym, przyciszonym głosem, który czasami obniżał się do szeptu. Najpierw opisał sporządzony przez Uługa Beja plan obserwatorium. Opowiedział, jak władca Samarkandy pracował dniem i nocą i jak zebrał wokół siebie uczonych i architektów, malarzy i budowniczych, murarzy i robotników, w krótkim czasie na wzgórzu na północny wschód od miasta postawił wspaniałą budowlę. Przyciągała ona uwagę nowatorskim kształtem, a zarazem olśniewała kolorowymi malunkami na ścianach. Miała otwartą kopułę i wznosiła się na czterdzieści pięć metrów od ziemi. Była w kształcie walca i miała trzy piętra. Schodzący z góry na dół marmurowy łuk o promieniu czterdziestu metrów dzielił ją na dwie części. Jego powierzchnię pokrywały nacięcia oznaczające stopnie, a dzięki wózkowi poruszającemu się po szynach łączył się on z wieżą obserwacyjną na górze; ustawiono go dokładnie wzdłuż południka. Dzięki temu ogromnemu mechanizmowi kąty tworzone przez trajektorie gwiazd z jednej, a linię horyzontu z drugiej strony mogły być teraz dokładnie obserwowane i mierzone. Jeden koniec marmurowego łuku łączył się z fundamentami obserwatorium, a drugi wyciągał się ku niebu przez otwartą kopułę. Opowiadając to wszystko, Ali Kuszczu był zapałony w dal: wyraźnie przepełniała go tęsknota za czasem, w którym powstawało obserwatorium. Mehmed słuchał w największym skupieniu, wyczekując, co uczoney powie na temat Uługa Beja.

– Być może słyszeliście, panie – ciągnął Kuszczu – że gdy Uług Bej przyszedł na świat, astrologowie orzekli, iż – proszę o wybaczenie – nie będzie on zdobywcą, tak jak jego ojciec, lecz zamiast tego wzniesie się na wyżyny wiedzy. W niedługim czasie przepowiednia się spełniła. W dziedzinie matematyki i astronomii Uług Bej posiadał wiedzę, która pozwalała mu konkurować z naszym najznamienitszym uczonym, Kadyzadem⁴². To on wykonał tablice astronomiczne, które podarowałem tutejszej bibliotece, i to on nauczył mnie wszystkiego, co wiem. Zbadawszy gwiazdy, astrologowie wypowiedzieli jeszcze inną przepowiednię, której nie odważę się powtórzyć na głos.

Mehmed rzucił uczonemu takie spojrzenie, że mimo mroku nocy Kuszczu pojął od razu, iż jeśli nie zrelacjonuje wszystkiego, padyszach wpadnie w gniew. Opowiedział więc natychmiast, że po narodzinach Uługa Beja astrologowie przepowiedzieli także, iż sułtan poniesie śmierć z ręki pierworodnego syna, a władca, który w to uwierzył, otoczył pieczęć młodszego z dwóch potomków, Aziza, natomiast starszego, Latifa, zawsze traktował niesprawiedliwie. Uczony dodał, że gdy minął czas i dzieci urosły, sułtan zaczął się bać i podejrzliwie przyglądać się każdemu ruchowi Latifa – nie bacząc na to, czy rzeczywiście w jego postępowaniu coś było nie tak – a podejrzliwość ta wkrótce przerodziła się w ogromny strach, który jednak na nic się nie zdał. Latif bowiem zbuntował się w końcu przeciwko ojcu i gdy tylko Uług Bej zakończył obserwacje orbity Saturna, którym poświęcił trzydzieści lat, kazał go zabić. Po objęciu tronu natychmiast zburzył obserwatorium i wypędził uczonych z pałacu.

– Ile lat trwa obrót Saturna? – spytał Mehmed.

– Trzydzieści, mój panie.

Zatem to Saturn wyznaczył los Uługa Beja. Jeśli więc Mehmed każe wykonać obliczenia dla swojej gwiazdy, będzie mógł ustalić, kiedy umrze. Od razu postanowił poprosić o to Kuszczu. Samarkandzki uczoney bowiem nie miał sobie równych w matematyce. Czyż nie obliczył, że rok słoneczny ma równo trzysta sześćdziesiąt pięć dni, sześć godzin i dziewięćdziesiąt sekund, a szerokość i długość geograficzna Konstantynopola to odpowiednio czterdzieści jeden i sześćdziesiąt stopni? Mehmed podejrzewał, że to właśnie on po śmierci

Uługa Beja dokończył słynne tablice astronomiczne, zwane *Zidż-i Gürgani*, a wszystkie jego skomplikowane wyliczenia i cała wiedza na temat planet i Ziemi są poprawne. Rozpytywał też innych uczonych i to utwierdziło go w przekonaniu, że astronomiczny i matematyczny geniusz Alego Kuszczu jest niezrównany. Stanowiło to zresztą główną przyczynę, dla której wezwał go do Konstantynopola. Skoro wykształcił go sam Uług Bej, Kuszczu musiał się znać także na astrologii.

Byli sami w pałacowym ogrodzie. Zanim Mehmed poprosił uczonego, aby opowiedział, jaki koniec spotkał Uługa Beja, odesłał wszystkich służących. Gwiazdy gasły na niebie jedna po drugiej. Kuszczu wiedział, do czego zmierza sułtan, nie zdawał sobie jednak sprawy, że musi udzielić odpowiedzi. Mehmed odezwał się, nie zwlekając zbyt długo.

– A moja gwiazda, hodżo? Czy będziesz potrafił obliczyć ruchy mojej gwiazdy?

– Jeśli tylko rozkażecie, mój panie. Zajmie to jednak trochę czasu.

– Jak długo?

– Nie umiem teraz powiedzieć. Muszę zajrzeć do tablic.

Mehmedowi przyszło na myśl, by zapytać uczonego, który ucałował właśnie jego dłoń i czekał, aż władca wskaże mu miejsce, czy wykonał już obliczenia dla jego gwiazdy. Po chwili jednak uznał, że nie chce stawiać Kuszczu w trudnym położeniu już na samym początku debaty. Nie byłoby poza tym właściwe, by pozostali uczeni dowiedzieli się o tej sprawie. Tymczasem jego gwiazda, Mars, była teraz w znaku Barana. Mehmed urodził się nad ranem siódmego dnia miesiąca redżep osiemset trzydziestego trzeciego roku... Czyż powodem wzbierającego w nim pragnienia, jego żądzy władzy, owej niekończącej się pasji i nienasycenia, które zaczynały go już męczyć, nie była gwiazda, która w dniu jego narodzin wkroczyła w znak Barana? Ależ szkoda! Gdyby tu na miejscu miał obserwatorium podobne do tego w Samarkandzie, rozkazałby astrologom, by przez całą ciepłą wiosenną noc, która za chwilę miała nadejść, obserwowali ową gwiazdę. Sułtan wiedział, że Ali Kuszczu nie przepada za wróżbami, a gwiazdom przygląda się z innych powodów – by na podstawie ich ruchów wykonywać obliczenia. Zresztą dopiero przybył do Konstantynopola; nie byłoby dobrze tak od razu zlecać mu prace, których nie chce i w które nie wierzy. Postanowił zamiast tego uciec się do żartu. Zanim wskazał uczonemu miejsce, powiedział do niego:

– Słyszałem, hodżo, że jesteś tak samo doskonałym poetą, jak uczyonym! – Po czym powtórzył bejt, który Kuszczu wyrecytował kiedyś po persku, znudzony rachunkami, i w ten sposób natychmiast zapewnił sobie powszechną sławę:

Zachwycała mnie piękna twarz handlarza dzierżącego wagę.
Jowialny kliencie, chodź, zobacz Księżyc w znaku Wagi.

Uczony zaczerwienił się aż po uszy i pochylił głowę.

– Powiedziałem to wtedy ot, tak, bo przyszło mi do głowy! – odparł.

– To piękny bejt. A do tego bogaty w sens. Zobaczyłeś księżyc w twarzy pomocnika handlarza!

– Zrozumiełście, mój panie, gdyż sami jesteście poetą. To tylko moja skromna próba porównania.

– Naprawdę jest bardzo trafne. Talent poetycki dopełnia twój wiedzy o gwiazdach. Mówi się, że ten bejt powtarzają wszyscy.

Ali Kuszczu nie potrafił spojrzeć sułtanowi w twarz; nie wiedząc, co począć ze wstydu, próbował mówić bez jąkania:

– To nieprawda, mój panie. Któż doceniłby tak nieudolną figurę?

– Nie mów tak. Oczywiście, z początku nikt nie zrozumie, że chodzi o to, iż planeta

Jowisz znajduje się w znaku Wagi. Ale gdy już porównasz twarz handlarza dzierżącego wagę do księżycyca...

Mehmed zaczął się śmiać, nie dokończywszy zdania. Nie chciał więcej dokuczać uczonemu i poniżyć go przed innymi. Ci bowiem słyszeli całą rozmowę i śmiali się już pod nosem, żywo zainteresowani, dokąd zawędruje padyszach.

– Twórz dalej – powiedział Mehmed. – Poezja to także forma oddawania czci Bogu.

Kuszczu z trudem stał na nogach. Gdyby sułtan nie wskazał mu poduszki na lewo od Güraniego, uczony padłby przed władcą na ziemię i stałby się pośmiewiskiem. Nie czekając, aż Kuszczu usiadzie na swoim miejscu, Mehmed wezwał do siebie mułłę Lütfięgo⁴³. Ten podszedł do niego, energiczny jak zawsze, ucałował jego dłoń i przytknął ją sobie do czoła.

– A cóż to, Lütfi Szaleńcze? – spytał go sułtan. – Widzę, że jesteś w dobrym humorze.

– Dzięki wam, panie. Gdybyście tylko wiedzieli, jakie skarby odkryłem dziś w waszej bibliotece!

– Wiem, wiem... Wiadomo, że najcenniejsze tomy mieszczą się na górnych półkach. Jak udało ci się ich osiągnąć? Znów wspiąłeś się na żłóbek proroka Jezusa?

Mułła Lütfi zmarszczył nagle jasne brwi. Odwrócił błękitne oczy od sułtana. A więc Mehmed nie zapomniał rozmowy, którą kiedyś odbyli. Jak bardzo uczony żałował, że tak zażartował podczas owego spotkania! Wiedział doskonale, że padyszach nie zapomina urazy i kiedy przyjdzie pora, zemści się za tę ciętą ripostę, która była przejawem zwykłej arogancji. Wiedział też, że będzie żył w strachu. Nie zdołał jednak utrzymać za zębami swego jadowitego języka. Był z sułtanem w bibliotece. Pragnąc zdjąć z półki gruby, iluminowany tom, który chciał zobaczyć Mehmed, wspiął się na kawałek drewna umieszczony obok regału.

– Masz świadomość tego, co robisz? – spytał wówczas sułtan. – Popelniasz wielki grzech.

– Dlaczego, mój panie?

– Dlaczego? Deska, na którą wszedłeś, pochodzi ze żłóbka świętego Jezusa! Z wielkim trudem sprowadziłem ją z Jerozolimy i umieściłem tutaj – odparł Mehmed i nie zważając na zaskoczone spojrzenie Lütfięgo, wybuchł śmiechem.

Ten nieoczekiwany żart, ten upokarzający dowcip uraził dumę uczonego. Padyszach był, co prawda, młody, a Lütfi pozostawał u niego na służbie, lecz postanowił, że tak jak nie ustępuje mu w wiedzy, nie pozostanie mu też dłużny, jeśli chodzi o drwiny.

Nie umiał przeżyć tego, że Mehmed z niego zakpił, i wreszcie znalazł okazję, by mu się odgryźć; zrobił więc coś, co być może spowodowało niebezpieczeństwo na jego życie. Gdy padyszach był pogrążony w lekturze, Lütfi podszedł do niego i położył przed nim kawałek brudnej szmaty. Sułtan spytał go ze złością, co robi.

– Mój panie – odparł Lütfi – znalazłem to w żłóbku Jezusa. To jego pielucha.

Zaskoczony, Mehmed z początku nie wiedział, co powiedzieć, lecz po chwili wybuchł śmiechem. Być może dziś nadszedł czas odwetu, a być może nie nadejdzie on nigdy. Gdy sułtan przypomniał Lütfiemu ów incydent, uczony znowu zaczął się bać. Nie zniżył się jednak do błagania władcy o przebaczenie. Stał tylko przed nim bez ruchu. Mehmed wskazał mu poduszkę obok Alego Kuszczu. I po raz kolejny doszedł do wniosku, że jak tak dalej pójdzie, Szaleniec nie umrze śmiercią naturalną. Koniec spotka go z jego własnej ręki albo z rąk ulemów. Wiedział, że większość uczonych nie przepada za Lütfim. Wciąż się ze sobą spierali. Przekomarzali się jak dzieci, nie bacząc na swoje dostojęstwo i dogłębną wiedzę w rozmaitych dziedzinach; to oczerniali się wzajemnie wobec państwowych urzędników, to obrażali się na sułtana i uciekali z miasta. Mehmed podziwiał nie tylko ich wiedzę. Szanował też ich skłonność do kłótni, drażliwość oraz to, że czasem wyolbrzymiali konflikty do tego stopnia, iż sprzeciwiali się nawet jemu. Tak było choćby w przypadku sporu między mułłą Zejrekiem⁴⁴ a Hodżazadem⁴⁵,

trwającego sześć dni i sześć nocy! Gdy ten ostatni stwierdził, że jest większym uczonym niż słynny Dżurdżani⁴⁶, Zejrek zaczął polemizować. W końcu jednak się zmęczył, a ponieważ dyskusję prowadzili bez podpierania się zapiskami, przegrał z niezrównaną pamięcią Hodżazadego. Mehmed zaś – nie jako padyszach, lecz jako arbiter – nie pozwolił mu zajrzeć do notatek. Wówczas ów wielki uczony obraził się jak dziecko i wyjechał do Bursy. Hodżazade chciał dalej z nim dyskutować, lecz muła Zejrek – niebaczny na namowy – nie wracał, i nawet miał odwagę twierdzić, iż jego mecenasem jest już nie sułtan, lecz pewien bogaty kupiec z Bursy.

Mehmed wskazał Hodżazadego. Uczony pocałował go w rękę, po czym zasiadł u boku muły Güraniego. Następnie podszedł muła Hüsrew⁴⁷. Pragnąc go sobie zjednać, sułtan powiedział do niego kilka miłych słów, a następnie usadził obok Hodżazadego. Gdy Hüsrew zajmował miejsce, Mehmed zmówił krótką modlitwę. Poczul nagły przypływ miłości do owego uczonego, swojego dawnego mistrza, który nie opuszczał go od czasu wygnania w Manisie i był przy nim nawet w najtrudniejszych chwilach. Hüsrew był już stary. Kręcona broda mu posiwiiała, a ruchy stały się powolne. Uczniowie każdego dnia odbierali go z domu i zawozili na mule do medresy. Biedak nie miał nawet siły, by trzymać wodze wierzchowca. Gdy jednak Ali Kuszczu przybył do Konstantynopola i płynąc z Üsküdaru na drugi brzeg, wdał się z Hodżazadem w dyskusję o morskich pływach, Hüsrew przysłuchiwał się jej na stojąco, a nawet rozprawiał z samarkandzkim uczonym o fazach Księżyca. Bardziej biegły niż w naukach ścisłych był jednak w islamskim prawie i teologii. Z jego dogłębnej wiedzy najbardziej korzystali uczniowie. A także Mehmed oraz bibliotekarz Lütfi Szaleniec, który tak szybko ocenił komentarz do Koranu napisany przez Taftazaniego⁴⁸.

Mehmed przypomniał sobie, jak ten skromny uczony, który – póki starczało mu sił – nie chciał nawet zatrudnić służącego, sam sprzątał swój gabinet, sam zapalał świece i dokładał do pieca, pewnego razu obraził się na niego, gdy podczas jakiejś dyskusji nie usadził go po swojej prawej stronie. Dzięki Bogu jednak tym razem udało mu się rozwiązać ów problem. Mimo to wciąż się wahał. Może lepiej by było, gdyby przed chwilą wyznaczył mulle Hüsrewowi miejsce nie z prawej strony, lecz naprzeciwko siebie? Wtedy jednak Alego Kuszczu należałoby posadzić naprzeciw Güraniego. Nagle sułtan poczuł przesyt. Kwestie etykiety zaczęły go nużyć, rosły bowiem do rozmiarów nierozstrzygalnych problemów. Tak czy inaczej, siedzieli przecież jeden obok drugiego. Gdyby tak, zamiast się obrażać i gniewać, skupili się na przedmiocie debaty...

Mehmed przeniósł wzrok z Hüsrewa na drzwi. Stał przy nich Mahmud Pasza⁴⁹. Jak zawsze – sam. Jako jedyny nie miał swojego miejsca. Przez cały czas trwania debaty zostanie na nogach – nawet jeśli weźmie w niej udział, nie usiądzie na poduszce. Mimo całej swojej wiedzy i dumy należał bowiem do państwowych dostojników. Przyzwyczajony był do długiego stania. Widział wiele wojen, wielokrotnie bywał zmęczony, nieraz otarł się o śmierć. Gdy gościł uczonych przy swoim stole, siadał obok nich i z rozkoszą obserwował, jak wydobywali z ust kawałki złota, które ukrywał w pilawie z ciecierzycą, po czym chowali je do sakiewek. Sława tych uczt rozeszła się po całym imperium, a uczeni rywalizowali ze sobą, byle tylko otrzymać zaproszenie do pałacu wielkiego wezyra. Rywalizację tę zwyciężał jednak nie ten, kto posiadał największą wiedzę, lecz ten, do kogo uśmiechnęło się szczęście. Zanurzanie łyżki w tłustym pilawie, w którym mieszały się ze sobą ziarna ciecierzycy i kawałki złota, było zupełnie innym rodzajem przyjemności.

Mehmed rozejrzył się dookoła. Następnie rozkazał Mahmudowi Paszy rozpocząć debatę. Tym razem jej przedmiot był bardzo istotny: miano dyskutować o różnicach w poglądach między Al-Ghazalim a Awerroesem. Po wysłuchaniu zwolenników obu stron i przeanalizowaniu ich wyjaśnień sułtan miał wydać werdykt.

Gdy Mahmud Pasza przypomniał, jaki jest temat dyskusji, głos zabrał Hodżazade jako

autor polemiki przeciwko *Rozproszeniu rozproszenia*, w którym to traktacie Awerroes sprzeciwiał się tezom Al-Ghazalego z *Rozproszenia filozofów*. Zapowiadało się, że debacie będzie towarzyszył wysoki poziom emocji. Zwolennicy obu poglądów dobrze się do niej przygotowali i robili wszystko, by przekonać do siebie sułtana i wielkiego wezyra. Nie było, rzecz jasna, wiadomo, kto zwycięży.

Po opuszczeniu medresy Mehmed skierował się ku dziedzińcowi z fontanną. Był zmęczony. O wiele bardziej zmęczony, niż powinien. Dyskusja trwała do rana i nie zakończyła się kompromisem. Gdy zarządzona została przerwa na poranną modlitwę, wynik wciąż nie był znany. Sułtan uświadomił sobie, że przyjemności, jaką dają mu te ciągnące się godzinami dyskusje, nie zaznaje ani na polu bitwy, ani w spazmach cielesnych rozkoszy. Zmęczenie umysłu było silniejsze niż zmęczenie ciała. Bardziej przytłaczało, prowadziło do większego wyczerpania. Jakaż jednak była to radość, jakaż nieskończona przyjemność! Prawdę mówiąc, zwolennicy obu poglądów dyskutowali znakomicie. I jedni, i drudzy używali przekonujących argumentów i wykazali się bezbłędnymi zdolnościami dowodzenia. Mimo to jednak Mehmed przypuszczał, że gdy debata zostanie wznowiona, zwyciężą zwolennicy Al-Ghazalego. Kiedy podszedł do fontanny, przypomniał sobie, jak poprzedniego dnia przed południową modlitwą siedział tu, nad wodą, zwrócony plecami do wiosennego słońca. Czyżby życie składało się z repetycji? Wojny, zwycięstwa, radości i smutki następowały jedne po drugich, a potem wszystko rozpoczynało się od nowa. Znowu wojny, zwycięstwa, radości, smutki. I, oczywiście, przyjemności. Pragnienia ciała i umysłu. Nienasycenie. Ponowne nienasycenie. Słońce właśnie weszło i oświetlało dziedziniec meczetu. Niedługo wzniesie się na niebie. Wespnie się ponad kopuły, by potem opaść pomiędzy minaretami, a gdy tylko zniknie, dziedziniec pogrąży się w mroku. Jeśli noc będzie gwiazdzista, być może błękitne światło padnie na wodę w fontannie. Oświetli mury, marmurowe kolumny i wielkie kamienne płyty dziedzińca. Potem słońce ponownie wzejdzie. I ponownie zajdzie, a ten cichy, ustronny dziedziniec będzie podtrzymywał swoją realność w ciemności. Tym razem Mehmed nie usiadł na jednej z marmurowych ław obok fontanny. Być może nie sposób było zmienić biegu czasu i wciąż powtarzających się wydarzeń, ale sułtan mógł zmieniać swe codzienne przyzwyczajenia i zachowania: przed opuszczeniem meczetu mógł na przykład znaleźć inne miejsce, w którym w porannej ciszy usiądzie i odpocznie.

Opuścił dziedziniec. Po chwili rzuciły mu się w oczy gwoździe wbite w cokół jednego z minaretów. Poznał zegar słoneczny, za pomocą którego Kuszczu z największą starannością dokonał w końcu dokładnych obliczeń, jakie mogły się powieść jedynie tak wybitnemu matematykowi jak on. Schodzące się ku sobie w miarę zbliżania się do środka linie wryto w południowo-zachodnim rogu szerokiego marmurowego cokołu. Na zewnętrznym końcu każdej z tych linii mieściła się cyfra indyjska, pomalowana na miedziany kolor, a na wewnętrznym, w środku zegara – ówiek. Gdy słońce się przemieszczało, cień rzucany przez wystające gwoździe padał na puste miejsca pomiędzy liniami oraz na odpowiednią cyfrę, wskazując tym samym godzinę. Mehmed uświadomił sobie, że nie wpadłby na taki pomysł, nawet gdyby myślał czterdzieści lat. Należało mierzyć czas, ale jak? A Kuszczu wykonał przyrząd wykorzystujący ruch słońca. Był dokładniejszy i bardziej użyteczny niż klepsydra. Tak, wszystko się powtarzało. Dni stawały się tygodniami, tygodnie miesiącami, miesiące porami roku, te zaś – całymi latami. Wszystko pozostawało w ruchu. Rzeki płynęły, po śmierci następowały narodziny, mrówki w ziemi i ptaki na niebie to się pojawiały, to znowu znikaly, a słońce, księżyc, gwiazdy i planety ganiały się po firmamencie. Należało zrozumieć i zmierzyć ruchy owego układu, owego gigantycznego uniwersum. Aby zaś móc tego dokonać, trzeba było umieć liczyć i dedukować.

Cienie rzucane przez ćwieki nie zaczęły jeszcze się wydłużać. Był wczesny ranek. Panująca dookoła jasność pochodziła być może nie od słonecznego światła, lecz od bieli marmuru. Mehmed zapragnął stać się przezroczysty i oczyszczony z wszelkiego zła niczym woda w fontannie czy chmury na niebie. Czas był osadem w głębi jego serca. Gdy upływał, bóle, żale, zmartwienia i smutki osiadały na dnie, zbierały się tam niczym fusy. Ów osad o konsystencji szlamu bardzo niepokoił sultana. Ani pragnienia, ani władza nie miały końca. Nie miała go też wiedza. Ta jednak była czymś lepszym, bardziej konstruktywnym niż żądza władzy. Tak jak poranny chłód, który oplatał człowieka i dawał mu energię do życia. Mehmed przypomniał sobie pewne piękne lato, które zostało daleko w przeszłości.

Lato spędzone z Jerzym Amirutzesem⁵⁰, który dołączył do dworu sultana, gdy ten wracał z wyprawy na Pont. Jakże piękne były to dni, jakże pełne spokoju! Przeżywali wtedy szczęśliwe chwile w półmroku pałacowej biblioteki, z dala od wojny, śmierci i cierpienia. Całymi dniami studiowali mapę Ptolemeusza i wspólnie wyznaczali granice znanego świata. Czy tylko świata? Nie! Badali także granice nieba i gwiazd, całego wszechświata, który mistrz Ptolemeusz odkrył i któremu nadał porządek, oswobodził go od chaosu. Jerzy był naprawdę wybitnym uczonym! Jak słusznie Mehmed uczynił, traktując go nie jak jeńca, lecz jak najbliższego przyjaciela! Ziemia mieściła się pośrodku nieba. Słońce i Księżyc obracały się wokół niej wraz z innymi planetami, wchodząc kolejno w nieruchome konstelacje gwiazd, które przybierały rozmaite kształty. Ziemia była okrągła. Całkiem okrągła, mimo wszystkich pokrywających ją zagłębień, wzniesień i gór. Była bowiem ogromna. Ali Kuszczu na nowo obliczył jej średnicę, opierając się na tabelach Uługa Beja. Na samym środku lądów, otoczonych oceanami, znajdowało się Morze Śródziemne. Wokół niego zaś państwa i miasta. Spośród tych ostatnich to Jerozolima stanowiła jedno z dwóch centrów świata. Drugim był Konstantynopol. Mehmed uważał, że skoro po rozgromieniu Bizancjum przeniósł stolicę swojego imperium do Konstantynopola, oznacza to, iż ustawił tron na środku Ziemi, a tym samym stał się jej władcą. Jerzy przyznawał rację temu pogładowi. Jako uczonego, który zjechał pół świata i wiele w swoim życiu widział, przypuszczał jednak, że mogą istnieć też inne kontynenty i inne morza, nieuwzględnione przez Ptolemeusza. Słyszał o tym od żeglarzy, kiedy przebywał w Genui. Być może na zachodnich krańcach Ziemi, u kresu oceanu, nie było wcale piekielnych olbrzymów ani latających ryb, lecz znajdowały się nowe kraje i kolejne morza. Oraz inni ludzie. Ocean zdawał się ciągnąć na zachód w nieskończoność, lecz z pewnością miał gdzieś granice. Jerzy opowiadał, że królowie Portugalii i Hiszpanii usiłowali odkryć nową drogę na wschód i w tym celu czekali na odpowiedni moment, by wybudować wytrzymałe okręty.

– Sultanie! – zwrócił się do Mehmeda. – Odciąłeś ich od jedwabnego szlaku i od szlaku przypraw, więc muszą odnaleźć inną drogę.

Greki nie mieli sobie równych nie tylko w filozofii i geografii, lecz także w polityce. Gdyby przyjął islam i zaczął piastować jakieś stanowisko państwowe, położyłby nieocenione zasługi dla imperium osmańskiego. Mehmed nie zmuszał jednak nikogo do nawrócenia na islam i także Jerzemu Amirutzesowi pozwolił zostać przy jego wierze, nakazując mu jedynie, by przetłumaczył *Geografię* Ptolemeusza na arabski. Choć często myślał o wykorzystaniu doświadczenia pontyjskiego uczonego, nigdy owej myśli nie wypowiedział na głos. Był szczęśliwy także wtedy, gdy pochylał się z Jerzym nad rzekami, górami oraz morzami i wyobrażał sobie dalekie krainy, zamieszkiwane przez błękitne niedźwiedzie, zielone koty, potwory ziejące ogniem i dwugłowe, trójramienne, czteronogie karły.

Sułtan stał tuż obok zegara słonecznego. Całkiem sam w porannym chłodzie. Choć całą noc przysłuchiwał się dyskusji uczonych, nie chciało mu się spać. Zmęczenie, które odczuwał w ciele, nie objęło jeszcze jego umysłu. W pewnej chwili postanowił pójść do meczetu i dołączyć

do uczonych w modlitwie, lecz zaraz się rozmyślił. Zrobił to po raz drugi. A przecież chciał stanąć przed obliczem Boga. Odczuwanie w sobie boskiej obecności było dziwnym doznaniem. Z jednej strony za wszelką cenę pragnął z Nim rozmawiać, lecz z drugiej próbował wszystkiego, by o Nim zapomnieć, by w ogóle o Nim nie myśleć. I tak przecież wszystko, co robił na ziemi, robił w imię Boga. Czyż nie był Jego cieniem? Sługą i cieniem zarazem!

Znów zapatrzył się w marmur zegarowej tarczy. Na białej powierzchni, do której nie dotarły jeszcze cienie, ujrzał płynącą powoli, tężejącą i krzepnącą krew. Przed oczami stanęły mu dwie dłonie ucięte w nadgarstkach. Dłonie architekta Jusufa Sinana. Krew skapywała z nich na ziemię, rozlewała się po marmurowej podłodze i krzepła. Sułtan przetarł oczy i ponownie spojrzął na zegar. Tak, dłonie Jusufa Sinana były tam, pięćdziesiąt nad cokołem minaretu. Zastygły w powietrzu niczym dwa przepiękne malunki wykonane w pustce. Palce jednej lekko wyginały się do przodu, palce drugiej były napięte w bólu. Sułtan nigdy nie żałował swojego rozkazu, by uciąć architektowi ręce i wtrącić go do więzienia. W jego oczach Sinan był winny. Choć budowa trwała dziesięć lat i ściągnięto do niej robotników z całego państwa, choć pieniądze na nią płynęły strumieniami, i to nie ze skarbcza, lecz z podatków, kopuła meczetu nie prześcignęła tej, która wieńczyła Hagię Sophię. Po ukończeniu konstrukcji sułtan kazał zmierzyć kopułę i gdy się okazało, że jest o wiele niższa od sklepienia Hagii Sophii, wpadł w szal i natychmiast wezwał do siebie architekta. Wy tłumaczenie Sinana rozwścieczyło go jeszcze bardziej. Gdyby kolumny podtrzymujące kopułę przekroczyły określoną wysokość, wzrosłoby prawdopodobieństwo, że sklepienie zawali się podczas trzęsienia ziemi. Dlatego w ostatniej chwili Sinan postanowił skrócić dwa wsporniki, gdyż wołał, by budowla, która miała unieśmiertelnić imię sułtana, była niższa od Hagii Sophii, lecz ją przetrwała.

– Skróćcie więc ręce tego przeklętego błazna! – zawołał Mehmed.

Do sali natychmiast wszedł kat i na oczach sułtana uciął ręce Sinana w nadgarstkach, po czym rzucił je władcy do stóp niczym dwa zakrwawione kawałki mięsa. Teraz gdy jest już spokojny, Mehmed widzi na nowo dłonie Sinana. Krew architekta wsiąka w fundament budowli, którą postawił z tak wielkim trudem. Kto wie, być może w przyszłości ten meczet będzie nosił imię nie sułtana, lecz architekta. Patrząc w zachwycie na te pięknie rzeźbione kopuły, na wznoszące się ku niebu minarety, na harmonię kamienia i ołowiu, ludzie będą wspominać architekta Jusufa Sinana. Za niego będą się modlić, za architekta, którego Mehmed okaleczył, a następnie kazał zabić. Weselić będą się także dusze murarzy i robotników, którzy pracowali w pocie czoła dniem i nocą, by budowa jak najszybciej się zakończyła. Mehmed czuje, jak powoli – niczym krew kapiąca na marmur – wypełnia go uczucie wstydu pomieszanego z żalem. Boli go, że raz jeszcze wzięły nad nim górę pycha, duma i nagły wybuch gniewu. Odchodzi szybkim krokiem, nie patrząc na białe mury, rozświetlone już wiosennym słońcem, i na harmonijne, obłe linie ołowianych kopuł, tak jakby chciał jak najprędzej zapomnieć o krwi spływającej po kamieniu. Gdy tylko znika, wokół fontanny – nie wiadomo skąd – pojawia się tłum ludzi, tak jakby się umówili. Wnętrze meczetu jest jeszcze puste. Niedługo jednak, gdy wszyscy rozpoczną modlitwę wraz z uczniami, nauczycielami, a przede wszystkim wielkim wezyrem i uczonymi, którzy opuścili debatę, pod ogromną – choć nie tak wysoką, jak sklepienie Hagii Sophii – kopułą zabrzmie głośne: *Allahu akbar!*⁵¹.



Niektóre źródła – a dokładniej legendy – donoszą, że architekt Jusuf Sinan wystąpił z oskarżeniem przeciwko sułtanowi. To oczywiście coś niesamowitego! Nadworny architekt wnosi – może wnieść – pozew przeciw wielkiemu Zdobywcy. Przez chwilę się nad tym zastanawiałem. Prerażony kadi musi wezwać padyszacha do sądu. Rozprawa odbywa się w Üsküdarze, w niewielkim budynku, z którego roztacza się widok na morze; wchodzi się do niego z wyłożonego kamieniami słonecznego dziedzińca. Mehmed stoi uśmiechnięty naprzeciw kadiego. Nie jest zdobywcą Konstantynopola, zawsze zwycięskim sułtanem Mehmedem, synem Murada, lecz zwykłym pozwanym. Stoi więc w prostym pałacowym odzieniu przed sędzią. Ten zmuszony jest wysłuchać najpierw racji powoda. Pyta więc architekta, który ze względu na brak dłoni nie może założyć przed sobą rąk na znak szacunku:

– Czy to prawda, że wnosisz oskarżenie przeciwko naszemu sułtanowi?

Padyszach natychmiast prostuje:

– Nie przeciwko sułtanowi, lecz przeciwko Mehmedowi, synowi Murada.

Kadi nie wierzy własnym uszom. Wobec prawa, w domu sprawiedliwości władca nie widzi różnicy między panem a jego poddanym. Przekroczywszy bramę sądu, pozbył się nie tylko kaftana, lecz także statusu padyszacha. Wszystko jest zatem możliwe w kraju Osmanów. Nawet równość. Wszak to Mehmed stanowi prawa i je stosuje. Nikt przecież nie miałby mu za złe, gdyby nie podporządkował się przepisom wynikającym z jego własnej potęgi, z władzy, której nie musi dzielić z nikim, absolutnie z nikim. Czyż nie stoi ponad prawem? Wychodzi na to, że nie!

Kadi jest zaskoczony. Odziany w czarną togę, z wielkim bakłażanowatym nosem, szeroko otwartymi oczami i pucułowatą twarzą, powtarza nieustannie w duchu słowa modlitwy: „Boże, daj mi siłę, bym mógł się z tym uporać!”.

– To prawda, wysoki sądzie – mówi architekt. – Wnoszę oskarżenie przeciwko Mehmedowi, synowi Murada.

– Dlaczego? Dlaczego, o, przeklęty?

– Gdyż kazał uciąć mi dłonie, choć na to nie zasłużyłem.

Kadi zwraca się ku Mehmedowi.

– Sułtanie – wyjąkuje, po czym nie pozwalając, by władca poprawił go po raz kolejny, kontynuuje: – yyy... panie Mehmedzie, wysłuchał pan powoda. Co pan rozkaże?

– To jest sąd, nie mogę tu rozkazywać.

A więc to tak! A więc to sąd i sułtan nie będzie tu wydawał rozkazów. Ale co w takim

razie będzie robił? Mehmed złagodniał i kontynuuje zdecydowanym tonem:

– Tak, architekt ma rację. Potraktowałem go niesprawiedliwie. Każdemu może się zdarzyć.

Kadi niemal połyka język. Przez chwilę sądzi, że mu się to śni. Cóż za piękny sen, gdyby tak nigdy się nie skończył!

– A więc, architekcie – odzywa się zadziwiony sędzia, myśląc wciąż: „Niechże skończy się już ta rozprawa, niechże się skończy! Chyba że to sen, w takim razie niech trwa!” – jakiego żądasz zadośćuczynienia za swoje dłonie?

– Oko za oko, ząb za ząb! – odpowiada Jusuf Sinan. Jest pewny siebie, oczy mu błyszczą. Zaraz jednak gasną i widać, że architekt się waha. – Nie, nie, wysoki sędzie – odzywa się po chwili. – Wszak taki wyrok nie przywróciłby mi dłoni. A ręce Mehmeda są nam potrzebne. Dzierżą miecz islamu, bronią naszego państwa. Mehmed przyznał, że wyrządził mi krzywdę, i to mi wystarczy. Nie chcę niczego więcej.

Kadi oddycha z ulgą. Jednak twarz nadal ma czerwoną jak burak.

– Rozprawa jest zakończona – oświadcza, a słowa po raz pierwszy wypowiada wyraźnie i bez zająknięcia. – Można się rozejść.

Jak wspaniale! Lecz to nie jest prawda, ani nawet sen – nie może być. Wiem, że architekta Jusufa Sinana zamordowano podczas tortur w ciemnym lochu. Potwierdzają to wszystkie źródła, które są godne zaufania. Gdybym uwierzył tej legendzie, powstałej, by udowodnić pokorę Mehmeda i jego umiłowanie sprawiedliwości, sprzeniewierzyłbym się pamięci architekta. Tymczasem wzniesiony przezeń meczet stoi po dziś dzień. Byłem tam i widziałem go na własne oczy. Podobnie jak grobowiec Mehmeda. Natomiast miejsce pochówku Jusufa Sinana nie jest znane. Usiadłem na dziedzińcu meczetu w cieniu kolumn, które postawił swymi zręcznymi dłońmi. Nie, nie potraktuję go tak niesprawiedliwie po tych wszystkich latach. Jednak nie do mnie też należy pomszczenie go. Dlaczego padyszach uciął mu ręce? Będę szukał odpowiedzi na to pytanie, bylebym tylko mógł pisać dalej. Wszak w tekst *Boğazkesen* włączam nie tylko historyczne prawdy, lecz czasem także legendy, podania o ludziach żyjących w tamtych czasach. W tym przypadku jednak najlepiej będzie pozostawić Mehmeda sam na sam z poczuciem winy. Czy naprawdę go doznawał? Oczywiście, że tak, w końcu ja tak napisałem.

Nie było dnia, w którym bym nie pisał. Nawet gdy ruszałem do miasta, towarzyszyła mi *Boğazkesen*. Nosilem ją w sobie i ciągnąłem za sobą po ulicach rozświetlanych wrześnie słońcem. Byłem z nią na promie, na przystankach autobusowych, przy kawiarnianym stoliku i przy biurku w bibliotece. To z jej perspektywy patrzyłem zawsze na chaos miasta, na ten nieustanny ruch od jednej epoki do drugiej. Przez pewien czas przemierzałem ulice starego Stambułu jak sam Mehmed, który incognito chodził po mieście, i z czujnością urzędnika kadastralnego wyszukiwałem wszystkie wzniesione przez niego meczety, wszystkie kościoły zamienione przezeń w muzułmańskie świątynie, wszystkie jego pałace, akwedukty, fontanny oraz bazyliki, zajazdy i łaźnie, oplatające miasto niczym pajęczna sieć. *Boğazkesen* zmieniała się we mnie w coraz większe i coraz gęściej obrastające gałęziami drzewo platana. A przecież na początku pracy się wahałem. Nie sądziłem, by powieść urosła do rozmiarów nie tyle nawet platana, drążącego ziemię grubymi korzeniami, ile marnej topoli, i nie oczekiwałem, że dotrę aż tak daleko. W miarę pisania przybywało mi pewności siebie. W miarę pisania świat zaczął mieć określony porządek. Nie mogę powiedzieć, że się uwolniłem od chaosu, że w końcu wyszedłem na prostą. Jednakże *Boğazkesen* powoli przyciągała mnie ku własnej rzeczywistości. Ustanowiła własne prawa niczym bezlitosny król. Tak, poddawałem się im, to prawda. Ale nie zawsze.

Nie było dnia, w którym bym nie pisał, lecz było wiele takich chwil. Jak choćby wczesne godziny poranka, gdy wyciągnięty na łóżku, topiłem wzrok w błękicie Bosforu, odbijającym się

na suficie. Gdy słońce wschodziło, powierzchnia wody drgała. Sypialnię wypełniało morze. Pamiętam też, jak po każdym przebudzeniu z południowej drzemki oddawałem się jego czarowi, pozostając na granicy świadomości. Gdy zapadała ciemność, przedmioty powoli się w niej pograżały. Rozmyślałem wówczas o przedziwnych rzeczach, przed oczami stawały mi zatroskane twarze. Okrągłe, białe oblicze mojej matki to zbliżało się do mnie, to znów się oddalało. Kiedy zapalałem lampkę stojącą przy łóżku, dawny porządek powracał, lecz jeśli tego nie robiłem, ciemność obejmowała wszystko. Ociągałem się wtedy ze wstaniem i zasunięciem stor i ponownie zapadałem w głęboki sen. Były też minuty wpływające mi na obserwowaniu w świetle zachodzącego słońca statków pływających po cieśninie, których widokiem nie potrafiłem się nasycić; czas biegnący ku nocy... Te chwile pozwalały mi utrzymać równowagę, którą zdołałem ustanowić między tekstem a rzeczywistością. Wydawało mi się, że zamieszkiwany przez nas świat nie opiera się na ciągłości. Że w każdej chwili rozpada się i ustanawia na nowo. Jak tekst. Jak okno otwierające się na fikcyjne uniwersum.

Pewnego razu zaparzyłem herbatę i gdy ze szklanką w dłoni wracałem z kuchni do pokoju z wykuszem, zorientowałem się, że Bosforu nie ma na swoim miejscu. Za oknem w głębi pomieszczenia nie było widać nic. Wszystko oblewało czerwone światło zachodzącego słońca. Okno zdawało się obrazem, jaki hiperrealistyczny malarz mógłby wykonać, malując całą jego powierzchnię farbą jednego koloru. Widniało przede mną bliskie i dalekie zarazem, bardzo dalekie. Nagle pojawił się za nim maszt statku. Później kolejny i jeszcze jeden. Maszty zdawały się ze sobą ścigać. Gdy jakiś statek opuszczał ramę, w jej obrębie pojawiał się inny, a czasami wpływały do niej dwa naraz. Twierdzy jednak nie było na swoim miejscu. Tło stanowiły jedynie czerwien zachodzącego słońca i kulawa mewa, machająca skrzydłami w pustce. Wiedziałem, że jest kulawa. Zwykła podlatywała do okna, przysiadła na parapecie i wydziobywała mi z ręki okruszki chleba. Tym razem, gdy podszedłem, mewa odleciała. Zamiast parapetu wybrała boję, do której cumowało kilka kutrów. Z nimi z kolei był połączony liną stary bosforski prom. Nagle wyłonił się zza niego frachtowiec. Powoli wpływał w obręb ramy, tnąc wodę cieśniny. Razem z nim na obrazie pojawiła się rybacka motorówka z sieciami rozłożonymi na pokładzie. Następnie dołączyły do nich patrol straży przybrzeżnej, barka wyladowana węglem i statek pasażerski. Straż dogoniła łódź rybacką i jakiś czas płynęła razem z nią, lecz jako pierwsza opuściła ramy obrazu. W ślad za nią odpłynęły barka i kuter. Statek pasażerski pozostał w mym polu widzenia nieco dłużej. Był tak olśniewający, jak refleksy słonecznego światła na tafli wody, rozbłyskujące tu i tam na czerwonym tle obrazu. Nagle on także zniknął z prędkością spadającej gwiazdy. Nie zobaczyłem więcej frachtowca, który jako pierwszy ujrzałem za oknem. Gdy wszystkie statki znikły mi z oczu, pojawiło się stado jaskółek. Ptaki przeleciały szybko z lewej do prawej. Spostrzegłem, że twierdzy nadal nie ma. Podszedłem kilka kroków. Okno się powiększyło. Najpierw ujrzałem wzgórze przeciwległego brzegu, rozświetlone zachodzącym słońcem, a następnie fortecę. Tuż przed nią zobaczyłem kształty, które były może morsami o paszczach wypełnionych pianą, a może duszami zmarłych pochowanych na cmentarzu Aşiyân. Ustawiły się przede mną w rzędach. Następnie, oddalając się i zbliżając do siebie, i wciąż przybierając nowe formy, wzniosły się od wież twierdzy ku niebu. Były granatowe, czarne i popielate. Rozpoczęły długi bieg niczym skrzydlate konie. Wtedy właśnie rozpoznałem w nich chmury. Szybko rozpląwały się w wieczornym półmroku. Przepląwały nisko, niemal dotykając wież fortecy, i z rozwianymi wiatrem grzywami zdawały się pędzić na podbój zamku. Potem ustawiły się jedna obok drugiej niby bohaterscy rycerze rozbijający szeregi wroga. Przybrały w mym oknie bitewny szyk. Usiadłem przy biurku i zapaliłem lampę. Upiłem łyk herbaty i jałem pisać rozdział mówiący o oblężeniu i zdobyciu Konstantynopola.

W tym rozdziale dowiadujemy się, jak przebiegały oblężenie i zdobycie Konstantynopola

I padyszach rzekł:

Od długiego już czasu oglądam w zwierciadle mego serca pewną wizję. [...] Przeznaczone mi jest zdobyć tę twierdzę! Gdyby nawet jej mury i wieże były nie z kamienia, lecz z czystego żelaza, stopiłbym je niszczycielskim ogniem mego gniewu niczym świeczkę!

Dżafer Czelebi, *Mahrusai Istanbul Fetihnamesi*

Pewnego jesiennego ranka dywan zebrał się tuż po modlitwie. Posiedzenie różniło się znacznie od zwyczajowych spotkań, na których Mehmed, nawet nie pozwalając nikomu usiąść, załatwiał sprawy w wielkim pośpiechu. Tym razem wezwano wszystkich dostojników państwowych, a w pałacu i jego okolicach podjęto nadzwyczajne środki ostrożności. Mehmed, jak zawsze, był zamyślony, lecz emanował większym niż zwykle majestatem. Wysoką czapkę założoną na głowę owinął białym nansukiem, a na wierzchu umieścił błękitny ceremonialny turban, którego przód zdobiła czarno-biała egreta, tył zaś – kita ze złotymi nićmi. Pokrywające ją diamenty i szmaragdy oślepiały wszystkich w porannym półmroku. Słońce dopiero zaczynało wschodzić. W świetle padającym przez okna siedzący po turecku na tronie padyszach przypominał posąg Buddy. Nie zdjął płaszcza, obszytego futrem z czarnych lisów, którego każdy guzik, zapinający siedem altembasowych pasów szamerunku, był ozdobiony trzema diamentami. Spod okrycia było widać granatową szatę wyszywaną złotą nicią i połyskujące złotem purpurowe szarawary. Stopy sułtan obuł w lekkie, ciemnożółte pantofle. W jego wyglądzie dały się zauważyć przepych, jakiego nigdy dotąd nie manifestował, oraz dziwne zdecydowanie.

Ów niecodzienny stan padyszacha nie umknął uwadze Czandarlego Halila. Pomyślał, że posiedzenie zwołano w celu ogłoszenia bardzo istotnej decyzji, prawdopodobnie dotyczącej rozpoczęcia oblężenia Konstantynopola. To zapewne z tego powodu do dywanu dołączyli wyjątkowo dowódcy wojskowi, admirał Baltaoğlu Sulejman⁵², aga janczarów Mustafa Bej, stojący na baczność niczym włócznia wbita w ziemię, oraz bejowie akyndży z Turahanem na czele. Jako wielki wezyr Czandarly Halil zasiadał po prawicy władcy. Na głowę założył niższą niż ta, którą miał na sobie Mehmed, lecz równie bogato wyszywaną błękitną czapę. W białym turbanie i sukni spływającej do samej ziemi prezentował się prosto. Pozostali wezyrowie – paszowie Szehabeddin, Sarudża i Zaganos – siedzieli na prawo od niego. Za nimi, obok podskarbiego i kadiaskera mułły Güraniego zajął miejsce bejlerbej Rumelii Dajy Karadża Pasza. Ishak Pasza, bejlerbej Anatolii, stał. Stali także zaufani towarzysze Baltaoğlu Sulejmana Beja: bejowie Hamza, Has Junus i Kasym. Akszemseddin i szejch Akbyjyk siedzieli na lewo od sułtana. W każdej chwili byli gotowi wesprzeć Mehmeda i odnowić jego wiarę modlitwą i swą nadprzyrodzoną mocą. Spod gęstwiny białych bród nie było widać ich warg. Nie byli zwykłymi sługami Boga, lecz świętymi mężami z Chorasanu, którzy ciągle przemieszczali się między ciemną ziemią a siedmioma niebami; w każdym ich czynie kryło się dobro, a w każdym słowie – utajone znaczenie. Halil podejrzewał, że dodatkowo zachęcą sułtana, który i tak był zdecydowany ruszyć na Konstantynopol. Nie zabierali, co prawda, głosu, nie rozprawiali o Koranie ani o hadisach, lecz w milczeniu i zamyśleniu przy każdej okazji dawali do zrozumienia, że czekają na znak z ukrytego świata.

Wszyscy zebrani trwali w uporczywym milczeniu. Dywan pogrążony był w głębokiej ciszy. Halil spojrział na Mehmeda. Uznał, że sułtan próbuje wyglądać na dojrzałego i bardziej doświadczonego, niż wskazywałby jego wiek, i że nie wróży to niczego dobrego. Władca wbił wzrok w nieokreślony punkt i zdawał się czekać, aż cisza jeszcze bardziej zgęstnieje, tak by przemowa, którą miał zaraz wygłosić, odniosła potężniejszy skutek. Oczekiwanie nie trwało jednak długo. Mehmed zaczął nagle mówić niczym połykacz ognia ziejący płomieniami z ust, z pośpiechem zupełnie nieprzystającym do jego majestatu. Słowa wypadały mu z ust szybko jak

rozżarzone kule ognia:

– Od długiego już czasu oglądam w zwierciadle mego serca pewną wizję. Mym celem dziś jest podzielić się nią z wami.

Halil pojął, że nie mylił się w przypuszczeniach. Duchowi mistrzowie sułtana, w tym zwłaszcza Akszemseddin, przekonali go, że tylko on zdoła zdobyć Konstantynopol. Zatem oblężenie było nieuniknione. A więc Mehmed od dawna ma w sercu tajemną wizję. Wreszcie o niej opowie, wyjawi wszystkim sekrety kryjące się w jego duszy. Jednakże człowiek – nawet jeśli posiada nadzwyczajną mądrość i niezmierzoną wiedzę, nawet jeśli czuje w sercu boskie natchnienie – przed podjęciem ważnej decyzji powinien poradzić się innych. Tak sądził Mehmed. Przedstawiając swoje pomysły, obserwował wrażenie, jakie jego słowa wywierają na członkach dywanu, w zależności od reakcji ściszał lub podnosił głos, ważył słowa i starannie je akcentował. Tak samo postępował Prorok i tak samo postępowali przodkowie sułtana. Po przemowie zażądał, aby wszyscy wygłosili swoje poglądy, lecz na razie nie doszedł jeszcze do meritum sprawy. Nie przedstawił nawet treści swojego widzenia. Wrócił do czasów Proroka i przypomniał zebrany, że Bóg jest jeden i będzie trwał, gdy świat już przeminie. Powiedział, że jego przodkowie uczynili miecz islamu ostrym po wieczne czasy, a państwo, które stworzyli na podbitych przez siebie bezkresnych ziemiach – potężnym i sprawiedliwym. Gdy mówił, historia Osmanów przepływała przed oczami Halila niczym malownicza rzeka. Mehmed opowiadał, jak jego przodkowie dotarli do Europy, z małego, odległego bejliku tworząc imperium rozpościerające się na dwóch kontynentach, a Halil oczami wyobraźni widział miasteczko Söğüt, z którego pochodził, Bursę, mosty i pałace Edirne, spienioną powierzchnię Morza Egejskiego oraz stepy ciągnące się pod palącym słońcem do wnętrza Anatolii i rozmyślał o krwawych zachodach słońca, kiedy brzęk mieczy mieszał się ze stukaniem podków, oraz o jeźdźcach, którzy pędząc galopem na zachód – zawsze na zachód – wzbijali pył na traktach. Drogi te musiały mieć swój koniec. Nie ciągnęły się wszak w nieskończoność, nigdy nie docierając do żadnego celu, nie prowadząc do bram zamku ani do niepokonanych murów.

Halil powrócił do rzeczywistości. Był na posiedzeniu dywanu w Edirne wraz z innymi dostojnikami państwowymi. Młody padyszach zaś zamierzał narazić imperium na niebezpieczeństwo i zaryzykować utratę wszystkich dotychczasowych korzyści, byle tylko zdobyć Konstantynopol. Gdy skończy mówić, zwrócił się do niego jako do wielkiego wezyra i będzie chciał usłyszeć jego zdanie. Wtedy właśnie Halil spróbuje odwieść Mehmeda od jego decyzji. To będzie ostatnia szansa.

Po przedstawieniu chwalebnej historii Osmanów i wymienieniu wielkich czynów swych przodków sułtan zaczął mówić o Konstantynopolu. Owo gniazdo zepsucia gnijące od środka, owo miasto tkwiące w samym środku imperium niczym rana powinno zostać zdobyte, istnieniu Bizancjum należy położyć kres. Wyprawa na cesarstwo, które brało do niewoli osmańskich książąt i używało ich przeciwko własnej ojczyźnie, które pod byle pretekstem blokowało przeprawę między Anatolią a Rumelią, które wbijało muzułmanom nóż w plecy, była nieunikniona.

Padyszach nie wiedział, co sądzić o milczeniu, jakie panowało w dywanie, gdy przemawiał. Czyżby uczestnicy posiedzenia się z nim nie zgadzali? Mehmed chciał, by decyzja o oblężeniu została podjęta jednomyślnie. Zwrócił się do Halila:

– *Lala*, dlaczego milczysz?! – zawołał. – Jeśli widzisz w mych słowach jakiś błąd, powiedz bez skrępowania.

– Wszystko, co mówisz, jest prawdą, panie – zaczął Halil. – Dzięki twym zmarłym przodkom i tobie państwo osmańskie przetrwało do dziś i coraz bardziej rośnie w siłę. Konstantynopol jest gniazdem zepsucia w samym jego środku. Prawdą jest też, że blokuje ruchy

naszych wojsk... – Na chwilę urwał. Mehmed słuchał go z uwagą. Wielki wezyr podjął roztargnionym tonem: – Konstantynopol to przepiękne miasto, sułtanie. Dzięki okalającej go wodzie, dzięki klimatowi, pałacom oraz kościołom pełnym złotych i srebrnych ozdób nie ma sobie równych na całym świecie. Otoczony jest jednak potężnymi i wysokimi murami. Dlatego oblegano go wiele razy, lecz nigdy nie zdobyto. W dodatku papież w każdej chwili może wysłać przeciwko nam kolejną krucjatę. Krótko mówiąc, panie, wyprawa na Konstantynopol nie jest w tym momencie dobrym pomysłem.

Halila nie zdziwił gniew, który zapłonął w oczach sułtana. Wezyr nie bał się jednak sprzeciwić Mehmedowi; bał się za to wieść państwo ową naprawdę niebezpieczną drogą, której końca nie sposób było przewidzieć. Padyszach zwrócił się do Zaganosa, próbując stłumić gniew.

– A co ty o tym myślisz? – spytał.

Zaganos odparł, że wojska krzyżowców dwa razy doznały już zasłużonej klęski i nie odważą się zaatakować osmańskiej armii po raz trzeci. Zaznaczył też, że poza tym pomiędzy Kościołami wciąż nie ma porozumienia. Następnie dodał, że papież i Wenecja będą mieli trudności z dostarczeniem Bizancjum niezbędnej pomocy. Na koniec powiedział, że nowe porozumienie z Węgrami wszystko ułatwi i że koniecznie należy oblec miasto i je zdobyć. Sarudza Pasza był tego samego zdania. Po nim głos zabrał Ishak Pasza. Szczegółowo opisał mury Konstantynopola i potęgę jego systemu obronnego. Jak sułtan sam zresztą wiedział, za fosami znajdowały się dwa rzędy murów oraz wysokie wieże. Ognie greckie płonęły nawet w wodzie i w jednej chwili mogły podpalić wieże oblężnicze czy drabiny. Miasto pozostawało w nieustannej gotowości do obrony. Bizantyjczycy byli bardzo przywiązani do swej religii i do swego domu. Wiele armii przybyłych ze wschodu rzucili przed murami na kolana i żadnej flocie nie pozwolili wplynąć do Złotego Rogu. Bez tego zaś, bez oblężenia także od strony zatoki, Konstantynopol nigdy nie zostanie zdobyty. Gdy Ishak Pasza rozprawiał o tym wszystkim, dało się słyszeć roztrzęsiony głos starca:

– La-taftahanna al-Kustantinijsa wa-la-ni'ma al-amir amiruha wa-la-ni'ma al-dżajsz zalika al-dżajsz!

To Akszemseddin przytaczał hadis Proroka: „Konstantynopol z pewnością zostanie zdobyty! Jakże wspaniała armia tego dokona i jakże wspaniały będzie jej dowódca!”.

Na te słowa Halil w milczeniu skłonił głowę. Derwisze i dewszirme znów wspólnie przystąpili do działania. Nie cofali się przed niczym, by przekonać sułtana do swoich racji. Pierwsi oddziaływali na Mehmeda, wywierając na nim presję duchową, a drudzy – pobudzając jego geniusz militarny. Młody padyszach nie był oczywiście marionetką w ich rękach, ale sam od dawna wierzył, że to on będzie owym błogosławionym dowódcą. Nic nie dało się zrobić.

Wysłuchawszy wspaniałego hadisu Proroka, Mehmed nabrał jeszcze większej pewności siebie.

– Przeznaczone mi jest zdobyć tę twierdzę! – zakrzyknął. – Gdyby nawet jej mury i wieże były nie z kamienia, lecz z czystego żelaza, stopiłbym je niszczycielskim ogniem mego gniewu niczym świeczkę!

Decyzja zapadła. Wszczęto narady, by jak najszybciej przystąpić do oblężenia. Kości zostały rzucone.

Akszemseddin usiadł pod kasztanem w klasztorным ogrodzie i patrzył na miasto. Edirne było perskim dywanem rozścielonym u jego stóp. Takie było olśniewające, kolorowe, tak błyszczało w wiosennym słońcu. Drzewa puszczały nowe pędy, a na zboczach wzgórz zakwitły kwiaty. Błękitne, fioletowe i rubinowe hiacynty, biało-żółte stokrotki, judaszowce, narcyzy i lilie. Miasto rozchodziło się na wszystkie strony od punktu, w którym łączyły się ze sobą trzy rzeki,

i wypełniało okoliczną przestrzeń zamkiem, murami, meczetami o kopułach pokrytych ołowiem, a także drewnianymi domami, rezydencjami wezyrów, bazarami, zajazdami, łaźniami i karawanserajami. Tundża, Arda i Marica przepływały z szumem pod kamiennymi mostami, niosąc na powierzchni kwiaty, patyki, gałęzie i konary z gór. Z powodu roztopów woda mocno wezbrała. W miejscu, gdzie trzy rzeki się zbiegały, wysepki łączył ze sobą most Michała Paleologa, ciągnący się niczym Wielki Mur Chiński.

Z miejsca, w którym siedział, Akszemseddin mógł obserwować kamienne łuki odbijające się w wodzie, przepastną łąkę, położoną za nimi, meczet Küpeli, wznoszący się pośrodku niej i sięgający nieba swym żłobionym minaretem, oraz meczet Muradiye, którego minarety były zwieńczone galeriami przywodzącymi na myśl kryształowe kielichy. W sercu mistyka najważniejsze miejsce zajmował jednak meczet Bajazyda Błyskawicy, stojący przy moście. Gdy jego mistrz Hadży Bajram Weli, sprowadzony do Edirne z łańcuchem na szyi, został osobiście uhonorowany przez sułtana Murada, przez jakiś czas głosił kazania w tej niepozornej świątyni, obmywał swe święte ręce w fontannie na dziedzińcu i w tym właśnie meczecie odprawiał modlitwy. Potem znów wrócił do ojczyzny, by na stepie doglądać żniw. Akszemseddin wspominał mistrza z utęsknieniem. Następnie przesunął wzrok z meczetu na położony nieco dalej Nowy Pałac. Nie wierzył własnym oczom. Dwa z sześciu proporców Mehmeda łopotały tam, przed zbrojownią. A więc rozpoczęła się już wyprawa na Konstantynopol. Spełniał się ów piękny sen, który Bajram Weli znał z historii przywódcy ahitów, szejcha Edebalego.

Pewnej nocy Osmanowi Bejowi, goszczącemu w klasztorze szejcha, przyśnił się wschodzący księżyc. W nowiu wzniosł się od brzucha Edebalego ku rozgwieżdżonemu niebu, tam się zaokrąglił i oblał światłem wszystko dookoła. Następnie opadł, zbliżając się do brzucha Osmana, a w miejscu, gdzie zaszedł, z ziemi wyrósł pęd. Ten obrastał w gałęzie i kolejne odrośla, aż w końcu stał się potężnym drzewem, które szumiącymi pięknymi liśćmi rzuciło cień na cały świat. Góry, pustynie, morza i miasta, a w nich pomniki i pałace z czystego złota; Eufrat, Tygrys, święty Nil i Dunaj, przecinający krainy gaurów; wreszcie bezkresne żyzne ziemie i szmaragdowozielone lasy – wszystkie zebrały się pod owym drzewem. Nagle zerwał się porywisty wicher i zwrócił liście ku Konstantynopolowi, którego mury, kopuły, pałace i marmurowe kolumny lśniły w miejscu, gdzie łączą się trzy morza. Wówczas miasto zmieniło się w pierścień ze szmaragdami i diamentami. Osman Bej się obudził, gdy już miał założyć pierścień na palec. Natychmiast po przebudzeniu opowiedział szejchowi treść snu i poprosił go o rękę jego córki, Mal Hatun. Zapowiedziawszy, że dzieci zrodzone z tego małżeństwa posiadają całą ziemię, którą przesłoniło owo drzewo, a potomkowie Osmana zdobędą nie tylko Konstantynopol, lecz wszystkie miasta na trzech kontynentach, Edebali ochoczo zgodził się oddać swą córkę.

Akszemseddin odczuł w sercu niepomamowany entuzjizm, który wzrastał w nim i wzbierał coraz bardziej niczym rzeki Edirne. Wówczas spostrzegł, że przed rezydencją wielkiego wezyra Halila Paszy powiewają kolejne trzy proporce, i nie mógł się opanować ze szczęścia. Nazajutrz, wraz ze wschodem słońca, wojsko ruszy na Konstantynopol.

Zaczęło się od omenów. Pewnej nocy mieszkańcy Konstantynopola wyskoczyli z łóżek, zbudzeni potężnym wstrząsem. Z głębi ziemi docierały złowieszcze dźwięki, a posadzki i mury drżały. Mozaiki w Hagii Sophii runęły na podłogę wraz z wielką ikoną przedstawiającą Matkę Bożą. Na dziedzińcu pewnego klasztoru w jednej z peryferyjnych dzielnic rozstąpiła się ziemia. Mnisi zlekli się w swych celach, słysząc ludzkie krzyki dochodzące z otchłani. Zdawało się, że lada chwila bramy piekieł staną otworem i na całą ziemię rozleje się zło. Do owych krzyków

dołączyły kolejne, a później także jęki i wołania podobne do odgłosów wydawanych przez zarzynane zwierzęta. Mnisi natychmiast się zebrali i zaczęli błagać Boga, by ochronił miasto i ich religię. Tej samej nocy na niebie dało się zaobserwować liczne spadające gwiazdy. Do morza spadła kula ognia. Wróżbici pojęli, że oto zbliża się koniec miasta, i donieśli o tym cesarzowi. Ten zgromadził dostojników państwowych i kościelnych, którzy po naradzie postanowili wezwać na pomoc papieża. Tej decyzji stanowczo sprzeciwili się megaduks Łukasz Notaras oraz patriarcha Gennadiusz. Pierwszy wołał do zwolenników prośby o wsparcie: „Wolałbym widzieć turecki turban w mieście niż mitrę papieską!”. Drugi zaś zamknął się w celi w klasztorze Chrystusa Pantokratora i już jej nie opuścił. W liście protestacyjnym, który zawiesił na drzwiach, podkreślał, że Kościoły katolicki i prawosławny nigdy się nie zjednoczą, i ostrzegał Bizantyjczyków przed tym strasliwym grzechem. Mimo to w specjalnej ceremonii, w której wziął udział także legat papieski Izydor, ogłoszono unię obu Kościołów. Ludność miasta wyszła na ulice i wypełniła hipodrom, protestując przeciwko tej decyzji.

Pewnego ranka po bezsennej nocy cesarz zobaczył, że rzeźba stojąca u wezglowia jego łoża zaczęła się pocić. Nie mogąc uwierzyć w ten widok, przetarł oczy i spojrzał raz jeszcze, a wtedy spostrzegł, że nie tylko rzeźba, lecz także marmurowe kolumny oblewają się potem. Nazajutrz rano rozpuściła się potworna burza. Południowy wiatr uderzył w miasto z niewyobrażalną mocą. Statki w porcie zderzały się ze sobą, kramy na targowiskach się przewracały, a ludzie na ulicach wpadali na siebie. Łodzie tonęły, wiosła galer się łamały, ich żagle się rwały, dzwonnice kościołów waliły się na ziemię. Ludność miasta wypełniła Hagie Sophię i w towarzystwie mnichów, którzy opuścili klasztory, rozpoczęła modlitwę. Kiedy pod kopułą rozbrzmiewały błagania, wiatr zelżał i wkrótce całkowicie ustał. Wszystko zdawało się już w porządku, gdy nagle na niebie zaczęły się zbierać ciemne chmury. Gromy, które były z nieba jeden po drugim, momentalnie postawiły miasto w stan gotowości. Mury, pałace, marmurowe kolumny, kopuły i krzyże, a także Wieża Chrystusa oraz weneckie i genueńskie statki, które zarzuciły kotwice w porcie, to objawiały się oczom wszystkich, to znów znikwały w ciemności, a gdy ciemne niebo co chwilę rozbłyskało światłością, przerażeni ludzie nie wiedzieli, co robić. Nagle rozpoczęła się też straszliwa ulewa. Sądząc, że oto nadchodzi kolejny potop, księża wyrzucali sobie, że nie zbudowali arki, takiej jaką zrobił Noe. Złęknieni Bożego gniewu, zaczęli przemawiać jednym głosem. Radzili mieszkańcom miasta, by za wszelką cenę trzymali się z dala od katolików. Gdy nawałnica przybrała na sile, ulice miasta zmieniły się w wartkie strumienie. Powódź porwała zwierzęta z zagród, uprawy z pól, wozy, konie, kamienie i ziemię. Miejskie zbiorniki zaczęły wylewać i woda wtargnęła do domów, piwnic na wino, spichlerzy i spiżarni. Pojawiło się zagrożenie głodem i zarazą. Szczęśliwie nawałnica zakończyła się pod koniec trzeciego dnia. Na niebie znów zaświeciło słońce. Na ulice wrócili ludzie, a do ludzi – spokój. Obmyte z grzechów, miasto stało się jeszcze dumniejsze, jeszcze bielsze, jeszcze wspanialsze niż dawniej.

W obliczu tych wydarzeń słupnik, który przysiadł na szczycie ściętej kolumny stojącej w pobliżu Starego Pałacu, zaczął mówić w zupełnie inny sposób. Nikt nie wiedział, kim jest ani od kiedy przebywa na marmurowej kolumnie. Mógł być arystokratą, mnichem znudzonym klasztornym życiem albo szaleńcem. Żywił się tym, co ludzie wkładali mu do spuszczanego z góry koszyka, nie schodził z kolumny i na niej też załatwiał swoje potrzeby. Tę zarośniętą istotę, która od lat siedziała w kucki w miejscu i była podobna tyleż do człowieka, ile do małpy, mieszkańcy miasta uznawali za proroka i wierzyli w każde jej słowo. Gdy burza minęła, Bizantyjczycy – ciekawi, jakie nieszczęście ich teraz spotka – zebrali się na placu. Nie potrafili pojąć tych przedziwnych wydarzeń i pragnęli usłyszeć jakieś wyjaśnienia z ust słupnika.

Przez ulewę, trwającą wiele dni, asceta jakby się skurczył, zostały z niego skóra i kości.

Odzienie oblepiało mu ciało, a ponieważ od dłuższego czasu wszyscy mieli na głowie własne problemy, od dawna już nic nie jadł. Jako że siedział w kucki, spływająca aż do kolumny broda okrywała mu całe ciało i wystawały spod niej tylko dwie gołe nogi, podobne do tyczek. A także twarz, czy właściwie dwoje oczu, które wciąż nic nie straciły ze swojego blasku. Gdy mówił, a raczej otwierał usta, by z najwyższym wysiłkiem powtarzać nic nieznaczące, chrypiące słowa, oczy płonęły mu niczym rozżarzone węgle. Lud usiłował wydobyć z tych słów jakiś sens, lecz słupnik mówił w języku, którego nikt ze zgromadzonych nie znał. Była to nigdy dotąd niesłyszana mowa, być może pozostała po kapłankach z delfickiej wyroczni; a może nawet nie był to język, lecz bezsensowna kakofonia, złożona z połączonych okrzyków. Mimo to wszyscy słuchali w najwyższym skupieniu. Po dłuższym czasie przemowa ascety zaczęła przybierać zrozumiały kształt. Krzyczał ze szczytu kolumny:

– Ujrzałem we śnie, jak siedmiogłowa bestia wychodzi z morza! Tak, ujrzałem! Na siedmiu głowach miała siedem rogów i siedmioro oczu. Siedmioma ramionami objęła siedem wzgórz miasta i je połknęła. Tak, połknęła. A wtedy rozstąpiły się niebiosa i król zasiadł na tronie wśród zastępów aniołów. Dawni królowie rządzący kiedyś w mieście kłękali przed tronem, a ten, kto na nim zasiadał, zwrócił ku nim twarz. Wtedy do tronu zbliżyła się bestia i z siedmiu paszcz swoich siedmiu głów zionęła siedmiobarwnym ogniem. Każda jej głowa przypominała inne zwierzę. Pierwsza głowa podobna była do głowy lwa, druga do głowy latającego orła, trzecia do głowy ryczącego bawołu, czwarta do głowy rżącego konia, piąta przypominała głowę ryby pływającej w wodzie, szósta głowę węża, a siódma głowę wilka. A król zasiadający na tronie ściął wszystkie te głowy i rozplatawszy brzuch bestii, uratował miasto od zguby.

Na placu zapadła głęboka cisza. Nikt nie oczekiwał, że słupnik będzie mówił tak wyraźnie i z taką pewnością. Donośnym głosem, jakiego nie sposób było spodziewać się po jego wątłym ciele, asceta kontynuował swe prorocтво. Coraz mocniej się zapalał, a jego słowa, które teraz wypowiadał już wyraźnie, spływały na zgromadzony tłum niczym rozgrzany tłuszcz skapujący z lejka:

– Nadeszło wielkie trzęsienie ziemi, a z nieba spadły gwiazdy. I ziemia się rozstąpiła, a bramy piekieł się otworzyły. I zobaczyłem stado koni, które stamtąd wybiegły. Z pysków toczyły pianę, a głowy ich przypominały ludzkie; na ich grzbietach zaś siedzieli wojownicy o skośnych oczach. Spojrzenia owych żołnierzy były cieńsze niż włos i ostrzejsze niż miecz. I była w nich siła, tak by mogli pędzić przed sobą ludy, najeżdżać domy, kościoły i pałace, niby szarańcza atakująca pola pszenicy, i aby mogli grabić z nich złote naczynia, srebrne lichtarze oraz miedziane puchary. I nie zsiadając z koni, zapładniali dziewice, po czym jechali dalej, a starców zakuwali w łańcuchy i sprzedawali na targach. Potem ziemia znów się zatrzęsła, a niebiosa zagrzmiały. I runęły mury, a król w turbanie wjechał na białym koniu do Hagii Sophii. Odtąd to on będzie miał władzę, a nasz cesarz i patriarcha, arystokraci, oficerowie i biskupi, mnisi i wszyscy mieszkańcy Bizancjum będą mu posłuszni. Widziałem, jak kopuła Hagii Sophii kręci się niby dziecięcy bączek. Wirowali wraz z nią Maria, Matka Boża, nasz pan Jezus Chrystus Pantokrator, wszyscy aniołowie i apostołowie. A wtedy król w turbanie zniknął i minęło dziesięć razy dziesięć tysięcy lat, i czerwone ryby pluskające w sadzawce na kościelnym dziedzińcu trafiły na patelnię i zaczęły się smażyć. Dogładający ich mnich miał czarne brwi i czarne oczy, a w jego spojrzeniu tkwił gniew tysięcy lat. Zgładził on króla w turbanie, zasiadającego na tronie z mieczem u pasa, i włożył koronę na głowę naszemu cesarzowi. I wtedy usłyszałem głos. Rzekał do mnie: „Jam Alfa i Omega, Pierwszy i Ostatni, Początek i Koniec”⁵³. I ujrzałem niebo nowe i ziemię nową, bo pierwsze niebo i pierwsza ziemia przeminęły, i morza już nie ma. I ujrzałem miasto święte, przystrojone jak oblubienica. I Bóg oddał je nam, odebrawszy nieprzyjaciółom siłą miecza.

Słupnik zamilkł. Więcej już nie otworzył ust i nie powiedział żadnego słowa. Plac na nowo pograżał się w ciszy, jeszcze głębszej, jeszcze bardziej przerażającej. Po jakimś czasie zabrzmiały dzwony Hagii Sophii. Ludzie pozostawili ascetę w bocianim gnieździe na szczycie ściętej kolumny i zaczęli się rozchodzić. Niektórzy udali się do domów, inni do kościołów, lecz większość ruszyła do genueńskich karczm w Galacie. Dopiero po tych wszystkich wydarzeniach sułtan wyprawił w drogę z Edirne dzieło mistrza Orba: wielką armatę, której lufa zakończona była paszczą lwa.

To działo trzeba było zobaczyć! Wyprodukowano je w odlewni w Edirne, w wielkiej formie, wykonanej z mieszanki gliny, lnu i konopi, składającej się z dwóch połączonych ze sobą rur. Przez wiele dni dęto w miechy, aby miedź topiąca się w piecu spłynęła do formy i ją wypełniła. Bestia, która opuściła warsztat, wprawiła w przerażenie nawet Sarudzę Paszę – tego samego, który w swoim życiu oglądał tak wiele dział i przy tak wielu podpalał lont. Tylko mistrza Orba nie zaskoczył efekt prac. Przechadzał się wśród półnagich robotników, którzy w pocie czoła poruszali miechami, i gdy śnieg padający na zewnątrz topniał, zbliżając się do rozżarzonych pieców, on uśmiechał się z radością kogoś, kto napełnił sobie kiesę złotem. Uśmiechał się też Mehmed. Podobnie Sarudża, Zaganos i Karadża Bej – również pod ich obfitymi wąsami dało się zauważyć uśmiechy. Nie cieszył się tylko Halil, który siedział w kącie zamysłony i zatroskany. Jego stan nie umknął uwadze oficerów. To był jednak czas na przygotowania do wojny, a nie na wszczynanie kłótni.

Gdy bombardarda ostygła, wygładzono ją i wypolerowano. Przystrojono niczym pannę młodą. Była tak ogromna i długa, a wylot jej lufy był tak szeroki, że nawet najsilniejszy zapaśnik państwa Osmanów nie zdołałby objąć tej młodziutkiej niewiasty. Podczas próbnego wystrzału wyrzuciła granitowy pocisk na odległość tysiąca kroków. W zagłębieniu, które powstało tam, gdzie upadła kula, zebrał się śnieg, a dzieci zaczęły bawić się w berka. Podmuchał wystrzału najpierw powalił na ziemię wielbłąda, a następnie uniósł go w powietrze. Lud Edirne na trzy dni i trzy noce przestał słyszeć, ogłuszony przez bombardę. Ciężarne kobiety poroniły. Podczas piątkowego kazania w meczecie Üczszerefli imam porównał huk działa do dźwięku trąby archanioła Israfila, w którą ów zadmie w dzień Sądu Ostatecznego. Wkrótce do Bizancjum dotarła wieść, że Szahi, Niezłomny, niedługo wyruszy w drogę.

Działo ciągnięte przez pięćdziesiąt par bawołów posuwało się do przodu po równinach Tracji. Chroniło je dwustu żołnierzy, maszerujących po obu jego stronach, oraz szybsi niż wiatr kawalerzyści Karadży Beja. Zdawało się, że jego celem nie było rozgromienie cesarstwa Konstantyna XI, lecz zmiążdżenie jego serca, a w ślad za tym – zniszczenie całego Bizancjum i pozostawienie za sobą znękanych cierpieniem wojowników. Jak powoli i wyniośle sunęło całymi dniami wśród lasów... Aby ułatwić transport bombardy po terenach porytych pagórkami, cieśle naprędce wznosili niewielkie pomosty i gdzieś tam podkładali pod nią okrągłe drewniane kłody. Wszystko zostało przemyślane w najdrobniejszych szczegółach; całą potęgę państwa zmobilizowano dla Szahiego. Nie, nie był to potwór, nie był to strzelający z paszczy śmiertcionośnymi pociskami smok o skórze błyszczącej na czerwono w słońcu; była to panna młoda wysłana w darze do pałacu Konstantyna. Miała spędzić noc poślubną z cesarzem, który od dawna nie mógł znaleźć kandydatki na żonę. Przedsięwzięto wszelkie środki ostrożności, by nic się jej nie stało po drodze, i przewidziano wszystkie okoliczności, które mogłyby zakłócić podróż.

Gdy jednak po dwóch miesiącach bombardarda dotarła pod mury Konstantynopola, na nowo stała się bestią, gotową połknąć całe miasto swą wielką, mroczną paszczą. Pewien mnich, który dojrzał Szahiego z wieży, uznał, że oto pojawił się Antychryst. Wieść natychmiast rozeszła się wśród mieszkańców. Złęczony lud wypełnił kościoły. Księża głosili, że nie pozostaje mu nic

innego, jak modlitwa, szukanie schronienia u Maryi, spowiedź i wzywanie pomocy Chrystusa. Skoro przed laty Niepokalana Dziewica rozgromiła armię Murada, która otoczyła miasto, teraz jej syn mógł jednym spojrzeniem rozbić wojska Antychrysta. W tym celu należało wytrwale się modlić, doznać odpuszczenia grzechów i jak najszybciej rozpocząć post. Potępić zarówno Turków, jak i katolików, i schronić się w opiekuńczych ramionach Maryi, na jej czystym łonie. Dzięki modłom odmawianym w kościołach, zapachom unoszącym się ze srebrnych kadzideł i twarzom świętych spoglądających z ikon lud miasta nieco się uspokoił. Konstantyn zaś zawiadamiał przy pomocy obwoływaczy chodzących po wszystkich dzielnicach, że nie ma powodu do strachu, mury są mocne, a wojsko gotowe do walki, i że lada dzień przybędą na pomoc okręty z rycerzami w pełnym rynsztunku, wysłane przez papieża. Mieszkańcy miasta, którzy w niedługim czasie zapomnieli o Szahim, wrócili do swoich zwykłych zajęć i codziennych trosk. Cesarz zaś nadał tempo przygotowaniom do obrony.

Przybyli. Ustawili się w formacji bojowej przed murami, lśnącymi w wiosennym słońcu. Pochodzili z miast i stepowych wsi Anatolii i Rumelii. Z Amasji, Siwasu i Porsuku, z Ajdynu, Izniku, Bursy, Manisy i Saruhanly. Z Edirne, Seresu i Bitoli. Z każdego miejsca, każdego zakątka państwa, od rzeki Kyzylirmak po Dunaj. Po raz pierwszy widzieli Konstantynopol. Byli z górskich wsi i z sadów, z okolic Gedizu. Przybyli od podnóży gór – Idy, Olimpu Mazyjskiego, Taurusu – z Isfendijaru, Gallipoli, Karaburunu i Ağaczenizi. Po raz pierwszy widzieli mury. Po raz pierwszy widzieli fosy, zamurwane bramy o podniesionych mostach, wieże i ambrazury. Nie mieli pojęcia o świecie czekającym ich za dwoma rzędami umocnień, lecz byli tego świata nader ciekawi. Słyszeli, że w mieście znajdują dziewice, których biała skóra nigdy nie widziała słońca, kościoły o złotych kopułach i srebrne lichtarze, że w marmurowych pałacach wino i rozkosz leją się strumieniami. Byli młodzi. Byli starzy. Były dzieci. Byli śniadzi i bladzi, wąsaci, o błękitnych, czarnych i piwnych oczach. Byli wśród nich uzależnieni od opium derwisze w łachmanach, siwobrodzi mędrcy i młodzieńcy, którym dopiero sypał się wąs. Zostawili swoje pola, sady i ogrody, stada owiec, łącznie i krosna, porzucili klasztory i wsie, zeszli z gór, przemierzili stopy i równiny, przekroczyli rzeki i wąwozy – wszystko po to, by stanąć pod sztandarem islamu, przypasać miecze i złożyć przysięgę. Byli ochotnikami.

Spotkali się z wojskami prowincji i armią sułtańską na szlaku Keszan–Malkara–Tekirdağ i przybyli wraz z nimi, by zająć miejsce wśród janczarów i dżebedzi, wśród artylerzystów, spahisów i azabów. Pełni entuzjazmu, wiary i odwagi jak nowo narodzone dzieci ustawili się przed murami w następującym porządku:

Na prawym skrzydle, pomiędzy Złotą Bramą a bramą Świętego Romana, stały siły anatolijskie pod dowództwem paszów Ishaka i Mahmuda. Dosiadający koni timarioci rozpostarli żółto-czerwone sztandary i pod kontrolą oficerów oraz chorążych przybrali szyk bojowy. Stali w pierwszych rzędach, przed azabami i spahisami. Ich dążeniem były śmierć za wiarę bądź bohaterskie zwycięstwo. Zdawali się wahać między rajem a łupami. Większość z nich stanowili chłopcy o opalanej skórze. Byli radośni i zniecierpliwieni, tak jakby wcale ich nie zebrano i nie doprowadzono tu siłą, tak jakby od lat obozowali pod tymi murami, tak jakby nie wyrwano ich z objęć matek i nie rzucono do koszar, tak jakby nie odebrano ich ukochanym i nie kazano im chwycić za broń. Szablami ostrymi jak brzytwa, buzdyanami i toporami gotowi byli ciąć głowy niewiernych, tak jak ścina się zboże. Nie wiedzieli, że janczarzy przypuszczą szturm na mury, przeskakując nad ich zwłokami.

W środku – między bramami Świętego Romana a Adrianopolską – za janczarami, w tym sekbanami i czorbadžami, stali wszyscy kapykułowie z mieczami i tarczami, łukami i strzałami,

maczugami i włóczniami. Mieli na sobie mundury z ciemnoniebieskiego sukna. Czapy z białego filcu okrywały im głowy aż do ramion. Mieli poważne miny i byli zdyscyplinowani. Za nimi dżebedzi ustawili katapulty, ciężką broń i amunicję, załadowane na wielbłądy, a przed nimi zajęli miejsce artylerzyści i minerzy. Ci ostatni z uciechą oglądali bombardy, moździerz i inne działa, rozstawione na wolnej przestrzeni. Małe, czarne armaty umieszczone naprzeciw murów były jak ich dzieci. Każda miała imię i charakter. Różniły się zarówno formą, jak i kształtem pocisków oraz sposobem ładowania. Wieże oblężnicze wystawały spomiędzy nich jak głowy drewnianych koni. Wszystkim dowodził Karamani Pasza.

Na lewym skrzydle – od Bramy Adrianopolskiej aż po Złoty Róg – zajęła pozycję armia rumelijska pod komendą bejlerbeja Rumelii Dajego Karadży Beja. Nim dotarła pod mury Konstantynopola, zdobyła zamki Misiwri, Ahjolu i Wize, położone na brzegu Morza Czarnego, zajęła Siliwri, Bigados i Ajos Stefanos na wybrzeżu morza Marmara i sprowadziła pożogę na największe bizantyńskie wsie. Byli tam także akyndży: wychowankowie Ewrenosa Beja, Turahanlego, Mihaila i Malkoczogłu na koniach szybszych niż wiatr, w błyszczących w słońcu zbrojach i hełmach. Od wielu miesięcy gonili za wrogiem na grzbietach swych wierzchowców. Ale w ich sokolich oczach nie dało się dostrzec najmniejszego śladu zmęczenia.

Zaganos Mehmed Pasza zajął zbocze schodzące od Pery ku Pegai i rozstawił obóz na Okmejdany. Obóz sultana Mehmeda znalazł się zaś nieco w tyle za centralnymi siłami, na wzgórzu, gdzie stanął imperialny namiot z siedmioma podporami, wyszywany złotą nicią. Władca patrzył na Pałac Porfirogenetów niczym czerwonoskrzydły orzeł, który przysiadł przed murami miasta.

W pałacu cesarz Konstantyn XI Paleolog Dragazes, wielki logoteta Jerzy Sfrantzes, megaduks Łukasz Notaras oraz dopiero co przybyły na dwór niemiecki specjalista od broni palnej Johannes Grant słuchali Genuńczyka Giovanniego Giustinianiego Longa, który – nim ktokolwiek go wezwał – pospieszył na pomoc miastu z dwiema wielkimi galerami, czterystu w pełni uzbrojonymi żołnierzami i trzystu żeglarzami. Longo został mianowany przez cesarza dowódcą obrony murów. Przekazywał zgromadzonym informacje na temat wytrzymałości umocnień, morale żołnierzy oraz zapasów żywności.

Zewnętrzne mury były w dobrym stanie, gdyż niedawno zostały naprawione. Dlatego też główny wysiłek obrońców powinien skupić się na drugim rzędzie fortyfikacji i wszystko należy temu podporządkować. Obronę murów na brzegach morza Marmara oraz Złotego Rogu warto rozważyć w drugiej kolejności, a najwięcej uwagi trzeba poświęcić najsłabszemu punktowi, czyli fragmentowi pomiędzy bramami Świętego Romana a Adrianopolską. Fosy nie zostały tam wypełnione wodą, a do tego konstrukcja umocnień była najsłabsza. Wielki łańcuch rozpięty pomiędzy Galatą a wieżą Eugeniusza miał uniemożliwić osmańskiej flocie wpłynięcie do Złotego Rogu. Dlatego też wysiłki obronne na tym obszarze można było uznać za zbędne. Wedle tych ustaleń Teodor Karystenos miał walczyć naprzeciw centralnych sił osmańskich, żołnierze i żeglarze zaś pod dowództwem Longa – w pałacu i jego okolicach. Obrona pozostałych obszarów – od Złotej Bramy do bramy Kaligaria – miała zostać powierzona weneckim, genueńskim i bizantyńskim dowódcom, którzy pod flagami cesarstwa oraz powiewającymi wraz z nimi na wieżach miasta sztandarami przedstawiającymi lwy świętego Marka, mieli w imię Chrystusa, Maryi i wszystkich świętych zasypywać Turków gradem pocisków, strzał i kamieni oraz spuszczać na nich greckie ognie, a w razie czego – chwycić za miecze i ścinać głowy.

W miarę jak Longo przemawiał, wymieniając nazwiska takich dowódców i rycerzy, jak Andronik Kantakuzen, Jacopo Contarini, Giovanni Delfino oraz Teofil Paleolog, morale cesarza się wzmocniło, a jego wiara w to, że uda mu się pokonać Turków, wzrastała. Ostatecznie rozstrzygającym czynnikiem miała się stać nie nienawiść czy gniew, lecz właśnie siła wiary.

I oczywiście, zgodnie ze stwierdzeniem Granta, popartym przez Sfrantzesę, wiedza miała wziąć górę nad pasją, a rozum nad brawurą. Ze względu na jego poświęcenie cesarz obiecał oddać Longowi po zwycięstwie wyspę Limnos. Megaduks Łukasz Notaras opuścił zebranie ze spojrzeniem przepełnionym poczuciem winy, tak jakby to on był odpowiedzialny za współpracę z katolikami. Ciepła wiosenna noc zapadła jednocześnie nad Pałacem Porfirogenetów i nad sułtańskim namiotem. Żołnierze po obu stronach zasnęli w takim samym lęku, z taką samą nadzieją, z taką samą tęsknotą i wiarą. Uśmiechali się, śniąc, że Bóg im właśnie ofiaruje zwycięstwo.

Z dziennika sekretarza wyprawy Nicola

5 kwietnia 1453 roku

Jestem martwy w wieku siedemnastu lat. Tymczasem całe życie przede mną. Całe dnie, noce, długie lata. Nowe, zupełnie nowe życie. Nie ma już jednak ukochanego syna Domenica di Maestriego imieniem Nicolo, który prowadził dziennik pokładowy na statku Antonia Rizza. Pożegnał się on z dawnym życiem w listopadzie 1452 roku. Jestem teraz Selimem. Nicolo to moje dawne imię. Teraz jestem iczoglanem, paziem na dworze osmańskim, dewszirme na usługach sułtana Mehmeda. Gdy wpłynęliśmy na Bosfor, a wiatr wyduł żagle statku, i w ciepłym jesiennym słońcu zmierzaliśmy ku Konstantynopolowi, nie mogłem, rzecz jasna, nawet przypuszczać, że wraz z widokiem tej przerażającej twierdzy, która nagle stanęła przed nami, zmieni się całe moje życie i że w ostatniej chwili przed wbiciem na pal – na który trafili pozostali członkowie załogi – spodobam się sułtanowi i zostanę jego sługą. Podobnie od tamtej pory nie mogę się nawet domyślać, co mi się jeszcze przytrafi oraz kiedy, gdzie i jak zakończy się to życie, które ofiarował mi Bóg. Przed sobą mam jednak nowy żywot, czuję to. Wierzę, że tak jak uniknąłem śmierci na palu, wyjdę też cało z tej wojny, z tej straszliwej klęski, która spadła na świat. A jeśli umrę, chcę, by zapamiętano mnie jako autora tego dziennika, tej relacji z czasów apokalipsy.

Przez jakiś czas pozostawałem w żałobie po moich przyjaciółach, którzy po zatonięciu statku wydali ostatnie tchnienie wbici na pale. Potem przywykłem do nowej sytuacji i postanowiłem zapomnieć o przeszłości, usunąć Wenecję z pamięci, tak by nigdy już o niej nie myśleć. W pewnym stopniu mi się to udało. Nicolo nie umarł jednak całkiem, skoro nieoczekiwanie ukazał się na nowo, w czasie gdy ziemia zaczęła usuwać mi się spod stóp, a całym światem wstrząsnęła katastrofa. Zobaczymy, czy dzięki nawykowi, które wyrobił w sobie, gdy był sekretarzem na statku, zdoła on prowadzić dziennik oblężenia.

Chcę, by ci, którzy przyjdą po nas, dowiedzieli się, jak wyglądają te tak istotne dni, te wydarzenia zapowiadające, być może, koniec jakiegoś świata, jakąś katastrofę. Będą obserwować wagę pewnej epoki z całym jej cierpieniem, ze wszystkimi nadziejami i lękami, z jej tchórzostwem, odwagą i wiarą z perspektywy Nicola, który dyktuje te słowa ręce Selima, dzierżącej pióro i lekkiej jak piórko. W tym celu jednak muszę pozostać wierny prawdzie i opisywać wszystko, co wiem, słyszę i widzę – zwłaszcza to, co widzę – takie, jakie jest, nie dodając niczego. W powietrzu znowu czuć zapach krwi i prochu. A tymczasem jest kwiecień i świat wygląda piękniej niż zwykle.

Tak, będą opisywał to, co widzę. Gdy na wzgórzu naprzeciwko bramy Świętego Romana rozstawiony został sułtański namiot, a jego karmazynowa tkanina przetykana złotą nicią oraz umieszczone dookoła proporce trzepotały na kwietniowym wietrze niczym skrzydła jaskółek zwiastujących wiosnę, ujrzałem jednocześnie dwa morza. Rosły przede mną tysiącletnie mury

Bizancjum, niezliczone wieże, połyskujące w słońcu, oraz kamienne schody łączące ze sobą baszty obronne. Na samym przodzie znajdowały się szerokie i głębokie doły, gdzieś tam wypełnione wodą, następnie pierwsza linia murów, a za nią główne fortyfikacje, jakich dotąd nie widziałem w żadnym zamku ani nawet w najwspanialszych portach, które odwiedziłem. Pomyślałem o mieście schronionym za ową nieprzekraczalną konstrukcją z kamieni i cegieł. Było tak blisko, na wyciągnięcie ręki. Nigdy jednak nie przekroczyłem jego bram, nigdy nie spacerowałem po alejach, wzdłuż których stały marmurowe kolumnady, nigdy nie wspiałem się na akropol ani nie dosiadłem konia na hipodromie w tym mieście. Nie przyglądałem się w zachwycie mozaikom i przedstawieniom świętych w jego kościołach ani nie dotknąłem jego ciemnowłosych kobiet o jasnej cerze. Nie znałem ani jego świątyń, ani cystern. Nie dotarłem nawet do klasztorów, które się w nim mieściły. Tak, nawet do owych klasztorów, otoczonych wysokimi murami, gdzie na wyschniętych studniach, stojących na dziedzińcach, przysiadły wrony, a w celach mnisi czekali na kres swych cierpień!

Jeśli wierzyć opowieściom mojego nieszczęsnego kapitana, Bizantyjki mają smak cierpkiego wina. Po pierwszym kielichu pripraviają o zawrót głowy, po drugim – porządnie upijają. Po wychyleniu trzeciego nikt nie jest w stanie się podnieść z miejsca. Po czwartym zaś... Gdy tylko dotarliśmy do Galaty, gdzie zatrzymaliśmy się w drodze do Pontu, Antonio zakazał mi opuszczać statek, twierdząc, że jestem jeszcze za młody, by mu towarzyszyć, po czym zniknął w mieście. Przez cały dzień obserwowałem je z pokładu. Jako że nie mogłem wmieszać się w tłum na ulicach i targowiskach, których gwar docierał aż do portu, przepelniał mnie dziwny smutek i na nowo odczuwałem w głębi serca swoje sieroctwo.

Po lewej stronie połyskujące, przezroczyste morze wcinało się w łąd równolegle do murów, oddzielając Galatę i Perę od miasta. Na powierzchni wody widziałem piękne łodzie, olbrzymie karaki oraz żaglowce odcinające się od bieli mew, tańczących w powietrzu. Cień Wieży Chrystusa, wznoszącej się na wzgórzu naprzeciwko mnie, padał na kamienne domy o wielkich oknach stojące w genueńskiej dzielnicy i dalej – na mury otaczające Galatę, a cień jej spiczastego dachu docierał aż do portu. Falował powoli na powierzchni wody, podobny do obrzezanego członka. Uznałem ten widok za obcy, nie pomyślawszy nawet, że pewnego dnia i ja zostanę obrzezany. Ze swojego miejsca dostrzegałem kopuły kościołów, a w oddali, tam gdzie wzniesienia Pery zbliżały się do murów okalających zabudowania po drugiej stronie zatoki, widziałem lśniący w słońcu Pałac Porfirogenetów. Tam było miasto. Tak blisko, że gdybym wyciągnął rękę, mógłbym niemal dotknąć jego mieszkańców – cesarza, arystokratów, księży, bogatych kupców, nędzarzy i prostytutek. Byłem jednak na statku i nie wolno mi było nie tylko wyjść na spacer do miasta, ale nawet stanąć na lądzie. Byłem nieopierzonym chłopcem, obywatelem Wenecji nieróżniącym się od zwykłego galernika. Być może dlatego miasto mi się śniło. Gdy sunęliśmy naprzód po otwartym morzu, blask bijący od kopuł – to zbliżających się do mnie, to oddalających się ode mnie – raził mnie w oczy, tak jakby były ze złota. Za każdym razem, gdy opuszczaliśmy jakiś port, miałem wrażenie, że to nie statek odpływa, lecz brzeg.

Przez całą tę noc, siedząc w świetle pochodni zapalonych przez załogę, wyobrażałem sobie kapitana w objęciach jakiejś kobiety. Co sprawiało, że tak trudno było się nimi nasycić, tak trudno z nich zrezygnować? Być może nigdy się tego nie dowiem. Jedyne, co znam w kwestii miłości, to rozpalone pożądaniem męskie ciało. Może pewnego dnia napiszę też o tym, o obejmującym mnie rozkosznym ciepłe, o silnym dotyku, o dreszczu, który przechodził mnie w pałacu w Edirne. Lecz jeszcze nie przyszła na to kolej.

Równo po roku stoję znów przed tym miastem, które nigdy nie przepuściło mnie przez swoje bramy, które w mych snach wciąż się ode mnie oddala, które podnosi mosty, nim zdążę na nie wejść, które nie pozwala mi stanąć w swoim porcie – tak, nawet w porcie – i niczym

nieosiągalna kobieta ukrywa swoje piękno w oddali, za murami. Tym razem będę je oblegał wraz z Turkami. Wezmę je siłą i wejdę w nie, zanurzę się w jego ulice, by nigdy, tak, nigdy już go nie opuścić. Jeśli Turcy odniosą zwycięstwo, wraz z nimi będę plądrował pałace, klasztory i piętrowe kamienne domy. A przecież nienawidzę wojny. Nie chcę oglądać płynącej krwi. Ścięte głowy, zmiążdżone kończyny i skóra pękająca z trzaskiem napawają mnie obrzydzeniem. Niestety, Bóg nie oszczędził Nicolowi horroru wojny nawet w tak młodym wieku. Na własne oczy widziałem podziurawione ciało mojego ojca oraz kapitana konającego na palu. Pewnego razu w Trapezuncie dwóch członków naszej załogi nie wróciło na pokład statku. Nazajutrz znaleźliśmy ich zwłoki w jakiejś brudnej uliczce. Zasztyletowali ich złodzieje. Aby ukraść im pierścionie, odcięli im palce. Jednemu wypłynęło oko. Mimo to, gdy wejdę do Konstantynopola, chcę się na nim zemścić. Chcę przeciąć jego ulice, tak jak ostrym mieczem przecina się jelita, chcę rozplatać mu brzuch i zakrwawionymi rękami rozsunąć mu uda. Tak, tym razem na pewno dotrę do miasta, ja, Nicolo, dawny sekretarz wyprawy, ja, Selim, iczoglan sułtana Mehmeda, wezmę je wraz z Turkami. Wejdę wreszcie do Konstantynopola, którego ramię przy ramieniu bronią moi rodacy, Bizantyjczycy i Genuieńczycy.

Jeśli zwycięstwo odniosą Turcy, miasto z pewnością zostanie splądrowane. Cesarz odrzucił propozycję, którą Mehmed przesłał mu przez swojego posła, Mahmuda Paszę. Gdy ten przed chwilą stanął przed sułtanem, nie potrafił ukryć radości z tego, że Konstantyn nie skapitulował. Ucałował szatę padyszacha, po czym rzekł:

– Panie, Konstantyn nie przyjął twoich warunków. Powiedział tylko, że jeśli oddalimy się spod murów, zgodzi się na daninę. Twierdzi, że do miasta wejdziemy tylko po jego trupie!

– A więc wojna! – zakrzyknął Mehmed.

– Wojna! – zawtórowali mu chórem zgromadzeni dookoła wezyrowie i dowódcy.

Obserwowałem te wydarzenia z kąta sułtańskiego namiotu. Byli zdecydowani. Padyszach zwołał posiedzenie dywanu, by dokonać ostatniej oceny sytuacji. Gdy wszyscy pochylili się nad mapami i planami, odszedłem.

Co za fatalna wiadomość! Mój pan, sułtan Mehmed, chciał dać cesarzowi ostatnią szansę. Przysiągł na Boga i jego proroka Mahometa, na swych przodków i ojca sułtana Murada, na miłość do własnego miecza, że jeśli cesarz odda miasto bez walki, padyszach daruje życie jemu i jego krewnym i pozwoli im odejść, dokąd tylko sobie zażyczą, oraz że uszanuje prawa mieszkańców miasta do życia i wolności religii. Lecz na próżno. Bizancjum jest zatem tak uparte, jak się mówi, a cesarz – tak przywiązany do miasta. Na tyle, że z jego powodu ryzykuje życie. Wojna jest nieunikniona. W co wierzy Konstantyn? Że papież przyśle wsparcie? A może pokłada nadzieję w żołnierzach genuńskiego dowódcy Giustinianiego? Słyszałem, że przed kilku miesiącami przybyli tu na dwóch okrętach – o ładowności siedmiuset i pięciuset ton – i zaoferowali swe usługi cesarzowi, by bronić miasta, uratować chrześcijaństwo i zdobyć sławę. Obecność tych doświadczonych żołnierzy z pewnością nader pozytywnie wpłynęła na morale mieszkańców miasta. Musieli mieć jednak na oku jakąś własną korzyść. Dla samej sławy bowiem Genuieńczycy nie ruszą nawet palcem. Mówią, że cesarz obiecał Giustinianiemu wyspę Lemnos. Parszywy Genuńczyku! Czy sądzisz, że zapomniałem, iż jesteś śmiertelnym wrogiem Wenecji? Teraz jednak nie obchodzi mnie ani Wenecja, ani Edirne. Chcę Konstantynopola, moim celem jest walczyć z nim i spędzić z nim noc poślubną!

A może Konstantyn ufa Maryi? Jakież to dziwne: zostałem muzułmaninem, lecz wciąż ręka mi drży, gdy zapisuję Jej imię. Nie wierzę już, że jest matką Boga. Ani we wcielenie Jezusa Chrystusa. Bóg jest jeden i nie został stworzony. Jezus mógł być jedynie prorokiem, a nie Synem Bożym. A już na pewno nie zbawicielem! Nikt prócz Maryi nie uratuje Bizancjum. A ja bardziej niż kiedykolwiek potrzebuję jej miłości, ciepła, a szczególnie tego czułego spojrzenia, jakim

patrzy z obrazów. Napisałem: Maryja, lecz może powinienem był nazwać ją Panagią? Czy Konstantyn ufa Panagii? Czy wierzy, że to Ona obroni miasto? Prawosławie wreszcie połączyło się z katolicyzmem; jaką to teraz robi różnicę, czy mówimy o Maryi, czy o Panagii? To nieistotne, na szczęście jestem już daleki od tych jałowych dyskusji. Wojna jest nieunikniona, a jeśli Turcy zwyciężą, miasto zostanie splądrowane. Kto mieczem wojuje, od miecza ginie.

12 kwietnia 1453 roku

Zerwałem się ze snu, słysząc przeraźliwą eksplozję. Na początku nie potrafiłem pojąć, co się dzieje. Czy to grzmot, czy może trzęsienie ziemi, które starło na proch mury miasta? We śnie byłem na pograżonym w ciszy dziedzińcu. Na wyłożonym kamiennymi płytami dziedzińcu kościółka w Wenecji, nieopodal mojego rodzinnego domu. Byłem z matką. Ona weszła do środka, a ja – nie wiem, w jaki sposób – wskoczyłem nagle na tylny pokład wspaniałej trójrzędowej galery, która sunęła przed siebie po spokojnym morzu. Szliśmy cała naprzód. Fale biły o burtę, lecz nic nie było słychać, nawet szumu wody. Było tak cudownie, gdy płynęliśmy szybko po morzu, lecz nagle niebo zagrzmiało. Drugi wybuch sprawił, że się obudziłem i zerwałem na równe nogi. Gdy w popłochu wybiegłem z namiotu i rozejrzałem się naokoło, zobaczyłem Mehmeda. Siedział na białym koniu i przyglądał się Szahiemu, który pośród innych dział wyrzucał z lufy dym niczym rozwścieczony smok. Sułtan patrzył na bombardę z czułością, jakiej nigdy dotąd nie widziałem na jego twarzy. Ciemny wylot lufy skierowanej na Krzywą Bramę zdawał się rzucać wyzwanie lśniącym w słońcu zbrojom żołnierzy pod komendą Giustinianiego oraz wieżom Pałacu Porfirogenetów. Nagle zaczęły strzelać pozostałe działa. Bombardy, moździerze i hufnice przekrzykiwały się jak walczące ze sobą psy. A w murach powstawały niewielkie pęknięcia. Potem regularnym ogniem starano się powiększyć rozmiary owych szczelin. Podczas gdy mniejsze działa usiłowały się przekrzykiwać, Szahi przy każdym wystrzale ciskał granitowy pocisk na mury, rozrywając je ze straszliwym hukiem. Dookoła unosił się gęsty dym. Gdy opadał, wciąż mogłem dostrzec kamienie latające w powietrzu. Od podmuchu wielkiej kuli hełmy żołnierzy ustawionych na wieżach wydawały z siebie gwizd. Gigantyczne działo nie mogło jednak strzelać bez przerwy. Aby je ostudzić, natychmiast po wystrzale należało je owinąć w wełniane łachmany, a przez szeroki otwór lufy wlać do środka olej z wielkich gąsiorów. W tym czasie Bizantyjczycy łatali niewielkie wyłomy powstałe w murach, a te większe zatykali workami wypełnionymi szmatami. Następnie oblewali je wodą, by nie zajęły się ogniem. Do tych prac zmobilizowano niemal wszystkich mieszkańców miasta. Nawet kobiety i dzieci prześcigały się we wzmacnianiu murów, naprawianiu mniejszych i zatykaniu większych wyłomów. Dzięki wsparciu ludu rosło morale żołnierzy. Nagle zaczęły strzelać bizantyńskie działa ustawione na murach. Ich ogień nie był jednak tak skuteczny jak turecki. Nie doznaliśmy większych szkód, gdyż pozostawaliśmy poza ich zasięgiem.

Wymiana ognia trwała do południa. Gdy słońce wzniosło się ponad mury i stanęło w połowie swej drogi, azabowie przypuścili szturm na umocnienia, przechodząc przez puste fosy i chroniąc się za tarczami. Przywitał ich jednak ostrzał łuczników, więc byli zmuszeni do odwrotu. Cofając się zaś, nie zapomnieli – jak podczas każdej bitwy – o zabraniu zabitych. Nagle poczułem w nozdrzach woń krwi i potu. Byłem już przyzwyczajony do zapachu prochu oraz do huku dział. Nie milkły od wczesnego ranka. Krew to było jednak co innego. Rizzo nawet na otwartym morzu używał piżma i ambry; jego broda tłumiła woń soli, a włosy – woń morza. Tak jak ja, nienawidził zapachu krwi. Niestety, umarł podobnego wiosennego dnia, gdy drzewa nie pokryły się jeszcze kwiatami. Co gorsza, nabity na pal, nie straciwszy nawet kropli krwi. Kto wie, może teraz krew mego ukochanego kapitana, która nie chciała płynąć, mści się na wojsku Mehmeda!

Pod wieczór nadeszła wiadomość, że zbliża się flota osmańska. Wraz z Mehmedem i jego

orszakiem zszedłem na brzeg. Roztaczał się przed nami zachwycający widok. Powierzchnia morza Marmara pokryta była bielą. Nie dało się dostrzec wody. Miałem przed sobą las, tak, wędrujący las wioseł, masztów i żagli. Pierwsze płynęły galery o pękatych rufach. Każda miała trzy rzędy wioseł i dwadzieścia cztery ławy dla wioślarzy. Oraz po jednym maszcie. Sunęły niczym jaskółki, przyspieszając z każdym uderzeniem wioseł o spienioną powierzchnię morza, a cała ich załoga – żołnierze, sternik, marynarze obsługujący żagle, galernicy oraz artylerzyści stojący dumnie przy działach – pozostawała na pokładzie w pełnej gotowości. Wśród galer o różnej wielkości i konstrukcji wyróżniała się galera admirałska. Widziałem też towarzyszące im karaki, trójmasztowe fregaty oraz łodzie sporych rozmiarów. Na końcu płynęły statki wiozące żywność, o pojemności stu osiemdziesięciu ton, oraz barki przewożące kamienie, wapno i drewno, przydatne podczas oblężenia. Kto powiedział, że Osmanowie nie mają floty?! Nigdy dotąd nie widziałem naraz tylu statków przemierzających się w takim porządku. W oczach Mehmeda widać było szczęście. Bizantyjczycy, którzy wspięli się na mury ciągnące się wzdłuż wybrzeża morza Marmara, także obserwowali zbliżającą się flotę. W przeciwieństwie do Turków – nie z dumą jednak, lecz ze zrozumiałym zatroskaniem. Mogłem się tylko domyślać, o czym rozmawiał cesarz z otaczającymi go ludźmi, gdy wpadł w przerażenie na wieść o tej wspaniałej armadzie, lecz przypuszczam, że megaduks zareagował jedynie nerwowym mruganiem. Tak, wśród oglądających flotę z pewnością byli też cesarz i jego oficerowie. Południowy wiatr, który wydymał żagle okrętów, sprawiał też, że powiewały zatknięte na wieżach flagi Bizancjum i weneckie lwy. Tureckie statki zniknęły za cyplem wraz ze swoimi zielonymi banderami, tańcząc na powierzchni wody. Doliczyłem się osiemnastu galer o trzech rzędach wioseł i czterdziestu ośmiu dwurzędowych. Mniejszych okrętów zaś nie sposób było policzyć. Statków towarowych było więcej niż dwadzieścia pięć. To pewnie nawyk z czasów, gdy prowadziłem dziennik pokładowy, lecz nie potrafię nie liczyć statków, gdy je zobaczę. Dowiedziałem się, że flota pod komendą admirała Baltaoğlu Sulejmana Beja zarzuciła kotwice naprzeciw Diplokionionu⁵⁴ i że nazajutrz sforsuje łańcuch blokujący dostęp do Złotego Rogu, by rozpocząć bombardowanie miasta od środka.

Gdy mieliśmy już wracać do sułtańskiego namiotu, przybył galopem posłaniec i natychmiast zsiadłszy z konia, przekazał Mehmedowi ponure wieści. Szahi eksplodował, wyrzucając w powietrze mistrza Orbana i setki żołnierzy, którzy znajdowali się w pobliżu. Oczy padyszacha od razu straciły blask. Nigdy nie widziałem go równie smutnego. Załamał się tak, jakby śmierć poniósł nie straszliwy potwór, lecz jego jedyny, ukochany syn, następca tronu. Natychmiast rozkazał, by ciężkie działa prowadziły ostrzał przez całą noc. Aga janczarów Mustafa Bej oraz Ishak Pasza próbowali go pocieszać. Inaczej młody sułtan pogrążyłby się w żałobie po Szahim i zapomniał o oblężeniu. Gdyby się nie krępował, zaniósłby się szlochem. Ishak zaproponował, by janczarzy, wykorzystując ciemność nocy, rozpoczęli w ukryciu szturm na mury. Mustafa Bej poparł tę inicjatywę pod warunkiem, że żołnierze zdejmą białe czapy. Sam miał nakrycie głowy w tym kolorze. Frędzel ze złotą nicią spadał mu niemal na czarne wąsy.

– Weźmiemy odwet za Szahiego, panie! – zagrzniał, a w jego głosie słychać było pewność.

– Tak! – zawtórował mu Ishak Pasza.

I natychmiast wysłał gońca, by rozkazał budować nowe działa. Wiedziałem, że odlewnicy przez całą noc będą dęli w miechy. Płomienie znów będą rozświetlać sen tysięcy zmęczonych żołnierzy. Obrońcom zaś śnić się będą koszmary. Miedź stopi się i spłynie do wielkich form, by działa, stwardniałe w porannym przymrozk, mogły zacząć bić w mury kamiennymi pociskami wystrzeliwanymi ze strasznych luf. Szahi przepadł jednak na zawsze. Cokolwiek zrobią, cokolwiek wymyślą, na nic się to nie zda. Drugiego takiego działa już nie będzie. Jaka szkoda!

Poczułem litość w stosunku do ludzi, którzy z tak wielkim trudem przewieźli tu Szahiego aż z Edirne. Boże, cóż to za kolosalny wysiłek! Jakże cierpliwi są Turcy! W związku z tym, że działa rozpadło się na kawałki, determinacja Mehmeda wzrosła jeszcze bardziej. Gniewnie pognął konia do namiotu. Paszowie ruszyli za nim. Ja jeszcze zostałem na brzegu. Morze opustoszało. Słońce obniżyło się ku horyzontowi. Na chwilę, bardzo krótką chwilę, moje myśli powędrowały w stronę Wenecji. W stronę matki, która wciąż czekała na mnie w oknie wychodzącym na kanał. Od razu jednak poniechałem tej myśli. Gdy dotarłem do namiotu, już dawno panowała ciemność.

13 kwietnia 1453 roku

Jakże straszną rzeczą jest wojna! Mówią, że noc jest dobra, że ciemność uspokaja człowieka, a sen odgania złe myśli. Tak, to była ciemna noc, lecz nie sposób było spać! Gdy tylko zaszło słońce, janczarzy rozpoczęli marsz na mury. Wezwania do Boga połączyły się w jednej chwili z dźwiękami wydawanymi przez bębny i kotły. Nigdy nie przyszłoby mi na myśl, że człowiek może wydawać tak przerażające odgłosy. Krzycząc: „Allah! Allah!”, janczarzy biegli z bułatami w rękach pod gradem strzał, kamieni i włóczni od strony rzeki Likos ku wieżom przednich murów, częściowo nadwerżonym podczas ostrzału. Większość nie miała żadnej osłony. Padali i ginęli, nim jeszcze dotarli pod umocnienia, a ci, którzy przybywali za nimi, przeskakiwali nad martwymi ciałami, wykrzykując w stronę wroga obelgi. Druga strona nie pozostawała im dłużna. Walczyli nienawistnie, nie rozumiejąc się nawzajem, a każda ścięta głowa czy oderwana kończyzna wzmagiała w nich żądzę zemsty. Tureckie przekleństwa zagłuszały greckie modlitwy, a łacińskich rozkazów nie dało się usłyszeć wśród arabskiego *Allahu akbar!* Wiem, że ci ludzie wierzą w różnych Bogów. Muszę jednak zaznaczyć, że trudno mi zrozumieć powody tak ogromnej wrogości, tak bezlitosnej żądzę mordy. Ja, Nicolo, rozumiem wyzwiska rzucane z obu stron! Wierzę w Bogów obu przeciwników. Dlaczego jednak Bóg, Bóg Biblii i Koranu, każe mi doświadczać tego niewyobrażalnego horroru?! Dlaczego nie jest taki jak w modlitwach – litościwy i opiekuńczy? Dlaczego pozwala, by jego wierni słudzy cierpieli? Czy po to, by jak najszybciej dostali się do obiecanej raju, czy może po to, by na polu bitwy, które i tak przypomina piekło, zapłacili cenę za swoje grzechy? Mam nadzieję, że miasto wkrótce upadnie, a ja oswobodzę się z tego koszmaru. Jak długo jeszcze będzie trwać ta rzeź, Boże? Jak długo jeszcze krew i ogień będą spływać po obu stronach? A skoro mowa o ogniu... Gdy janczarzy, którzy zdołali dotrzeć pod mury, za pomocą płonących na końcach włóczni usiłowali podpalić wypełnione ziemią beczki służące obrońcom do zatykania wyłomów oraz worki z wełną owinięte namoczoną skórą dla ochrony przed ogniem, na ich głowy lał się z kotłów rozgrzany ołów. W tych, którym udało się wspiąć po drabinach, rzucono ogniem greckim i zanim spadli na ziemię, zaczęli płonąć jak pochodnie, rozświetlając ciemności. Nie mogłem dłużej znieść widoku ludzi spalających się żywcem. Wróciłem do namiotu i zległem na posłaniu. Zapadłem w sen.

Gdy obudziłem się na dźwięk dzwonów, słońce miało wzejść lada chwila. Wyszedłem z namiotu i ujrzałem, że janczarzy zbierają poległych. Cały teren przed murami wypełniały szerniałe zwłoki. Żołnierze Giustinianiego, stojący na wieżach obronnych, patrzyli na dół w zdumieniu. Tak jakby to nie oni spalili wszystkich tych ludzi. Wyglądali na zmęczonych i niewyspanych. A może tylko przypuszczałem, że tacy są. Ze swego miejsca nie mogłem wszak dostrzec ich twarzy. Z pewnością jednak byli śpiący. Cała noc minęła im na walce. Do tego nie stawali przecież w obronie swojego miasta, swoich majątków i swojego honoru. Nie mogę też powiedzieć, by bronili Kościoła. Wszak zawarte na ostatnią chwilę porozumienie między cesarzem a kardynałem nie zmieniło niczyjej wiary! Grecy wciąż nienawidzą katolików, a katolicy wciąż gardzą Grekami. Jedyne miejsce, w którym się jednoczą, w którym mogą

współegzystować, jest pole bitwy. Żołnierze patrzą ze szczytu murów na spalone zwłoki janczarów jak zwycięski dowódca. Tymczasem wojna jeszcze się nie zakończyła. Ogień, który wczoraj trawił Turków, jutro spali ich, jestem tego pewny. Nie potrafię też zrozumieć, czego bronią na bizantyńskich murach Giustiniani i jego żołnierze. Życia czy może samej wojny? Nie muszą przecież walczyć, aby żyć!

Cały dzień wędrowałem wśród rannych. Leżeli przed namiotami na ziemi, wijąc się z bólu jak żmije. Niektórzy wciąż się tliłi. Spalone miejsca na ciele w porannym słońcu stały się ropiejącymi ranami rozkwitającymi na różowo niczym wiosenne kwiaty. Cóż za paskudne porównanie! Kwiaty rozkwitają wszak w ziemi, a rany na skórze człowieka, czasami zaś – w jego sercu. Dzięki kwiatom życie jest piękniejsze, dzięki ranom – bardziej przerażające. Oczami wyobraźni zobaczyłem pałac w Edirne. Pomyślałem o różach i goździkach, które Mehmed z największą pieczołowitością hodował w swoim ogrodzie. I o karmazynowych tulipanach. Kwiaty z sułtańskiego ogrodu kwitną teraz w ranach janczarów. Ale wystarczy już tej poezji! Miałem przecież spisywać to, co widzę! Miałem być bezstronnym świadkiem, chłodnym obserwatorem tej wojny! A więc nie tak łatwo człowiekowi wyzbyć się przyzwyczajęń... Na statku miałem jeszcze jeden zeszyt. W wolnych chwilach spisywałem w nim swoje uczucia i marzenia. Opowiadałem o portach, do których nie dotarłem, o krainach, których nie znałem. O barwie morza o zachodzie słońca, o świetle księżyca w pełni. I naturalnie o jeszcze barwniejszych i ciekawszych w mojej fantazji przygodach kapitana Rizza. To, co teraz piszę, jest jakby połączeniem dziennika pokładowego z owym prywatnym zeszytem. A ponieważ tak jest, nikt poza mną, poza Nicolem kierującym piórem Selima, nie będzie mógł tego zrozumieć.

Wśród rannych byli też konający. Jeden z nich wołał matkę, inny Chidra⁵⁵. Najwięcej jednak było takich, którzy wzywali imienia Boga bądź Proroaka. Słyszałem, jak jeden z janczarów krzyknął przed śmiercią: „Och, Ali!”. Powiadają, że zięć Mahometa, Ali, prowadził kiedyś wielbłąda. A w trumnie na grzbiecie zwierzęcia leżały jego zwłoki. Zarówno tym, który leżał w trumnie, jak i tym, który prowadził wielbłąda, był Ali! Być może ten janczar podobnie prowadził gdzieś swoje spalone ciało, a robiąc to, patrzył na nie w zdumieniu. Być może myślał, że trafił do raju, gdy tymczasem tlił się na ziemi pod murami Konstantynopola. Twarze rannych były blade jak płótno. Ich jęki i bezradność, gdy leżeli tak niby zwierzęta pieczone na ruszcie, sprawiały, że ścisnęło mi się serce. Niektórzy mieli zgniecione głowy lub oderwane kończyny. Ciała innych były rozszarpane. Widziałem krew krzepnącą im w ranach. I spojrzenia błagające o pomoc. W pobliżu nie było żadnego medyka. Nawet lekko ranni jęczeli, wciąż wzywając Boga i Mahometa. Ani jeden nie miał siwych włosów czy brody. Siwi leżeli w namiotach pod ałasowymi kołdrami, pogrążeni w głębokim śnie.

Chowanie poległych trwało do południa, a po południu najciężej rannych odesłano na tyły. Teraz jest wieczór. Niedługo żołnierze dostaną zupę, a z połowych pieców wyciągnięte zostaną gorące bochny. Oczami wyobraźni widzę, jak pozostali przy życiu z apetytem szturmują kotły. Martwi w końcu nie żyją. Ani nie jedzą, ani nie mówią. Oblężenie będą podtrzymywać ci, którzy zostali przy życiu. Którzy jutro, a najpóźniej pojutrze także dołączą do martwych. Którzy tu, pod tym pięknym wiosennym niebem, pełnym gwiazd, czekają na śmierć jak na kochankę, jak na pomyślną nowinę z daleka. Lampa niedługo zgaśnie. Tak, kiedy byłem sekretarzem wyprawy, pisywałem o słońcu zachodzącym za morze, o szumie wody i gwieździstych nocach, o pieszczotach wiejącego wiatru. Znudzony inwentaryzowaniem ładunku, spisywałem opowieści Rizza. O kobietach, za którymi tęsknił, o winie, które wypił. I o życiu, którym nie potrafił się nasycić, którego nigdy nie było mu dość. Z trudem sięgam po kałamarz. Mimo to muszę pisać, póki lampa nie zgaśnie. Skrybowie padyszacha nieustannie coś notują. Oni są jednak na rozkazach Mehmeda. Przybyli tu, by pisać o jego zwycięstwach, by chwalić bój chana Mehmeda

Gaziego, syna Murada, zawsze zwycięskiego. Ja zaś jestem zwykłym świadkiem. Skromnym świadkiem tych dni ostatecznej katastrofy.

19 kwietnia 1453 roku

Od pewnego momentu rozwój bitwy tak zaabsorbował padyszacha, że przestał zwracać uwagę na cokolwiek innego. Nie śpi ani nie pozwala spać innym. Narady z dowódcami, trwające do białego świtu, nie mają końca. My zaś czekamy w pełnej gotowości, by zrobić, co konieczne, na każde skinienie władcy. Stanowczo zakazano nam oddalać się od sułtańskiego namiotu. To niedobrze, zacząłem już bowiem z bliska przyglądać się bitwie. Miałem wszak na przekór kronikarzom Mehmeda zostać najbardziej bezstronnym, najwiarygodniejszym świadkiem tych przerażających dni i przekazać przyszłym pokoleniom ten bezcenny skarb – notatki sekretarza Nicola, zwanego Selimem.

Wreszcie nie wytrzymałem i poszedłem rozmówić się z sultaniem. Oświadczyłem, że chcę przyglądać się walkom, i poprosiłem, bym zawsze mógł mu towarzyszyć. Zmarszczył brwi. Przez chwilę myślał, gładząc brodę. Następnie rzucił prześmiewczo, że wojna jest trudniejsza od cielesnej miłości. Niemal zapadłem się pod ziemię ze wstydu. Mehmed jeszcze nigdy tak mnie nie poniżył, nawet gdy leżałem nagi na tygrysiej skórze w haremie pałacu w Edirne.

Kłęczałem przed kominkiem, obserwując w oczarowaniu płomień tańczący na ścianie. Cały czas nasłuchiwałem. Prosiłem Boga, by Mehmed zjawił się jak najszybciej i bym mógł już to mieć za sobą. Czas jednak się ciągnął, a noc nie chciała minąć. Na twarz, zwróconą ku ogniu, występował mi pot, lecz plecy marzły. Wszystko było ciepłe, gorące, a zarazem zimne jak lód. Jak zmienne nastroje sultana, jak mój przeklęty los. W tych niekończących się chwilach oczekiwania czułem się całkowicie samotny. Tak jakbym nie był wcale ulubionym jeńcem padyszacha, lecz jedynym stróżem tego dziwnego pałacu, postawionego wśród drzew w miejscu, w którym łączyły się dwie rzeki. Wszyscy odeszli i w wielkim gmachu zostałem tylko ja. Na zewnątrz padał śnieg i szumiały drzewa, a szmer Tundży i Maricy wypełniał komnatę. Z jakiegoś powodu dźwięk płynącej wody wzmagał moje poczucie samotności i czynił oczekiwanie jeszcze trudniejszym do zniesienia. Drwa w kominku paliły się z trzaskiem. Słyszałem też skrzypienie podłogi oraz kroki Mehmeda chodzącego w tę i w tę w sąsiednim pomieszczeniu. Padyszach wędrował między planami oblężenia a szkicami dział. Po dłuższym czasie, zwykle nad ranem, kroki się zbliżały, po czym drzwi otwierały się ze skrzypem. Mehmed wchodził do środka rozczochny. Nerwowa, zmęczona dłoń gładziła mnie najpierw po karku, a potem po plecach, by wkrótce ześlizgnąć się na drżące z zimna biodra. Pieszczoty stawały się nagle gwałtowniejsze i czułem ból. W mroku niekończącej się nocy, gdy ogień przygasał i robiło się zimno, dłoń chciała mnie pojąć, tak jakby ze mną walczyła.

Padyszach miał jednak rację, gdy stwierdził, że walka nie jest tak łatwa jak miłość. Nie wiem, co miał na celu, trzymając mnie dotychczas z dala od horroru wojny, lecz przystał na moją prośbę. Uczynił nawet więcej i wysłał mnie, swego niewolnika Selima, na pierwszą linię frontu. Dzięki temu ujrzałem z bliska prawdziwe oblicze wojny, to przerażające piekło. Być może chciał, bym umarł, bym podczas wczorajszego szturm, walcząc twarzą w twarz z żołnierzami Giustinianiego na murach, poległ i trafił do raju.

Przez cały dzień uczestniczyłem w przygotowaniach do ataku, który miał nastąpić w nocy. Przeprowadzenie wież oblężniczych z tyłów pod same mury nie było łatwym zadaniem. Każda z tych pięciopiętrowych drewnianych konstrukcji przewyższała maszt karaki. Średnica kół była równa wzrostowi człowieka, a piętra, zmniejszające się ku górze, mogłyby pomieścić niemal całą armię. Poszczególne poziomy były połączone ze sobą drabinami, a z przodu wież mieściły się otwory strzelnicze. Aby ochronić je przed ogniem, obłożono je świeżymi skórami zwierząt. Słyszałem o istnieniu tych konstrukcji od mojego kapitana Antonia, lecz nigdy nie

przypuszczałem, że będą tak majestatyczne. Bez wątpienia dlatego nazwaliśmy je *kiszwerküsza*, zdobywcami krajów. Tak jakby to one, a nie żołnierze, były prawdziwymi zwycięzczyniami. To one atakowały mury, oblegały twierdze i udrażniały szlaki wiodące ku nowym krainom. Cóż to za dziwna nazwa, *kiszwerküsza*! Jeśli chcecie uchodzić za bardziej cywilizowanych, możecie je nazywać *helepolis*. Lecz cóż to za różnica: *kiszwerküsza* czy *helepolis*? Na własne oczy widziałem, jak powoli ta machina, do której też miałem wejść, by wziąć udział w szturmie, ciągnięta jest przez woły i azabów na naoliwionych linach owiniętych wokół słupów wbitych po obu stronach drogi. Była jeszcze wyższa niż wieże wznoszące się między bramą Świętego Romana a Pałacem Porfirogenetów. Po opuszczeniu pomostu, mieszczącego się na samym jej szczycie, miałem wraz z janczarami ruszyć po nim na mury i zaatakować żołnierzy Giustinianiego. Dobyć miecza, ścinać głowy, a może zginąć. Nie bałem się. Starłem się myśleć o śmierci jako o naturalnym końcu i nie żałowałem, że poprosiłem Mehmeda, by pozwolił mi z bliska przyjrzeć się walkom – choć nie tak niewielki dystans miałem wówczas na myśli. Prawdę mówiąc, nie spodziewałem się też, że zostanę tak prędko zaprowadzony do agi Mustafy Beja, gdzie pod okiem potężnego janczara założę kolczugę i przypaszę szablę. Tak czy inaczej, dzięki Bogu wyszedłem cało z tego piekła. Nie straciłem ani ręki, która pisze te słowa, ani głowy, która mnie wpędziła w tę sytuację. Nawet nie zrobiło na mnie większego wrażenia to, że Ahmed, który mnie ochraniał podczas ataku i nie odstępował na krok, spłonął tuż przy mnie żywcem. Nie dlatego, że przywykłem do śmierci, ani dlatego, że nazywał mnie lekceważąco młokosem. Przyczyną tej obojętności była chyba postawa Ahmeda, który podejmował każde ryzyko, byle tylko polec jako bohater. To jednak nieważne; postanowiłem wszak spisywać tu obserwacje, a nie dywagować o swoich uczuciach. Przedstawię zatem wczorajsze wydarzenia, zaczynając od samego początku.

Gdy Mehmed rozkazał zaprowadzić mnie do namiotu agi janczarów Mustafy Beja, bym mógł wziąć udział w nocnym ataku, niemal podskoczyłem z radości. Wreszcie miałem zobaczyć wojnę z bliska. Miałem obserwować starcia nie z dystansu, lecz ze szczytu murów, i znaleźć się, być może, wśród pierwszych tureckich żołnierzy, którzy wejdą do miasta. Wraz z nimi miałem płądrować Konstantynopol. Nie łasiłem się, co prawda, ani na złote puchary, ani na srebrne świeczniki. Nie myślałem też o tym, by z Hagii Sophii wynosić na plecach wielkie ikony. Zdobyć miasta równało się dla mnie potajemnej schadzce z dziewicą, której biała skóra nigdy nie widziała słońca. Reszta mnie nie interesowała. Starłem się wyobrazić sobie szerokie aleje miasta, jego marmurowe kolumnady, klasztory i pałace, pomniki i cysterny – tak, nawet cysterny, ciemne i wilgotne, jeśli wierzyć relacjom innych – lecz wszystko to się rozplywało, gdy myślałem o czarnowłosej Bizantyjce. Była już tylko ona; nie miała twarzy, nie miała spojrzenia, lecz jej blade, mlecznobiałe ciało było moje. Nie, nie byłem tak doświadczony i tak cierpliwy jak kapitan Antonio. Nie chciałem czekać, by po pierwszym kielichu zawróciła mi w głowie, po drugim mnie upiła, a po trzecim powaliła na ziemię. Pragnąłem ją posiąść od razu, w ustronnym zaułku płądrowanego miasta, może o północy, a może nad ranem, mszcząc się za to, co przeżywałem w pałacu w Edirne. Miała to być pierwsza, tak, pierwsza kobieta w moim życiu.

Gdy w namiocie Mustafy Beja czekałem na miecz, przybył do niego posłaniec. Zaczął gorączkowo opowiadać o działaniach floty. O świcie okręty stojące przy Diplokionionie podniosły kotwice. Podpłynęły do ujścia Złotego Rogu i próbowały sforsować łańcuch.

– Szkoda, że nie widziałeś naszych żołnierzy, panie – mówił posłaniec. – W jednej chwili przerzucili pomosty na pękate bizantyńskie karaki i dostali się na ich pokłady.

Mustafa Bej się uśmiechnął, sądząc, że odniesione zostało kolejne zwycięstwo, że flota wreszcie wpłynęła do Złotego Rogu i otoczyła miasto od strony wody. Widząc radość agi janczarów, posłaniec trochę się zmartwił i kontynuował już nieco spokojniej:

– Niestety, panie, wróg urządził na nas zasadzkę. – Mówienie przychodziło mu z coraz większym trudem. Zaczął się jękać: – Notaras... No... Notaras...

– Co z Notaraszem? Czyżby przeklęty gjaur zdechł? – zagrział Mustafa Bej.

– Nie, panie, nasi polegli, zgnieceni jak robaki przez sypiące się z góry kamienie.

– A więc flota nie wpłynęła do Złotego Rogu?

– Niestety! Notaras urządził na nas zasadzkę.

– Niech będzie przeklęty! – uciął relację posłańca Mustafa Bej.

Nie zabawiłem tam długo. Nikt nie miał czasu się mną zajmować. Nic nie szło zgodnie z planem. Mustafa Bej wezwał jednego ze strażników i rozkazał mu nie spuszczać mnie z oczu oraz chronić mnie nawet kosztem własnego życia. Nie zapomniał dodać, że jestem sułtańskim iczoglanem. Wtedy założyłem kolczugę i przypasałem szablę. Nagle poczułem, że stałem się cięższy, że ciało ciągnie mnie ku ziemi. Niedługo jednak przywykłem do nieco za dużej zbroi. Natomiast ciężar szabli zwisającej od pasa w dół od początku nie stanowił dla mnie problemu. Owo stalowe ostrze było jakby naturalnym przedłużeniem mojego ciała, cudem, magicznym lekarstwem, które miało przywrócić mi męskość, utraconą na służbie u Mehmeda. Wyszedłem z namiotu z dłonią na rękojeści. Iczoglan Selim znikł, a na jego miejsce pojawił się dzielny wojownik. Choć nie było to proste, dotarłem pieszo do miejsca, gdzie stawiano wieżę oblężniczą. Tam strażnik, który – jak się dowiedziałem – miał na imię Ahmed, powiedział, że mogę trochę odpocząć. Następnie razem pomogliśmy przetoczyć machinę na brzeg Likosu.

Rzeka płynąca w stronę Bizancjum ze źródeł znajdujących się w górach Tracji, położonych za naszymi plecami, tworzyła dolinę w miejscu, w którym przebywaliśmy, i zmusiła budowniczych murów do obniżenia rozmieszczonych tu fortyfikacji. Umocnienia wznosiły się majestatycznie od morza Marmara aż do bramy Świętego Romana, lecz tu były nieco niższe. Dalej, gdy docierały w okolice pałacu na północnym zachodzie, łączyły się w jeden rząd i chroniły także siedzibę cesarza, po czym – znów podwójne – schodziły ku Złotemu Rogowi. Jedno z wielkich dział Mehmed ustawił naprzeciwko pałacu i od samego początku oblężenia zasypywał ten obszar gradem pocisków. Niestety, bombardowanie nie przyniosło oczekiwanego rezultatu. Pałac pozostawał poza zasięgiem, działo uszkadzało jedynie mury. Krótko mówiąc, najsłabszym punktem miejskich umocnień było miejsce, w którym płynął Likos. Dlatego też właśnie tutaj Giustiniani ustawił się ze swymi żołnierzami. A my zaraz po zmroku w tym miejscu mieliśmy rozpocząć atak. Działa zniszczyły bowiem niektóre wieże i nadwerężyły przedni oraz tylny rząd murów. Jako że fosy zasypane zostały w dużej mierze spadającymi kamieniami, atak przy użyciu wież oblężniczych mógł się zakończyć sukcesem. Dając możliwość walki z wrogiem na tej samej wysokości, *kiszwerküsza* miała nam pomóc osiągnąć to, czego nie udało się dokonać poprzednim razem, gdy żołnierze podchodzili do murów z drabinami. Ufaliśmy jej. Tak naprawdę sam jej wygląd napawał przerażeniem. Z daleka przypominała czarną bestię. Na jej najniższym poziomie ułożono w sterty większe i mniejsze kawałki drewna potrzebne do wypełnienia fos, wyżej zajęli pozycje łucznicy w pełnym rynsztunku, na samej górze zaś stanęli janczarzy z katapultami i arkebuzami.

Przez dłuższy czas próbowałem sobie wyobrazić, o czym myślał cesarz, który – aby obserwować nasz atak – wraz ze swym orszakiem stanął na najwyższej z dziewięćdziesięciu trzech wież spoglądających z góry na tureckie wojsko; z mojego miejsca doskonale widziałem tę budowlę, noszącą imię logotety Sfrantesa. Co więc poczuł Konstantyn, gdy dostrzegł *kiszwerküsza*, która nagle stanęła przed nim niczym smok o skórze połyskującej w słońcu? Czy myślał, że nadszedł kres Bizancjum? Że gdy janczar w białej czapce i z zakrzywioną szablą dostanie się do miasta przez Bramę Cyrkową, ukrytą w środku murów, spełni się złowieszcza wróżba? Czy może się zastanawiał, jak ocalić życie? Wiedziałem, że Konstantyn jest bardzo

przywiązany do miasta, że tak jak jego imiennik, który założył je przed tysiącem lat, większą miłością niż tron darzy swój lud i że Turcy zdołają wziąć Konstantynopol dopiero po jego trupie. W portach, do których trafiałem, wiele słyszałem o cesarzu, nawet to, że mimo zaawansowanego wieku wciąż nie znalazł sobie żony. Być może jego jedyną miłością było miasto, z którym dzielił imię. Dlatego nigdy się nie ożenił i postanowił do ostatniego tchu bronić swego oczka w głowie, które pozostawało obiektem pożądania Mehmeda, odkąd tylko wstąpił na tron. Poczułem dziwną litość w stosunku do Konstantyna, być może ostatniego bizantyńskiego cesarza. Tymczasem on był głową tysiącletniego państwa, a ja nieopierzonym jeńcem, niewolnikiem Mehmeda. Mimo to nie potrafiłem powstrzymać przyływu litości, jakiego doświadczyłem już kiedyś, gdy zobaczyłem zwłoki swojego ojca i współczułem temu pięknemu mężczyźnie, którego niemal nie znałem, a teraz pamiętam jak przez mgłę. A przecież powinienem przede wszystkim litować się nad sobą, nad Nicolem i jego biedną matką, czyż nie?

Cesarz uważnie obserwował przygotowania do ataku ze szczytu wieży Sfrantesa. Byłem pewien, że się bał. To, że obroną dowodził Giustiniani w zbroi lśniącej jak kometa, niewiele teraz znaczyło. Ani to, że był tam również Johannes Grant z długimi blond włosami powiewającymi na wietrze, ów Niemiec, który nie miał sobie równych w strzelaniu z katapulty ogniem greckim. Cesarz był całkiem sam na szczycie murów, które od wielu stuleci chroniły miasto przed licznymi najazdami. Tym razem naprawdę się bał. Nie śmierci, lecz tego, że jego ukochane miasto skona wraz z nim w rękach Turków. Ja zaś jestem pewny, że jeśli Konstantynopol zostanie zdobyty, pod osmańskim panowaniem stanie się jeszcze piękniejszy. Ostro zakończone minarety uratują kopułę Hagii Sophii od samotności. Kopuły innych kościołów także zostaną wydane obrzezanym minaretem. Nagle ta myśl o małżeństwie zaczęła krążyć mi po głowie. Być może dlatego, że chciałem patrzeć na wojnę jak na zaślubiny. Gdy jednak zaczął się atak, zdziwiłem się, że moja fantazja może być tak bogata, a moje odczucia – tak niepoprawne.

Rozpoczęliśmy szturm, gdy tylko zapadła ciemność. Wraz z Ahmedem byłem na szczycie wieży, która sunęła do przodu. Azabowie za pomocą wołów i wielbłądów pchali maszynę ku murom. Skrzypienie dębowych kół mieszało się z dźwiękami bębnow, kotłów i trąb, a wszędzie naokoło słychać było okrzyki *Allahu akbar!* Żołnierze wołali chórem, że Bóg jest wielki. A skoro tak, to wieża pozostawała malutka. Zwłaszcza jej najwyższy poziom, z którego bez przerwy strzelały arkebuzy. Widziałem, jak otaczający mnie janczarzy patrzą gniewnie na mury, nie czując nawet potrzeby chronienia się za tarczami przed gradem strzał. Ze swymi małymi toporami przeznaczonymi do walki wręcz przedstawiali przerażający widok. Gotowi byli, gdy tylko nadejdzie rozkaz, skoczyć w świetle pochodni na wieże strzegące murów i chwycić za jatagany podobne do ich długich, cienkich wąsów czy za krótkie maczugi. Jednakże jeszcze przez długi czas walka polegała na wymianie ognia z dział, proc i łuków. Wieża oblężnicza nie zbliżyła się wystarczająco do murów. Widziałem, jak pociski z dział wystrzeliwane z miasta przelatują ze świstem obok nas. Większość lądowała przed nami, a te, które trafiały w wieżę, odbijały się od zwierzęcych skór i staczały na ziemię. Następnie katapulta zaczęła strzelać ogniem greckim. Grant spuścił na nas istny deszcz owej mieszaniny, lecz także tego niebezpieczeństwa z łatwością uniknęliśmy. Mury były już bardzo blisko i umiałem dostrzec każdego z żołnierzy Giustinianiego, którzy tworzyli przed nami żelazną ścianę. Bez wątplenia byli wśród nich także Wenecjanie. Nagle przyszło mi na myśl, że niejeden z tych żołnierzy, na których zaraz uderzymy, jest pewnie moim rodakiem, że dorastaliśmy może w tej samej dzielnicy, piliśmy wodę z tej samej studni i przed zaledwie kilku laty bawiliśmy się razem na tych samych ulicach. Co ja tak naprawdę robiłem wśród Turków? Czyż nie byłem rodowitym Wenecjaninem? Jak ja, Nicolo, jedyny syn świętej pamięci Domenica di Maestriego, jeszcze niedawno sekretarz na usługach świętej pamięci Antonia Rizza, miałem walczyć przeciwko swoim ziomkom? Od razu jednak

odpędziłem od siebie tę myśl. Byliśmy już bardzo blisko i lada moment na mury miano spuścić pomosty. Nie było czasu na takie rozważania. Dobyłem szabli. Nie czekając, aż Ahmed się rzuci, by mnie bronić, ruszyłem do przodu. Byłem tuż obok pomostu, jako jeden z pierwszych miałem zaatakować wroga. W tej samej chwili jednak żołnierze Giustinianiego skierowali w naszą stronę włócznie, które dotąd trzymali ku dołowi. Poczulem w piersi straszliwy ból, tak jakbym siłował się z górą. Pamiętam, że padłem na ziemię.

Ocknąłem się na najniższym poziomie wieży. Nie miałem na sobie zbroi, a szablę odebrał mi stojący nade mną Ahmed. Na górze toczyła się walka. Brzęk zbroi mieszał się ze szczękiem mieczy, a odgłosy odcinania kończyn, płatania brzuchów i rozrywania piersi dochodziły na sam dół. Janczarzy jeden po drugim spadali ze szczytu murów. Wśród spadających byli też rycerze Giustinianiego i bizantyńscy żołnierze. Z opancerzonych ciał mocno uderzających o ziemię tryskała krew, a ranni usiłowali wydostać się spod stert martwych kompanów. Od podnóża murów wznosiła się ściana z ludzi. Nagle wszystko objęły płomienie. Ujrzałem, jak Ahmed biegnie w ich stronę, by ugasić pożar. Za nim rzuciło się jeszcze dwóch janczarów. Wszyscy trzej zniknęli mi z oczu wśród ognia. Po chwili dostrzegłem płonącego janczara, który zmierzał w moją stronę. Był to Ahmed. Jego potężne ciało paliło się jak sucha szczapa. Na moment odwrócił się do mnie, po czym zeskoczył z wieży i zaczął biec ku murom. Tak jakby chciał uwolnić się od ognia. I może nawet by mu się to udało, lecz zatrzymał się nagle, gdy szyję przeszyła mu strzała. Odwrócił się do mnie i próbował mi coś pokazać, ale zaraz padł na ziemię jak platan rażony piorunem. Płomieni było coraz więcej. Gdy górne poziomy maszyny zaczęły walić się z trzaskiem, z trudem wstałem z miejsca. Powoli ruszyłem do tyłu, na wzgórze, gdzie stał sułtański namiot.

Nieszczęsny Ahmedzie! Gdy piszę teraz w kącie te słowa, wspominam, jak biegłeś w mroku, płonąc niczym pochodnia. Wiem, że zawdzięczam ci życie. A nawet nie mieliśmy czasu się poznać. W ogóle nie rozmawialiśmy! Kto wie, skąd byłeś, z jakiej pochodziłeś rodziny? Co robiłeś, nim odebrano cię matce i oddano do korpusu janczarów? W której wsi Rumelii żyłeś? Mieszkałeś w górach czy raczej na nizinie? A może na wybrzeżu, gdzieś tam w naszych stronach? Dzieciństwo spędziłeś w rybackiej wiosce. Bawiłeś się w jaskiniach, uwielbiałeś delfiny i mewy. I statki o wysokich masztach, które przepływały na otwartym morzu. Nigdy jednak nie wszedłeś na pokład żadnego z nich. Gdy w twojej wsi zjawili się żołnierze, dołączyłeś do nich i dotarłeś do Edirne. A może byłeś z gór, z Rodop. Chodziłeś po orlich gniazdach, wspinałeś się na szczyty. Mieliście owce i kościoły o ścianach porośniętych kwiatami. Mogłeś wstąpić do klasztoru i zostać mnichem. Wpadłeś jednak w ręce Turków i zostałeś dewszirme. Los doprowadził cię aż tu i spłonąłeś pod tymi murami. Nigdy nie dowiem się, kim byłeś. Jedyną rzeczą, jaką o tobie wiem, jest to, że miałeś dobre serce i byłeś gotowy do poświęceń. Pamiętam też twój cienki głosik, którego zupełnie się nie spodziewałem po twoim potężnym ciele. „Jeśli zginę w bitwie, dopilnuj, żeby moja głowa była razem z resztą”, powiedziałeś. Następnie zdjąłeś czapkę i pokazałeś kosmyk włosów spadający jak koński ogon z wygolonej brzytwą czaszki. „Złap tutaj i pochowaj moją głowę z resztą ciała. Inaczej ci nie daruję!” Na szczęście jednak nie stało się to, czego się obawiałeś. Nikt nie odciął ci głowy od ciała.

Epitafium:

Zginałeś, Ahmedzie, płonąc, od strzały wbitej w szyję

Niech ziemia ci lekką będzie i zaznaj spokoju w raju!

20 kwietnia 1453 roku

Nim udało im się przeboleć klęskę nocnego szturm, Turcy doznali jeszcze jednej porażki. Tym razem nie uczestniczyłem w walkach. Nie mógłbym zresztą, nawet gdybym chciał. Potyczka odbyła się na morzu Marmara, niemal o rzut kamieniem od wybrzeża Ajos Stefanos.

Opatrzyłem właśnie swoje rany, składające się z kilku drobnych zadraśnień, i przysięgłem, że nigdy już nie opuszczę obozu, gdy dotarła wiadomość, że do miasta zbliżają się trzy karaki z Ligurii wraz z bizantyńskim statkiem zaopatrzeniowym. Wezwawszy do siebie dowodzącego flotą Baltaoğlu Sulejmana, sułtan kazał mu wypłynąć na spotkanie tym statkom i je zatopić. Sam udał się z orszakami na brzeg i czekał. Także cesarz Konstantyn obserwował sytuację ze szczytu nadmorskich murów w otoczeniu swoich doradców. Flota osiemnastu okrętów pod komendą Baltaoğlu Sulejmana, składająca się z galer o różnej wielkości i konstrukcji, ruszyła w stronę chrześcijańskich statków wśród dźwięków trąb i bębnow, które rozchodziły się po morzu i niebie. Flota przeciwnika także prezentowała się wspaniale. Dwa dumne okręty płynące na przodzie niemal dotykały nieba strzelistymi masztami. Te zaś, dzięki spiczastym zakończeniom i umieszczonym na górze bocianim gniazdom, przypominały edirnejskie minarety z dwoma galeriami. Kolejne dwa statki pozostawały w tyle, lecz zbliżały się stopniowo, gdyż pędziły całą naprzód. Gdy przepływały przed nami, przybrały szyk bojowy. Widząc, jak sprawnie i z jaką pewnością siebie się poruszają, poczułem w sercu niepokonane pragnienie. Chciałem natychmiast znaleźć się na pokładzie któregoś z nich i otumaniony skrzypieniem lin i masztów oraz szumem fal, wypłynąć na spienione wody. Poczułem się tak, jakby wzbierało we mnie morze. Nie umarła więc moja dusza żeglarza, Nicolo wciąż żyje, choć więziony jest przez niewolnika Selima.

Padyszach był tak pewny zwycięstwa Turków, że ciesząc się niezmiernie, iż będzie miał najlepszy widok na krwawy turniej, uśmiechał się od ucha do ucha i rozsyłał na prawo i lewo rozradowane spojrzenia. Skorzystał też z okazji, aby mi dokuczyć:

- Powiedz mi, dzielny Selimie, kto twoim zdaniem zwycięży?
- Osiemnaście okrętów przeciwko czterem, a w zasadzie trzem. Wygląda na to, że my!
- Oczywiście, że tak! Z Bożym pozwoleniem wygramy, Selimie, a moi żołnierze wybiją niewiernych!

W tej chwili rozpoczęła się wymiana ognia. Tureckie okręty uderzyły na wroga od przodu. Następnie, ustawiwszy się w półksiężyc, rozpoczęły manewr otaczania. Okręt admirała zbliżył się od tyłu do karaki płynącej na przodzie. Żołnierze, uzbrojeni w maczugi i topory, przystąpili do abordażu, lecz wspinanie się na chrześcijański statek przychodziło im z trudem, gdyż jego burta była wysoka. Tych zaś, którym udało się wspiąć, ustawieni na pokładzie Genuńczycy z łatwością zrzucali do morza. Nie odniósłszy po ciężkich walkach zamierzonego rezultatu, Baltaoğlu był zmuszony do odwrotu. Wtedy Turcy zaatakowali statek zaopatrzeniowy. Z początku próbowali zarzucić nań liny z hakami, by dzięki temu dokonać abordażu, a gdy im się to nie udało, postanowili go spalić, lecz na próżno! Nawet on opierał się o wiele liczniejszej tureckiej flocie. Co prawda, osmańscy marynarze zabici za pomocą kamieni rzuconych z chrześcijańskich statków lub wytrąceni z szyku przez strzały z łuków czy arkebuzów natychmiast byli zastępowani przez innych, lecz mimo to nie udało się osiągnąć żadnego skutku. Tureckie stateczki otaczające wielkie chrześcijańskie okręty wyglądały przy nich jak łódki, a gdy rzucano w nie greckim ogniem, natychmiast zajmowały się płomieniami. Próby podpalenia podjęte przez Turków kończyły się zaś niepowodzeniem, ponieważ Genuńczycy od razu gasili pożar, polewając pokład wodą z beczek.

To przedziwne, ale nie nienawidzę już wojny tak jak wcześniej. Przywykłem do tego, że ludzie stworzeni przez jednego Boga i wierzący w tego samego Boga potrafią w tak piękny wiosenny dzień łamać sobie nawzajem kończyny, rozbijać maczugami głowy, wyłupiać oczy, podcinać gardła i przeszywać włóczniami piersi, których już nigdy nie pocałują matki i nigdy nie obejmą kochanki. W trakcie walki zapominają o człowieczeństwie, to na pewno. Na wojnie człowiek staje się inny. Uderza w imię Boga lub po to, by dostać się do raju, ale uderza, z całej

siły. Miecz może czasem przebić zbroję, a z rany po pocisku arkebuza tryska krew. Krew leje się z każdego miejsca. Z ręki odrąbanej w nadgarstku, z głowy odciętej od tułowia, czasami z podbrzusza – leje się zewsząd, a potem krzepnie. Nie lubię krwi. Widzę ją jednak wszędzie. Leje się strumieniami. Podczas walki ludzie pragną zabijać. Tną, kłują, mordują i umierają. W pewnej chwili zauważyłem, że morze stało się czerwone. A ile razy płynąłem tędy z Rizzem! Przy zachodzie słońca barwa morza Marmara zmieniała się z granatu w purpurę, lecz nigdy w taki karmazyn. Jeśli nie wiał wiatr, nie było widać białej piany. Coś białego zawsze się jednak znalazło. Chmurka na niebie albo statek – może karaka – na horyzoncie. Kolory komponowały się naturalnie. Zmieniały się w zależności od światła, ściagały się z dniem i nocą. Wojna zmieniła nawet to, nawet barwy. Nagle się orientujesz, że morze jest czerwone, a ląd biały. Nie troszczysz się już o trupy w zbrojach ani o ludzi chowanych bez całunów. Ziemia nie jest ani czarna, ani czerwona. Ma barwę zwykłego białego całunu i konsystencję szlamu rozcieńczonego krwią. Nie da się z nią nic zrobić, nie da się jej ujarzmić. Nie przyjmuje ani ziarna, ani trupów w rdzewiejących zbrojach. A na niebie nie latają ptaki. Zastąpiły je kamienne pociski, strzały i kule greckiego ognia.

Widząc, że turecka flota składająca się z osiemnastu okrętów nie potrafi stawić czoła nawet czterem statkom, z czego jeden wiezie tylko zaopatrzenie, sułtan całkiem stracił humor. Nie miał już ochoty na dowcipy. Jego twarz – jak morze – co chwilę zmieniała kolor i nie odzywał się ani słowem. Gdybyśmy zostawili go samego, zaniósłby się szlochom, a jeśli ktoś by go upomniał, natychmiast zostałby ścięty. Kto znał Mehmeda, wiedział, że w takich chwilach całkowicie poddaje się wściekłości i nie będzie miał oporów przed ukaraniem nawet najbliższych sobie osób, więc nikt nie odważył się odezwać. Tymczasem z pewnością można było coś zrobić, nim sprawy przybiorą jeszcze gorszy obrót. Widziałem to w spojrzeniach dowódców. Nie martwiła ich śmierć żołnierzy, lecz zastanawiali się, jaki los czeka Baltaoğlu. Padyszach na pewno nie daruje tego niepowodzenia. Ich przetrwanie, tak samo jak życie admirała, zależało od jednego słowa władcy. Dlatego pogrążeni byli w myślach i milczeli jak grób. Przed oczami miałem armię niemowłów, oglądających z brzegu bitwę przy swoim panu, dosiadającym właśnie konia. W pewnym sensie sam też się do nich zaliczałem, do milczących i tchórzliwych dworzan.

Nagle poczułem w sobie odwagę, której źródła wciąż pozostają dla mnie tajemnicą. Wystąpiłem naprzód i schwyciwszy lejce sułtańskiego wierzchowca, ukląknęłam.

– Zmęczyłeś się, panie, powinieneś odpocząć – powiedziałem.

Pamiętam tylko, że dźgnięty ostrogą, runąłem na ziemię. Mehmed pognął konia ku morzu. Następnie wjechał do wody, podążając ku walczącym okrętom. Widząc to, wezyrowie i dowódcy natychmiast ruszyli za nim. Sułtan przecinał wodę szybko niczym smukła galera. Na szczęście morze było tam dość płytkie. Gdy zbliżył się trochę do statków, zaczął krzyczeć do żołnierzy słowa mające im dodać odwagi. W tej samej chwili zobaczyłem, jak południowy wiatr, który właśnie się zerwał, wydyma żagle chrześcijańskich okrętów. Uwolnione od tureckich pomostów, zaczęły płynąć w stronę portu. Prowadzone pełnymi radości spojrzeniami cesarza Konstantyna i bizantyńskich żołnierzy, skręciły ku miastu i wpłynęły do przystani, ukrytej pod południowymi murami.

23 kwietnia 1453 roku

Wczorajszej nocy nie mogłem usnąć. Przewracałem się w łóżku z boku na bok. Gdy zamykałem oczy, zaczynała się wojna. Żołnierze Giustinianiego zrzucali janczarów szturmujących mury, dłonie chwytające się wieży były odcinane, drabiny palone, a w dole rosła ściana z trupów, które wpadły do fosy. Ściana rosła i rosła, aż w końcu była wyższa niż mury i dotykała nieba. Nic nie widziałem. Nagle na tle tej konstrukcji z ludzkich ciał ujrziałem czarne widmo. Dookoła zapanowała jasność. Wtedy poznałem Azraela. Anioł śmierci zbliżał się

z wielką kosą w dłoniach, a gdy szedł, ścinał wszystkich, którzy stanęli mu na drodze. Uświadomiłem sobie, że to już koniec, że nie przeżyję tej bitwy. Chciałem się pomodlić, lecz nie potrafiłem zdecydować, do którego Boga się zwrócić. Już miałem na końcu języka imię Allaha, gdy nagle zobaczyłem Chrystusa konającego na krzyżu. Głowa w koronie cierniowej opadła mu na bok, zmarszczył twarz w grymasie bólu. Z nagiego ciała kapą krew. Chyba jednak na chwilę przysnąłem.

Gdy się obudziłem, trwała poranna modlitwa. Wstałem, ubrałem się pospiesznie i nie budząc służących, po cichu wyszedłem z namiotu. Świtało. Na obóz padało niewyraźne światło. Przeszedłem pomiędzy namiotami i skierowałem się w stronę Złotego Rogu. Dotarłem do jakiegoś lasu. Nie był gęsty, lecz rosnące w nim drzewa były wielkie, olbrzymie. Graby albo dęby, a może cyprysy – w półmroku trudno mi było poznać. Przystanąłem i przez chwilę słuchałem wiatru. Potem ruszyłem dalej. Za lasem natrafiłem na wzgórze. Zacząłem się na nie wspinać. Wciąż jeszcze nie było jasno. Z oddali dochodziło pianie kogutów. Koń zarżał, potem następny i jeszcze jeden. Nagle zaczęły rzeć chórem. To spahisi szykowali się do boju. Gdy wszedłem na szczyt wzgórza, ujrzałem zorzę. Słońce wschodziło zza zboczy Galaty. Wieża Chrystusa ze swym spiczastym dachem odcinała się od czerwieni nieba. Wtem zobaczyłem za nią galerę z rozwiniętymi żaglami. Uznałem, że ze zmęczenia śnię na jawie. Wycieńczyło mnie to niekończące się oblężenie, trwająca nieprzerwanie paskudna wojna. Nie byłem w końcu przyzwyczajony do życia w namiocie, spania na sienniku i codziennego wstawania bladym świtem. Zateęskniłem za wygodami w Edirne. Po raz pierwszy na tak długo opuściłem pałac. To naturalne, że miałem przywidzenia. Galera na chwilę pojawiła się za wieżą, a potem znikła. Po jakimś czasie zobaczyłem kolejną. Ta tak samo po chwili nie była już widoczna. Nagle ujrzałem ją na nowo na przeciwległym brzegu. Zjeżdżała po zboczu wzdłuż rzeki Kison w stronę Złotego Rogu. Za nią zjawily się kolejne. Trójrzędowe statki o rozwiniętych żaglach poruszały się jeden za drugim po zboczach Galaty, aż dotarły do Złotego Rogu. Mój Boże, przecież to nieprawdopodobne! Z pewnością mi się to śniło! Mehmed przeciągał swoją flotę po lądzie. Jak czarodziej – co tam czarodziej – jak prorok rzucał wyzwanie naturze. W zdumieniu obserwowałem, jak statki docierają do zatoki. Po porażce sprzed kilku dni Turcy osiągnęli teraz coś niemożliwego: przemieścili część floty do Złotego Rogu. Po raz pierwszy zląkłem się Mehmeda. To diabeł, nie człowiek! Z pewnością dokona tego, co zamierzył, i w końcu zdobędzie bohatercko broniące się miasto, gdy otoczy je także od strony morza. Pomyślałem o Konstantynie. Czy obudził się rano ze snu i spojrzawszy przez okno, zobaczył tureckie galery, z których celowano działami w jego pałac? A może spał wtedy głęboko w ramionach młodej kobiety, daleki od straszliwości wojny? Tak bez wątplenia byłoby lepiej. Niech się Wasza Wysokość nie budzi! Niech nie unosi nieszczęsnej, zmęczonej głowy z miękkiej piersi, na której spoczęła, i niech nie patrzy przez okno. Niech śpi dalej, zwinięty w ciepłym łóżku jak jeź. Niech Bóg da Waszej Wysokości wytchnienie!

Gdy wróciłem do obozu, wciąż nie mogłem uwierzyć w to, co widziałem. Być może te statki były snem, nie prawdą. Flota wciąż musiała być tam, gdzie się zatrzymała, przed Diplokionionem. Miałem przywidzenie. W końcu, nie zdoławszy poskromić ciekawości, wślizgnąłem się potajemnie do namiotu, w którym odbywały się narady wojenne. Paszowie jeszcze nie przybyli. Padyszacha także nie było widać. Odpowiedzialny za porządek obrad Tursun Bej siedział po turecku i zapisywał coś w wielkiej księdze, która leżała przed nim. Był tak pochłonięty pracą, że nawet mnie nie zauważył. Podeszedłem do niego od tyłu i delikatnie dotknąłem jego ramienia. W ogóle nie zwrócił na to uwagi. Spojrzałem więc na jego zapiski. Były to rzeczy niezwiązane z naradą. Po chwili zrozumiałem, że to dziennik oblężenia. A więc Tursun Bej, tak jak ja, prowadził dziennik. Tak jak ja chciał, by po tej strasznej wojnie, po tych

dniach pełnych krwi i ognia został jakiś ślad, by przyszłe pokolenia poznały naszą przygodę.
– Tursunie Beju! – odezwałem się. – Powiadają, że na rozkaz naszego wspaniałego sułtana flota została przeniesiona z jednego morza na drugie. Czy to prawda?

Wzdrygnął się. Gdy odwrócił głowę i ujrzał mnie za sobą, jego zdziwienie wzrosło jeszcze bardziej. Nie spodziewał się, że tak wcześnie rano zobaczy w tym namiocie jednego z paziów Mehmeda.

– A co ci do tego, młokosie? – zachnął się. – Czy to twoja sprawa?

– Tursunie Beju – nalegałem – przed chwilą widziałem na własne oczy. Galery jedna za drugą zjeżdżały po zboczu do Złotego Rogu.

Usiadłem po turecku obok niego. Szybko się zaprzyjaźniliśmy. Opowiedziałem mu wszystko jednym tchem: jak nasz statek został zatopiony przez pocisk wystrzelony z twierdzy Boğazkesen, jak kapitan Antonio Rizzo skonał na palu, jak trafiłem do pałacu w Edirne i co tam przeżyłem. Wysłuchał mnie uważnie. Oznajmił, że w mojej opowieści nie ma nic, co by go interesowało, i że jego obowiązkiem jest umieścić w kronice, którą pisze, jedynie informacje o zwycięstwach sułtana Mehmeda oraz pochwałę jego bohaterstwa.

– Ładnie opowiadasz – dodał po chwili – ale jesteś bardzo naiwny. Nie umiesz spojrzeć na całość wydarzeń.

Następnie zaczął czytać na głos swoje zapiski:

„Każdego dnia u bram twierdzy żołnierze sułtana wojowali szablami na chwałę islamu, dla Boga, w służbie swych panów. Wielki zdobywca zaś się radował, gdyż zwycięstwo i spotkanie z upragnionym miastem były bliskie.

Sułtanowi nie dawało jednak spokoju i nie przestawało go dręczyć, że od strony portu miasto jest niedostępne i nie sposób stamtąd uderzyć na gaurów. Ażeby zmienić tę sytuację, rozkazał:

– Galery i najlepsze spośród innych statków wciągnijcie z Bosforu na ląd, przeciągnijcie je po wzgórzach Galaty i zwodujcie od strony portu. W ten sposób oblężenie stanie się kompletne, a wróg popadnie w niepokój i trwogę.

Gdy rozkaz ten został wydany, inżynierowie, ludzie nauki i mistrzowie wprawni w konstruowaniu dźwigni rozpoczęli przygotowania. Okręty islamu wciągnęły bandery na maszt i rozwinęły żagle. I przepłynęły w powietrzu za miastem Galata. Być może przeleciały. W całym majestacie, ze znakomitym uzbrojeniem trafiły na wody od strony portu”.

A więc to, co widziałem, było prawdą. Statki nasmarowano wolim i baraním tłuszczem, a następnie wraz z załogami przeciągnięto na saniach przez wzgórze Galaty i spuszczone do Złotego Rogu. No dobrze, ale jak? Jak w tak krótkim czasie wciągnięto na górę nie tylko małe łódki, lecz także wielkie galery o dwóch, trzech, a nawet pięciu rzędach wiosel? Jak dokonano tego bez wiedzy mieszkańców Galaty? Jak to możliwe, że siła ludzi i zwierząt ciągnących za liny rozpięte na kołowrotekach wystarczyła, by przeciągnąć statki przez ląd?

Nie spodziewałem się, rzecz jasna, że Tursun Bej odpowie mi na te pytania. Nie umieszczał w swojej księdze przyczyn, lecz tylko skutki, i tak jak inni kronikarze, celował w przedstawienie ogólnego obrazu wydarzeń bez zagłębiania się w szczegóły. „Być może przeleciały”. Tak, założono im skrzydła i pofrunęły! Nikt nie jest w stanie objąć tego umysłem, a w każdej decyzji sułtana Mehmeda kryje się element cudu! Podziękowałem Tursunowi Bejowi za okazane mi zainteresowanie i wyszedłem z namiotu. Gdy znalazłem się na zewnątrz, pojąłem, że tak jak każdego ranka, działa zaczęły już ostrzały murów. Skoro flota trafiła do Złotego Rogu, Bizancjum było oblężone także od strony morza. Lada chwila miały się spełnić prorocтва. Los miasta był przesądzony.

Wciągnąłem w płuca powietrze pachnące prochem. Wielokrotnie powtórzyłem sobie, że

wszystko się skończy. „Gdy miasto upadnie, nastąpi koniec – mówiłem. – Stoczę się w ciemność i zniknę”. Konstantyn jest już skończony. A ja? Jaki koniec mnie czeka? Nagle ogarnęło mnie przeświadczenie, że mój koniec także jest bliski. Ale oto jest kwiecień, a ja mam siedemnaście lat. Dlaczego popadam w taki pesymizm?! Mam siedemnaście lat, a przed sobą długie życie. Tak!

28 maja 1453 roku

„A gdy otworzył pieczęć siódmą, zapanowała w niebie cisza”. Wciąż mam w głowie to zdanie, zdanie, które litera po literze tka ciemność i ciszę sprzed apokalipsy i nieustannie, bez znużenia, bez wytchnienia powtarza objawienie świętego Jana. Tak, zapisuję je, by pogłębić ciszę. I będę je zapisywał, póki starczy mi atramentu w kałamarzu i oleju w lampie. Dzisiejszej nocy bowiem wszystko w jednej chwili się zatrzymało, a świat objęła głęboka cisza. Nie szumią ani gwiazdy na niebie, ani morze na ziemi. Wiatr ustał, w przyrodzie nic nawet nie drgnie. Umilkły też działa, nawet działa. A przecież od pierwszego dnia oblężenia do tej pory nie przestały grzmieć, tak jak nigdy do tej pory nie ucichły kościelne dzwony. Przywykłem do ich huku, zaczynającego się każdego ranka, tak jak do dźwięków trąb i kotłów, bitewnych okrzyków i modlitw. Tej nocy nie słychać nawet szeptu. Ani jęków, ani modłów, ani rżenia koni. Derwisze przerwali swe rytuały. Dziś w nocy każdy jest z Bogiem sam na sam. To pięćdziesiąty trzeci dzień oblężenia i miasto jeszcze nie upadło. Być może upadnie jutro, gdyż jutro Turcy przypuszczą szturm na całej linii. Wróg o tym wie. Jest na to przygotowany. Tak, jutro słońce znowu wzejdzie tak samo. Lecz będzie to inny, nowy dzień, jestem tego pewien.

Gdy turecka flota znalazła się w Złotym Rogu, sądziłem, że miasto natychmiast zostanie zdobyte. Jakże się myliłem! Od owego dnia do dziś działa nie zamilkły. Bez przerwy biły w mury. Całymi tygodniami strzelały pociskami wielkości kamieni młyńskich ze zboczy Galaty, ze Złotego Rogu, sprzed Pałacu Porfirogenetów i z doliny rzeki Likos oraz z naprzeciwka bram Kaligaria, Adrianopolskiej i Świętego Romana. Blanki się rozsypywały, wieże waliły się na ziemię. W murach powstawały ogromne wyłomy. Jednakże Bizantyjczykom za każdym razem udawało się je naprawić. W wysiłkach tych uczestniczyli wszyscy: kobiety, dzieci, mnisi, każdy sprawny mieszkaniec miasta, nawet arystokraci i żołnierze. Łatali dziury wszystkim, co wpadło im w ręce: kamieniami, beczkami, patykami, gałęziami, belkami i konarami. Wszystkie ataki zostały odparte. Znowu wykonano wieże oblężnicze, znowu opierano drabiny o krenelaże. Azabowie i janczarzy uderzali na mury z szablami z podwójnie hartowanej stali, derwisze – z wiarą ostrzejszą od mieczy, a nieregularna piechota i ochotnicy – gołymi rękami. Za każdym razem jednak byli zmuszeni się cofać, nie mogli nawet zabrać poległych. Fosi były pełne trupów z obu stron. W Złotym Rogu Turcy umieścili most pontonowy. Wiążąc ze sobą beczki, skrzynie i łodzie, połączyli oba brzegi zatoki. Nie wiem, czy ta konstrukcja uniesie ciężar dział, lecz janczarzy i spahisi z pewnością zdołają się po niej przeprowadzić. Derwisze zaś nie potrzebują mostu. Słyszałem, że nocą przechodzą po wodzie na drugi brzeg w płaszczach i chodakach. A przecież nikt prócz naszego pana Jezusa Chrystusa nie może chodzić po wodzie. Tak czy inaczej, te pogłoski dają nam przynajmniej odrobinę spokoju.

W tych monottonnych dniach oblężenia znowu stałem się świadkiem przeraźliwych scen. Nim jeszcze postawiono most, zaczęto kopać tunele. Choć prace prowadzono w najwyższej tajemnicy, pierwszy tunel w pobliżu bramy Kaligaria, tam gdzie mury jednym rzędem schodzą do zatoki, został natychmiast odkryty. Pracujących w nim robotników podpalono ogniem greckim. Podobnie stało się z drugim i trzecim podkopem. Turcy kopali tunele o szerokości wozu, wzmocnione, tak jak ów most, grubymi belkami, i próbowali dostać się do miasta pod fundamentami murów, a Bizantyjczycy odnajdywali te tunele, odcinali możliwość odwrotu ludziom, którzy znaleźli się w środku, i dusili ich dymem jak myszy lub grzebali żywcem. Turcy

kopali tunele, Bizantyjczycy je zasypywali, a ziemia pod murami coraz bardziej zaczynała przypominać siedlisko kretów.

Im bardziej walki się zaogniały, tym bardziej obie strony prześcigały się w okrucieństwie. Kapitan trapezunckiej galery, mój rodak Giacomo Cocco, który próbował spalić turecką flotę w Złotym Rogu, poszedł na dno wraz z okrętem i załogą, nim zdołał dziesięć razy odmówić *Ojczy nasz*. Kilku łuczników i wiosłarzy, którzy się uratowali i dotarli na brzeg, zostało uroczyście wbitych na pal przez sułtana. Bizantyjczycy, obserwujący tę ceremonię z wieży Sfrantzesa, w bestialski sposób zabili pojmanych janczarów, a ich ciała zrzucili z murów. Mijały dni i tygodnie, działa grzmiały, mury niszczały, a fosy wypełniały się cuchnącymi trupami, lecz mimo licznych tuneli, których wejścia poryły krajobraz jak ospa, miasto nie chciało paść. Oblężenie trwało i trwało.

Wkrótce cała ta sytuacja wyprowadziła Mehmeda z równowagi. Zaczęli na niego naciskać zwolennicy Halila Paszy, który od początku sprzeciwiał się oblężeniu. Natomiast Zaganos i Akszemseddin, czyli dewszirme i derwisze, pragnęli, by walka trwała, i powtarzali, że upadek miasta jest tylko kwestią czasu. Papież nie wesprze już Bizancjum. Statek wysłany przez cesarza na Morze Egejskie na poszukiwanie floty Giacoma Loredana, która – jak mówiono – ma przybyć na pomoc, nie wrócił z pomyślnymi wieściami. Na horyzoncie nie widać ani karak pełnych uzbrojonych rycerzy, ani statków z zaopatrzeniem. Dla Bizantyjczyków na horyzoncie nie ma nic prócz zbliżającego się nieuchronnie Bożego gniewu. Mehmed jednak wciąż nie jest pewny, wciąż myśli, że papież ruszy na pomoc. Właśnie dotarły doń wieści, które tylko wzmogły jego wahanie: przybyli do obozu węgierscy posłowie oznajmili, że Jan Hunyady przestał być regentem Węgier, gdyż królem został Władysław V, a co za tym idzie – że trzyletni rozejm podpisany przez Hunyadyego już nie obowiązuje. Turcy znaleźli się w bardzo trudnym położeniu. Ich ostatnią nadzieją był Isfendijaroğlu Kasym Bej, wysłany z poselstwem do Konstantyna. Zaproponował cesarzowi, że jeśli odda miasto, otrzyma tytuł despoty Morei, a mieszkańców zapewnił, że nie stracą życia ani majątku. „Nie weźmiecie miasta, póki jestem przy życiu!”, odparł jednak Konstantyn. Uparcie nie przyjmował ostrzeżeń doradców i wydawało się, że chciał swojej śmierci. Boże, jak wielu ludzi pragnie umrzeć lub mordować. Mehmed też twierdzi, że albo zdobędzie Konstantynopol, albo zginie. Giustiniani także jest zdecydowany bronić miasta do śmierci. Janczarzy rozprawiają o tym, że pod mury Bizancjum dotarli po to, by umrzeć, podobnie derwisze i ochotnicy. Gotowi są w każdej chwili zginąć i trafić do raju. Tylko ja chyba chcę zostać przy życiu.

Owszem, chcę żyć. Chcę tego tylko po to, by po tej przeklętej, nużącej wojnie, gdy skończy się już to długie oblężenie, wejść do miasta i posiąść jakąś kobietę. Tak, tylko dlatego życie się dla mnie liczy i tylko dlatego mam oddech śmierci na karku. W każdej chwili czuję ją w żyłach. Tętni wraz z moim sercem. Każde jego uderzenie przypomina mi, że istnieję.

Przed zwołaniem narady wojennej Mehmed udał się do swojego namiotu, by podjąć decyzję. Rozkazał strażnikom nie wpuszczać nikogo, odesłał także nas. Nie wyszedłem razem z innymi i ukryłem się w kącie. Nigdy nie widziałem sułtana tak pogrążonego w myślach. Przez jakiś czas stał zapatrzony w plany bitewne, oświetlone światłem pochodni, po czym przejrzał mapy, porozrzucane na stole, oraz szkice przedstawiające kształt murów i zasięg dział. Zdawał się szukać czegoś wśród stert papierów. Być może jakiegoś słabego punktu albo ręki zdrajcy, która otworzy mu bramy miasta. A może po prostu szukał cudu. Próbował już każdej taktyki wojennej, stosował rozwiązania, które nikomu innemu nie przyszłyby na myśl, lecz mimo to nie uzyskał żadnego rezultatu. Z jego twarzy bił pesymizm. Czoło, wyłaniające się spod turbanu, miał pomarszczone, a spojrzenie przepelnione zmęczeniem. Cienie pod oczami wciąż zmieniały kształt w roztańczonym świetle pochodni. Usta mu się skurczyły, a nos jakby wydłużył. Przez

chwile patrzył tak w beznadziei na miasto, które znajdowało się pod jego rękami. Konstantynopol nie składał się, oczywiście, z tych linii, z wyrysowanych na papierze przecinających się i znów rozchodzących krzywych i prostych, z kwadratowych i okrągłych kształtów. W rzeczywistości był niedaleko, tuż za murami, których wojsku wciąż nie udało się sforsować. Sułtanowi nie było dotąd dane się z nim zjednoczyć; szczęśliwa godzina jeszcze nie nadeszła. Byłem pewny, że Mehmeda ogarniały wówczas uczucia podobne do moich. Nie dzieliła nas wielka różnica wieku, choć on był panem, a ja niewolnikiem. Obaj tęskniliśmy do tego miasta i obu nas dręczył ból spowodowany tym, że oglądaliśmy je tylko z daleka. Możliwe, że on, tak jak ja, chciał za młodu zobaczyć Konstantynopol, lecz otaczający go ludzie mu w tym przeszkadzali. Być może w czasach, gdy w przebraniu spacerował po edirnejskich ulicach i zanurzał się w tłum, by posłuchać, o czym się mówi na bazarach i w hammamach, dotarł także do miasta Konstantyna. Przechadzał się po jego alejach, zstępował do cystern, pił wino w nisko sklepionych, ponurych winiarniach i zaznawał samotności w łaźniach. I próbował przez jakiś czas śledzić księcia Orhana. Z wyrazu twarzy, który przybierał, gdy patrzył na mapy, jasno wynikało, że zna Konstantynopol jak własną kieszeń. Byłem pewny, że doskonale orientuje się nie tylko w kształcie murów i przebiegu linii obronnych, lecz także w tym, jak miasto wygląda od środka. Inaczej w owej chwili, kiedy całą uwagę winien był skupiać na planach ataku, nie byłby taki zamyślony, przepełniony ciekawością. Wyglądał tak, jakby śnił. Przed chwilą jego spojrzenie na moment uciekło od map, które szczegółowo studiował. Zdawało się, że zapomniał o wojnie, o decyzji, którą miał podjąć, i o skutkach, jakie mogła ona zrodzić. Był w szponach snu, palącej go od środka tęsknoty. Nie pamiętam dokładnie, ile to trwało. On zatopił się w marzeniach o Konstantynopolu, a ja w jego spojrzeniu; obaj zapomnieliśmy o czasie. Nagle u wejścia do namiotu dały się słyszeć krzyki. Strażnicy próbowali powstrzymać kogoś, kto usiłował wtargnąć do środka. Usłyszawszy głosy, Mehmed ruszył w tamtą stronę. Wtem pojawił się przed nim Akszemseddin. Wyrósł nagle, jakby spod ziemi.

– Szejjch nie dał sobie nic powiedzieć, panie! – tłumaczył strażnik, który także wszedł do namiotu, lecz Mehmed kazał zostawić niespodziewanego gościa w spokoju.

Następnie wskazał hodży miejsce. Szejjch usiadł po turecku na poduszce, po czym ręką dał znak sułtanowi, by usadowił się naprzeciwko. Przez jakiś czas nic nie mówili. Namiot wypełniła niepokojąca cisza. Po chwili starzec odezwał się przytłumionym, gardłowym głosem. Słowa opuszczały jego usta powoli, jak paciorki tasbihu pojedynczo przekładane podczas modlitwy:

– Przed chwilą śniło mi się, Mehmedzie, że zdobędziesz miasto!

Padyszach nie był zbyt poruszony, gdyż podobne proroctwa słyszał od szejcha już wiele razy. Odpowiedział jednak, by nie sprawić mistrzowi przykrości:

– Niech Bóg da! Opowiedz, proszę, hodžo, ten sen.

Akszemseddin przykniął oczy i oznajmił, że najpierw na zwierciadło jego serca padło światło, które następnie rozlało się dookoła i objęło wszystko.

– I cóż wtedy widzę, sultanie! Razem stoimy przed obliczem świętego Proroka, niech pokój i błogosławieństwo Boga będą z nim. Mahomet wezwał cię bliżej. Podszedłeś do niego i ucałowałeś jego świętą dłoń. Zdjął czerwoną chustę, która przesłaniała mu twarz, i wyciągnął ją do ciebie, mówiąc: „Oto przekazuję ci, Mehmedzie, sztandar Abu Ajjuba al-Ansarięgo!”. Wtedy wszędzie zapanowała światłość. Nie potrafiłem patrzeć prorokowi w twarz. Zobaczyłem jednak, że gdy wzięłaś od niego chustę, zmieniła się ona w zielony sztandar.

Obserwowałem Mehmeda. Na jego twarzy widać było zakłopotanie. Nie rozumiałem tej nagłej zmiany. Padyszach słuchał hodży nie tak jak wcześniej – obojętnie – lecz z największym zainteresowaniem. A gdy go słuchał, jego twarz zmieniała kolor, a usta drżały. Akszemseddin

kontynuował:

– Pojawiły się znaki, Mehmedzie! Widziałeś pełnię księżyca? Jak ciemna była wczorajsza noc! A na niebie nie było ani jednej chmury. Wielki Bóg w surze *Księżyc* świętego Koranu powiada: „Przybliżyła się Godzina i rozerwał się księżyc. Lecz ilekroć ujrzą oni znak, odwracają się”. Czy wiesz, że gdy poganie poprosili ostatniego proroka Mahometa, niech pokój i błogosławieństwo Boga będą z nim, by przedstawił im dowód na to, że jest prorokiem, on przełamał Księżyc na pół, obie części wysłał w przeciwnych kierunkach, po czym na nowo je połączył? A czy wiesz, że Prorok powiedział też: „Nie nadejdzie dzień sądu, póki siedemdziesiąt tysięcy żołnierzy spośród potomków Izaaka nie zdobędzie Konstantynopola, głosząc Bożą chwałę. Przysięgam na Boga, który dzierży moje życie w swych rękach, że przejmiecie skarby cesarza!”? Mehmedzie, musisz zasłużyć na imię Proroka, które nosisz. Pojawiło się wiele znaków i czas jest już bliski. Słyszałem, że wszechmogący Bóg odwrócił się od mnichów, którzy po ulicach Bizancjum obnosili wielką podobiznę świętej Marii. Ikona przybrała gniewny wyraz i wszystkich ich zgładziła. Potem z łoskotem padła na ziemię. Wtedy pojawiły się błyskawice, a niebo pękło na pół. I obraz przedstawiający Marię, którego nikt wcześniej nie zdołał podnieść, znikł na nieboskłonie. To znak, że święta Maria nie chroni już miasta.

Szejjch nie przestawał mówić. Całkowicie oddał się interpretacji znaków z niewidzialnego świata. Widząc, że jego słowa działają na sułtana, coraz bardziej podnosił głos. Nie wypowiadał już słów z namaszczeniem, tak jak wcześniej; huczały one jak lawina spadająca z wysokiej góry:

– A najważniejsze, sułtanie, jest to, że święte ciało Ajjuba al-Ansariego, umiłowanego przez naszego Proroka, który gościł w jego domu, gdy uciekł do Medyny, pochowane jest pod naszym obozem.

Mehmed zadrżał. Zdawało się, że przebudził się ze snu.

– Jak to? – przerwał hodży. – Grób Ajjuba al-Ansariego jest tutaj?

– Oczywiście, że tak, między Złotym Rogiem a obozem Dajego Karadży Beja. On też mi się śnił.

Mehmed nie sprawiał wrażenia, jakby uwierzył w to ostatnie prorocstwo hodży. Akszemseddin to wyczuł i zaczął opowiadać o przywiązaniu al-Ansariego do proroka oraz o tym, że w czasie wszystkich wojen nosił u boku Mahometa wspaniałą sztandar islamu i zatknął go na wieżach niezliczonych zamków niewiernych.

– Wiesz, sułtanie – mówił – że gdy nasz Prorok zaszczycił swą obecnością Medynę, mieszkańcy miasta wylegli na ulice, gdyż każdy z nich chciał ugościć w swoim domu ukochanego posłańca Boga. Nie chcąc nikomu sprawić przykrości, Mahomet pozostawił decyzję swojemu wielbłądowi, Kaswie. Albowiem zwierzę to prowadził Bóg. Kaswa szedł powoli i tak jakby wiedział, dokąd się kieruje, dotarł na niezabudowaną ziemię Malika bin Nadżdżara. Od razu jednak wstał i tym razem przysiadł przed drzwiami domu Halida bin Zajda Ajjuba al-Ansariego. Wysłannik Boga przez siedem miesięcy gościł właśnie tam, a pierwszy meczet w historii islamu kazał postawić na ziemi Malika bin Nadżdżara, gdzie wielbłąd zatrzymał się na początku.

Jak pięknie szejjch opowiadał! Zapomniałem o całym świecie. Nie obchodziła mnie ani wojna, ani wilgoć wiosennej nocy. Dałem się porwać temu, co Mehmedowi opowiadał Akszemseddin, i słuchałem w pełnym skupieniu:

– Czy wiesz, jak muzułmanie zdobyli twierdzę Chajbar? Pamiętasz, że gdy wojsko przybyło pod mury i rozbiło tam obóz, muzułmanie przestraszyli się wysokich wież twierdzy, więc Ali przywiązał do swojej szabli czarną chustę Ajszy? A kto trzymał tę świętą chustę jak sztandar, gdy rozpoczął się atak? Oczywiście Ajjub al-Ansari. A gdy to żydowskie gniazdo zepsucia upadło, jego dowódca został zabity, Prorok zaś pojął za żonę jego córkę Safijję – kto aż

do rana trzymał straż przed namiotem, w którym trwała noc poślubna? Ajjub al-Ansari. To on dał prorokowi suszone daktyle ze swojej spizarni. A gdy Mahomet napluł do garnka i pomnożył jedzenie, to znowu on doznał szczęścia, gdyż nie musiał wstydzić się przed gośćmi. Ten wielki człowiek żył jeszcze długo po śmierci proroka, w okresie panowania czterech kalifów. To, co przeżył, nie pomieściłoby się w stu tysiącach ksiąg. Wreszcie Ajjub al-Ansari przybył tu, mój panie, i niepomny swojego wieku, dosiadł konia, i chwycił miecz w dłoń. Wiedział bowiem, że ostrze raz dobyte z pochwy nie może wrócić na miejsce, póki nie odniesie zwycięstwa.

Na ostatnie zdanie szejch położył nacisk. Padyszach udał, że nie rozumie aluzji. Z uwagą słuchał historii Ajjuba al-Ansarięgo:

– Wojsko islamu dzielnie walczyło pod dowództwem tego przeklętego Jazida⁵⁶, lecz miasto się opierało, tak jak dziś. To podczas tego oblężenia niegdysiejszy gospodarz proroka Mahometa zginął bohaterską śmiercią. A zanim zginął, wyraził w testamencie wolę, by tu go pochowano. Aby zaś nie stać na przeszkodzie koniom muzułmańskich żołnierzy, którzy przybędą zdobyć Konstantynopol, zażyczył sobie, by nad jego grobem nie usypywano kopca. Dlatego też nikt nie wie, gdzie leży Ajjub al-Ansari.

– Nikt nie wiedział – poprawił Mehmed. – Lecz ty odkryłeś to miejsce we śnie.

– To prawda. Jak już mówiłem, jest gdzieś pomiędzy Złotym Rogiem a obozem Dajego Karadży Beja.

Na to sułtan, tak jakby chciał podważyć prawdziwość proroctwa hodży, odparł:

– W takim razie natychmiast ruszajmy na poszukiwania!

Wyszli z namiotu, a ja za nimi. Podążali przed siebie w towarzystwie dwóch strażników. Mehmed wydawał się mocno zniecierpliwiony. Parł naprzód szybkim krokiem, nie przejmując się, że Akszemseddin, który próbował za nim nadążyć, co jakiś czas się potyka. Biedny starzec usiłował dotrzymać kroku sułtanowi. Co chwilę jednak albo źle stawiał stopę, albo nie mógł dostrzec drogi w ciemności. Przeszliśmy tak pomiędzy namiotami niby ludzie ratujący dobytek z pożaru. Pochodnie już pogasły, a żołnierze udali się na spoczynek. Strażnicy, widząc osobistą gwardię sułtana, z szacunkiem ustępowali jej z drogi. W końcu wszyscy zatrzymali się pod platanem.

– To tu! – zawołał Akszemseddin.

Mehmed rozkazał żołnierzom, by kopali tam, gdzie wskazał szejch.

– Nie, nie kopcie jeszcze! – krzyknął starzec. – Najpierw muszę zmówić modlitwę.

Wyjął dywanik i rozłożył go na wilgotnej ziemi. Zaczął się modlić. Mehmed się niecierpliwił. W świetle pochodni widać było jego napięte rysy twarzy. Oddychał przez nos jak rozwścieczony byk. Szejch przedłużał modlitwę, tak jakby chciał wystawić na próbę cierpliwość sułtana.

– Przed otwarciem świętego grobu Ajjuba al-Ansarięgo – wyszeptał, gdy już skończył się modlić – musimy jeszcze wyrecytować za jego duszę surę *Otwierającą*.

Mehmed i jego strażnicy rozłożyli ręce i zaczęli recytować pierwszą surę Koranu. Stałem nieopodal i w zaciekawieniu obserwowałem rozwój wydarzeń. W pewnej chwili pomyślałem, że może też powinienem przyłączyć się do recytacji. Cały czas musiałem jednak zachowywać czujność, tak by schować się szybko, gdy tylko ktoś obróci się w moją stronę. Zrezygnowałem więc z modlitwy. I dobrze, że tak uczyniłem, gdyż po chwili skończyli, a wtedy jeden z żołnierzy skierował się do obozu, by przynieść stamtąd kilof. Ledwo udało mi się schować za platanem. Strażnik przeszedł obok mnie szybkim krokiem i zniknął wśród namiotów. Po jakimś czasie wrócił z kilofem i zaczął kopać w miejscu wskazanym przez szejcha. Ziemia, choć mokra, stawiała opór i kopanie się przedłużało. Cierpliwość Mehmeda była na wyczerpaniu. Akszemseddin spokojnie gładził się po siwej brodzie i modlił się, zapatrzony w bezgwiazdne

niebo, tak jakby drwił z sułtana. Nagle wszyscy podskoczyli na okrzyk strażnika. Tylko szejch zachował zimną krew. Na głębokości trzech arszynów tkwił czworokątny zielony porfir. Padyszach wziął w dłoń pochodnię i zajrzał do wykopu.

– Miałeś rację, hodzo – powiedział do szejcha. – Napisane jest tu pismem kufickim: „Oto grób Ajjuba al-Ansariego”.

– Mówiłem ci, Mehmedzie – wyszeptał Akszemseddin. – Więc wydaj wreszcie rozkaz i niech wojsko szykuje się do ataku. Uwierz mi: zwyciężymy!

Właśnie po tym wydarzeniu padyszach podjął ostateczną decyzję. Obwoływacze obeszlili cały obóz, powtarzając sułtański rozkaz. I od razu rozpoczęto przygotowania.

Noc jest tak pochmurna, że w ciemności nic nie widać. Na niebie nie świeci ani jedna gwiazda. Wszyscy głęboko śpią. Nie słychać żadnego oddechu, najmniejszego szmeru. Pergamin mi się kończy. Jaka szkoda, nie mam już miejsca, by opisać upadek Bizancjum. Oczywiście, jeśli upadnie. Nie wiem, czy będę mógł pisać dalej, jeżeli jutro zdobędziemy miasto. Mogę mieć wtedy inne zajęcia. Wszak Nicolo, syn świętej pamięci Domenica di Maestriego, a inaczej iczoglan Selim, nie będzie zawsze siedział w kącie i spisywał obserwacji! Jego dzień także nadejdzie i przyłączy się wtedy do walki, by odebrać swój udział w łupach i wziąć odwet na Konstantynopolu.

Nagle zrobiło się jasno. Wszędzie dookoła zapłonęły pochodnie. Morze płomieni! Tak, noc stała się jasna jak dzień dzięki ogniom rozpalonym przez Turków. Blask płomieni oświetlał mury. Oświetlał Złoty Róg, Galatę i Perę. Jutrzenka rozpoczęła się przed czasem, już można przystąpić do ataku. Jeśli zginę, niech ktokolwiek, kto znajdzie ten dziennik, dobrze wspomina me imię. I niech pomodli się za Nicola Selima, świadka apokalipsy.



W tym miejscu kończy się dziennik sekretarza wyprawy. Nie oznacza to oczywiście, że po ostatnim wpisie zakończyło się życie Nicola. Nie podjąłem, prawdę mówiąc, decyzji, czy przeżył on, czy też nie. Wiem, że trzymam w rękach jego los, że jego życie zależne jest tyleż od woli jego pana Mehmeda, ile od mego własnego upodobania. Gdybym chciał, mógłbym zabić mego bohatera, gdybym chciał, mógłbym zapewnić mu życie na wiele długich lat i przy użyciu jego dziennika opowiedzieć o pałacowych intrygach czy o wypadkach w haremie Mehmeda. Uśmiercenie Nicola w wiośnie jego żywota nie jest moim pragnieniem. On jednak lada chwila podejmie działania nieprzystające do jego wieku. Koniecznie chce zdobyć pierwszą w swym życiu kobietę, i to bez jej przyzwolenia – pragnie ją osiąść siłą. Ta myśl stała się jego obsesją; utożsamia z Bizancjum blade kobiece ciało, którego brak odczuwa od tak dawna. To niebezpieczne sprawy. Nikomu nie mogę zagwarantować, że owa *idée fixe* Nicola nie przyniesie katastrofalnych skutków. Nie chcę go jednak zabijać, gdyż ma dopiero siedemnaście lat, a jego dłoń nie dotknęła jeszcze żadnej kobiety. No tak, ale ta fabuła, w której ani jeden bohater nie umiera z przyczyn naturalnych, też musi mieć jakiś koniec. *Boğazkesen* musi się skończyć, nim całkowicie wykończy mnie, nim moje więzienie w nadmorskiej rezydencji stanie się dożywotnim wyrokiem. Muszę więc obmyślić, jak domknąć historię Nicola. Inaczej przywłaszczysz sobie tę powieść i znuży jej czytelników swoimi obserwacjami oraz ustawicznym wspomnianiem to kapitana Antonia Rizza, to znów Wenecji. Wiem, że interesuje was, jaki koniec spotkał Nicola. Lecz tak jak zaznaczyłem przed chwilą, jego zapiski zajęły już wystarczająco dużo miejsca. Nie mogę poświęcić kolejnych dziesiątek stron na to, czego nie zdążył o sobie napisać. Nicolo umarł, tak po prostu. Nie ma go. Selim także. Obaj zostali zasztyletowani. Opowiem o tym w skrócie.

Gdy rozpoczął się główny szturm, Nicolo Selim obserwował bitwę u boku Mehmeda. Znowu działa huczały wśród pyłu i dymu, mury się waliły, a z nieba spadały kamienie i ogień. Pierwszy atak przypuściły lekkobrojne oddziały. Bizantyjczycy szybko odparli napastników, ponieśli jednak znaczne straty. Wśród ofiar były kobiety i dzieci. Już nie tylko naprawiały mury, lecz także włączały się do starć. Zaczęła się walka oko w oko, pierś w pierś. Celem Mehmeda było jak najpoważniejsze zmęczenie obrońców, tak by potem zadać ostatni cios świeżymi siłami, czekającymi na razie na tyłach. Tymczasem rozpoczął się też szturm ze Złotego Rogu i żołnierze, którzy zeszli ze statków na ląd, oparli już drabiny o mury od strony morza. Jednakże ten atak również nie zakończył się powodzeniem. Genueńczycy pod komendą Giustinianiego i Wenecjanie dowodzeni przez braci Bocchiardich bili się bohatersko, broniąc miasta

z przynajmniej tak wielkim poświęceniem, jak Bizantyjczycy. Kiedy pierwsza fala ataku się wycofała, poniosłszy duże straty, ciężkozbrojni żołnierze z Anatolii ruszyli w stronę bramy Świętego Romana. Przekroczyli fosę i przedostawszy się przez sporą wyrwę w murze, próbowali iść ku drugiemu rzędowni umocnień. Tym, którzy chcieli uciec z pola bitwy, ścinałi głowy strażnicy stojący z tyłu, a ci, którzy nie uciekali, ginęli od strzał i ognia greckiego. Również ta fala zmuszona była do odwrotu po poniesieniu wielkich strat. Jednakże siła wroga malała, a obrona w niektórych miejscach wyraźnie się rozluźniła. Sułtan Mehmed siedział na białym koniu ze złotym berłem w rękę i pełen emocji obserwował przebieg bitwy. Grzywa rumaka powiewała na wiosennym wietrze jak flaga. Padyszach usiłował okiełznać zwierzę, które chciało natychmiast pognać ku murom, a jednocześnie wykrzykiwał w stronę żołnierzy słowa otuchy. Pierwszemu śmiałkowi, który zatknął zielony sztandar na jednej z wież miasta, obiecywał nagrodę. Nicolo zaczął się już nudzić. W oczach sekretarza wojna nie była niczym innym, jak monotonną rzezią. Choć krew płynęła strumieniami, a trupy między murami tworzyły góry, miasto się nie poddawało.

Nagle Nicolowi wydało się, że bitwa będzie trwała jeszcze lata. Kolejne szturmki będą następować po sobie, przeplatane mobilizacją obrony, i obie strony będą się biły aż do śmierci ostatniego żołnierza. „Boże, co za absurd! – pomyślał. – Świat stał się machiną śmierci. Wojna zaczęła mlec ludzi, tak jak młyn miele pszenicę”. Następnie próbował skupić się na czymś innym i przypomnieć sobie dawne czasy. Morze, choć mogłoby się wydawać monotonne, było o wiele ciekawsze niż wojna. Inne było, gdy panował spokój, inne, kiedy szalał sztorm. Morze Czarne czasami naprawdę miewało ten kolor, za to ujście Bosforu pozostawało szmaragdowe. Gdy płynęło się do Konstantynopola, w oddali coraz jaśniej lśniła kopuła Hagii Sophii, a z wód okalających Wenecję przez mgłę można było dostrzec Pałac Dożów. Na otwartym morzu ze statkiem ścigały się delfiny. Podobnie chmury na niebie to pojawiały się, to znikwały, tak samo jak szybkie żaglówki. Morze nieustannie zmieniało kształt i barwę, fale raz się pieniły, to znowu uspokajały. Woda ani trochę nie była podobna do nieba, różniły się też od siebie miasta i ludzie. Tylko wojna wciąż była tak samo dzika, wciąż powtarzała się w tej samej formie. Wojna, której tak nienawidził kapitan Antonio Rizzo. Tak samo jak okrzyków *Allahu akbar!* Tak samo jak huczących dział, walących się murów i ścinanych głów. Tak samo jak płynącej bez przerwy spienionej krwi. I jak fetoru rozczłonkowanych, podziurawionych trupów. Ziemia nie pachniała już deszczem, a drzewa się nie zieleniły.

Nicolo ocknął się z marzenia, w którym się pogrążył, gdy usłyszał triumfalne okrzyki dochodzące z orszaku sułtana. Dokładnie przed nim, na wieży stojącej w murach przed bramą Świętego Romana, łopotał zielony sztandar z półksiężycem. Trzeciej fali ataku, tym razem złożonej z janczarów, udało się w końcu utrzymać pozycję.

Nie będę opowiadał o tym, jak Bizantyjczycy uciekali w panice, tratując się nawzajem, ani o tym, jak Turcy, którzy gdy tylko otwarły się wrota, wtargnęli do miasta z obnażonymi szablami i mordowali wszystkich mieszkańców stojących im na drodze, by potem łupić doszczętnie domy, klasztory i kościoły; nie przedstawię opowieści o mnichach z tłumu pędzącego do Hagii Sophii, którzy wierzyli, że tureckie wojsko nie zdoła dotrzeć dalej niż do kolumny Konstantyna, gdyż tam z nieba zstąpi potężny anioł i przegoni ich mieczem w głąb Azji, aż do samotnego drzewa, w związku z czym stanęli i zaczęli się modlić z rozłożonymi rękami; nie powiem też o dramacie młodych dziewcząt, mniszek i chłopców, których pojmano i prowadzono jak zwierzęta, o nieszczęśnikach, których ciała zalegały na ulicach, ani o tych, którzy weszli na pokład statków czekających w porcie i w ten sposób ocalili życie; nie, nie będę mówił o tych wszystkich rzeczach ani o innych, drobniejszych kwestiach, na przykład o tym, jak wjechawszy do miasta trzy dni po jego upadku, Mehmed skierował się prosto do Hagii Sophii,

zobaczył tam janczara rabującego marmur, wyjaśnił mu, że wszystkie kamienie miasta należą do padyszacha, po czym zabił żołnierza własnymi rękami; nie opowiem też o tym, jak przy ruinach Pałacu Porfirogenetów Mehmed usłyszał śpiew muzy i wyszeptał po persku: „W pałacu Afrasjaba sowa pohukuje / W pałacu zaś cesarza pajak sieć swą snuje”. Moim celem było po prostu stworzenie długiego zdania, nic więcej. Gdybym podjął się pisania o tym, jak ranny Giustiniani opuścił miasto i zwałił się swoim wielkim ciałem na pokład statku, by oddać na nim życie, o tym, jak azabowie zabili cesarza Konstantyna, który walczył, póki miecz mu się nie złamał, a następnie ścięli mu głowę, o tym, jak zwłoki władcy rozpoznano w stercie trupów tylko dzięki purpurowym butom z wyszytymi orłami, jak jego odrąbaną głowę nabito na włócznię i całymi dniami wystawiano na widok publiczny oraz o wielu innych, podobnych wydarzeniach, o których mówili nie tylko bizantyńscy i genueńscy historycy, lecz także osmańscy kronikarze, na własne oczy oglądający zdobycie miasta, gdybym napisał o tym wszystkim, czytelnicy zainteresowani losem Nicola mogliby stracić cierpliwość. Dlatego też chcę od razu podjąć temat iczogłana Selima. Inaczej nigdy nie będzie końca faktom ze zdobycia Konstantynopola. Czyżby tylko faktom? Nie, także legendom i kłamstwom, wymyślonym później. Mogę opowiedzieć jeszcze wiele historii, poczynając od tej o młodych Bizantijkach, które – odświętnie ubrane – chciały z kwiatami w dłoniach przywitać zdobywcę, sułtana Mehmeda, lecz zwiędzone brodą Akszemseddina, to jego wzięły za padyszacha i wręczyły mu kwiaty, a następnie przejść do opowieści, jak to Mehmed ucałował i położył sobie na głowie błoto, które trafiło na sułtański kaftan spod kopyt konia dosiadanego przez szejcha. Mogę przedstawić legendę o czerwonych rybach lub o tych biało-czerwonych, które po upadku miasta uciekły z powrotem do sadzawki z patelni pewnego księdza. Mogę też opisać, jak Mehmed – już jako zdobywca – wjeżdżał do miasta przez bramę Świętego Romana. Na samym przodzie maszerują sekbanowie. Po lewej stronie miejsce zajęła gwardia sułtana, po prawej spahisi i silahdarowie, w środku zaś – janczarzy w mundurach galowych. Przy akompaniamencie orkiestry kroczą z bronią w ręku ku Hagii Sophii po drodze, wzdłuż której leżą zwalone kolumny. To oni są teraz prawowitymi władcami miasta. Za janczarami podążają wezyrowie i paszowie. Tylko padyszach zasiada na koniu, oficerowie i ulemowie idą pieszo. Jeślibym miał się kierować zapiskami Tursuna Beja, winienem raczej rzec, że sułtan Mehmed „zaszczyca swą obecnością miasto, wkraczając do niego tak, jakby wchodził do raju”. Po chwili znajdzie się w Hagii Sophii i tym olbrzymim gmachem, przy którego budowie wykorzystano do zaprawy ślinę Proroka, zakręci palcem jak bączkiem. Spójrz, czytelniku, na płaczącą kolumnę⁵⁷, a dowiesz się, o czym mówię. Otwór w samym środku jej białej marmurowej powierzchni to ślad po palcu wielkiego Mehmeda Zdobywcy! Tak, chciałbym o tym wszystkim opowiedzieć ze szczegółami, lecz jestem odpowiedzialny za los Selima, za opowieść Nicola. I niestety, znów muszę pisać nie o legendach i cudach, lecz o śmierci.

W samym środku tej awantury Nicolo nie pozostał długo przy sułtanie Mehmedzie (możemy już go nazywać Zdobywcą), który pozwolił grabić miasto przez trzy dni, lecz zanurzył się w Konstantynopol. Przypasał szablę i założył kolczugę, znalezione na martwym janczarze, o którego się potknął, na głowę wsunął jego białą czapkę, po czym zaczął po kolei zaglądać do domów. Widząc przed każdym zatkniętą włócznię, na której powiewała szmata, domyślał się, że w środku odbywa się grabież, i ruszał dalej. Wreszcie natknął się na pałacyk, z którego roztaczał się widok na Złoty Róg. Z jakiegoś powodu przed wejściem nie było włóczni ani kawałka materiału. Nicolo się ucieszył. Wbiegł po kamiennych stopniach, ignorując rzeźby lwów strzegące drzwi. Gdy wszedł do środka, pojął, że pałac został już ograbiony. Przez chwilę rozważał, czy stamtąd nie wyjść. Zaraz jednak poczuł, że jakaś siła, której nie sposób się oprzeć, ciągnie go na piętro. Czy zew ten pochodził od kobiecego ciała, czy od anioła śmierci, którego po raz pierwszy spotkał na murach? Choć kinkiety były zniszczone, a dywany i wszystkie sprzęty

wyniesione, budynek miał w sobie coś, co na każdym kroku przywodziło na myśl bogactwo. Komnaty były wielkie, a sufity bardzo wysokie. Z westybulu drewnianymi schodami schodziło się do piwniczki na wino, a po innych schodach można było wejść na piętro. Nicolo ruszył na górę. Wchodził do wszystkich pokoi, lecz nikogo nie zastał. Posadzka była miejscami splekana, białe ściany gdzieś tam poczerniały. W dole, na murach od strony Złotego Rogu, cały czas trwały walki. Żołnierze Notarasa odpierali ataki Turków szturmujących wieże. Nicolo poczuł znużenie. Zaprzagnął znaleźć się w Wenecji. Wyobraził sobie, że z mostu Rialto obserwuje mętną wodę kanału. Jakże przystojny był w czerwonym aksamitnym odzieniu i berecie na głowie! Postawny, śniady i szczupły jak ojciec. Potem przypomniał sobie dom i przed oczami stanął mu plafon na suficie w sypialni matki na piętrze. Oraz zakrwawione zwłoki ojca leżące na łóżku. Wzdrygnął się. Po raz pierwszy tak szczegółowo przypomniał sobie tę scenę. Matka płakała przy głowie zmarłego. Później Nicolo miał usłyszeć, że podczas ucieczki zabójca wyrzucił sztylet. Nigdy jednak się nie dowiedział, że mężczyzna, który w biały dzień zabił ojca w jego własnym łóżku, był kochankiem matki. Tak jak nie poznał wielu innych tajemnic związanych ze swoim dzieciństwem. Na przykład – dlaczego nigdy nie odnaleziono mordercy. Ani tej, że został on wpuszczony do domu przez matkę Nicola i czekał na swego rywala schowany w szafie. Nigdy też mu nie powiedziano, że jego prawdziwym ojcem był nie ten krwawy trup, lecz pewien znany arystokrata. Sekrety przesłaniające dzieciństwo były tak gęste jak mgła, która w niektóre poranki opadała na miasto. Nie tylko łodzie cumujące w porcie, lecz nawet stada szpaków, czarną chmurą przelatujące nad dachami, nie potrafiły nawigować w tej mgle. W taką pogodę słychać było tylko trąbki; na wąskich uliczkach i na kanałach miasta, pod mostami i na dziedzińcach domów, w najustronniejszych komnatach, gdzie kryli się mordercy i kochankowie, rozlegał się jedynie dźwięk trąbek, w które dęto na statkach. Być może w tamtej chwili Nicolo przypomniał sobie całe dzieciństwo, lecz prawdziwego powodu, dla którego w tak młodym wieku został oddany na służbę u kapitana Rizza, nie poznał nigdy. Chodziło bowiem nie o to, by jedyny chłopiec w domu dołożył się do jego utrzymania, lecz o to, by nieślubne dziecko arystokraty nie przebywało w Wenecji. Niedawno zapowiedziałem, że w skrócie przedstawię koniec, jaki spotkał Nicola. Tymczasem teraz próbuję przypisywać mu myśli o dzieciństwie. W dodatku tak blisko końca. Anioł śmierci wcale nie jest daleko i niecierpliwie czeka na Nicola Selima, rozłożywszy ramiona w swej szerokiej pelerynie. Ostrzy na niego kosę, tak jak czyni to dla wszystkich ofiar w mieście.

Nicolo podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Genueńska karaka sforsowała łańcuch i wypływała ze Złotego Rogu. Za nią podążały inne okręty. Z pomocą wiatru w mgnieniu oka opuściły port jeden za drugim. Nicola nie zdziwiła ucieczka statków. Zdziwiło go za to, że turecka flota nie próbowała ich powstrzymać. Nie wiedział bowiem, że tureckie galery, ciężkie od załadowanych na nie łupów i jeńców, nie były w stanie się ruszyć. I nigdy miał się nie dowiedzieć.

Nie zabawił długo na górze. Szybko zbiegł po stopniach. Już miał wyjść na zewnątrz, gdy pomyślał, że zajrzy do piwniczki na wino. Zbliżywszy się do drewnianych schodów, znowu poczuł owo dziwne przyciąganie. Czy był to śpiew syren, który słyszeli tylko żeglarze, czy może odgłos tętniącej krwi? W przerażeniu zszedł po schodach. Na dole panowała ciemność. Po ścianach spływała woda, a cierpka woń wina dochodząca z baryłek tłumiała zapach ziemi i glonów. Z początku nie potrafił dostrzec nic prócz cieni, lecz potem jego oczy przywykły do ciemności. Macając wilgotną ścianę, poszedł ku wielkiej beczce stojącej w głębi pomieszczenia. I wtedy napotkał wzrokiem dwoje oczu schowanych w kącie i wpatrzonych w niego ze strachem. Chwycił tę postać i przyciągnął do siebie. Zorientował się, że jego dłonie dotykają miękkiego, ciepłego ciała – ciała kobiety. Serce mu przyspieszyło. Gdy wyprowadzał ją na górę, nie napotkał

większego oporu. Spojrzeli na siebie ponownie w przestronnym westybulu na parterze. Tym razem było już jasno i widział dokładnie swoją ofiarę. Miała na sobie czarne odzienie. Tak jak Turczynki, zasłaniała twarz. Było jej widać jedynie oczy. Dwoje wielkich oczu, które patrzyły już nie z lękiem, lecz z ciekawością. Nicolo zerwał zasłonę z głowy kobiety i poczuł, jak przepelnia go zachwyty. Miał przed sobą bladą jak księżyc, pociągłą twarz. Czoła nie pokrywała ani jedna zmarszczka.

– Litości – wyszeptała po grecku rozedrganymi wargami.

Nicolo całkowicie opadł z sił, jego świat runął. Dotarł do miasta i gdy już miał spełnić pragnienie, które od tylu lat pielęgnował w swojej fantazji, zrozumiał, że nie będzie w stanie posiadać siłą tej młodej kobiety, drżącej przed nim ze strachu.

– Proszę się nie bać, nie spotka pani żadna krzywda – powiedział po włosku.

Kobieta nie spodziewała się, że turecki żołnierz, stojący przed nią niczym Azrael z zakrwawioną szablą w ręku, odezwie się w tym języku.

– Czyżby pan nie był Turkiem? – spytała zaskoczona.

Nicolo się uśmiechnął, przypomniawszy sobie o kolczudze i nakryciu głowy janczara.

– Owszem, jestem Turkiem – odparł, tym razem po grecku. – Na imię mam Selim.

Dziewczyna myślała, że śni. Spotkanie sympatycznego Turka o czułym spojrzeniu w samym środku tego koszmaru wydawało się graniczyć z cudem. Wycofała się i wyciągnęła do Nicola perłowy naszyjnik, wydobyty spomiędzy piersi.

– Proszę – powiedziała. – Proszę to wziąć i darować mi życie.

Nicolo zadrżał, widząc ruch piersi pod czarną tkaniną. Poczuł, że serce zabiło mu jeszcze szybciej i że budzi się w nim bestia.

– Nie chcę naszyjnika, chcę ciebie!

Blask w oczach kobiety zgasł, a radość znikła z jej twarzy.

– To proszę mnie zabić; wolę to, niż gdyby miano mi odebrać godność! – krzyknęła, lecz Nicolo, nie bacząc na to, rzucił się na nią.

Potoczyli się po posadzce. Opór wijącego się pod nim bladego ciała ogromnie podniecił Nicola. Gdzieś w głębi narastało w nim pragnienie, dziwne pożądanie, jakiego nigdy dotąd nie doświadczył, ani z Mehmedem, ani z nikim innym. Kobieta przestała się bronić. Rozłożyła długie nogi, gotowa przyjąć go w siebie. Wyjął ze spodni stwardniałą męskość i już miał wbić ją w pierwszą kobietę swojego życia, gdy nagle poczuł ból w plecach. Po chwili doznanie rozeszło się po całym ciele. Za drugim dźgnięciem sztyletu pociemniało mu przed oczami. Przyszło mu na myśl, że oto na nowo zaczyna się wojna. Potem, nie wiadomo dlaczego, przypomniał sobie wszystkie twarde obiekty, które kiedykolwiek wbijały się w jego ciało. Gdy kobieta dźgnęła go po raz trzeci, znieruchomiał na niej, tak samo martwy jak człowiek, którego miał za ojca. Z ust popłynęła mu krew.

Boğazkesen także musi się kiedyś skończyć. Tak, musi. Tak jak skończyło się tysiącletnie Bizancjum. Gdy pisałem opowieść o tym, jak Nicolo skonał w ramionach młodej kobiety, w mej głowie wciąż ożywały wszystkie historie o końcu. O końcu narracji, epoki, miłości czy nawet życia... Wraz ze zdobyciem Konstantynopola także skończyła się pewna era. Jeden okres w dziejach świata dobiegł końca i zaczął się kolejny. Był to więc prawdziwy punkt zwrotny. Skąd mogłem wiedzieć, że upadek miasta i koniec Bizancjum staną się także punktem zwrotnym w moim życiu?! Deniz zjawiała się nazajutrz po nocy, którą poświęciłem na pisanie o podboju Konstantynopola. Tym razem nie dobijała się tak jak poprzednio. Ale przyszła. Przyszła, by już nigdy nie odejść.

Nie czułem większej potrzeby opuszczania swojej kwatery. Przywykłem do samotności. Oraz do ciepłych wrześnieowych dni. Miałem poczucie, że jestem tutaj od lat. Całkiem sam naprzeciw zmieniającej się wciąż, niezrównanej panoramy. Za oknem przepływały statki. Olbrzymie tankowce, białe wycieczkowce, żaglówki. Tworzyły rany na powierzchni wody, która o brzasku była ciemnoniebieska, w południowym słońcu przybierała barwę szmaragdu, a przed zmrokiem stawała się purpurowa. Tak samo różnorodne i ruchliwe jak statki były chmury. I auta sunące na przeciwległym brzegu drogą u stóp wieży Halila Paszy... Nocą, w blasku czerwonych świateł, zdawały się spieszyć jak rozszalałe owady. Oglądanie ich mnie nie nudziło. Widziałem, że życie pozostaje w ruchu, że nawet jeśli ja stoję w miejscu, świat wciąż się przemieszcza na tle pocztówkowej dekoracji.

Pracowałem całe dni. Mimo to udało mi się napisać jedynie kilka rozdziałów z tych, które zaplanowałem. Nie potrafiłem się zdecydować, jak zakończyć opowieść. W obecnym kształcie *Boğazkesen* przypominała raczej patchworkowy worek niż zwarty, koherentny tekst. Rozdziały nie łączyły się odpowiednio ze sobą i choć pracowałem w jednostajnym tempie, nie zdołałem zachować spójności stylu. Narracja nie podążała po jednej linii, wobec czego nie była zrównoważona: wypełniały ją dygresje, zbędne fakty i szczegóły. Udało mi się, co prawda, sprawić, by choć niektóre detale pełniły jakąś funkcję. Na nic jeszcze nie było za późno. Nie, nie postawiłem jeszcze ostatniej kropki; nie byłem też jednak pewny, czy *Boğazkesen* skończy się kiedyś, przybrawszy formę, jaką chciałem jej nadać. Owa niepewność niepokoiła mnie i odbierała mi odwagę. Może nigdy miałem nie ukończyć tej powieści. Wówczas zaś do swych ostatnich dni zostałbym w tym domu. Choć takie myśli coraz częściej zaprzętały mi głowę, nie wpędzały mnie jeszcze w absolutną beznadzieję. Wspaniale było pracować wbrew wszystkim lękom i troskom, a w trakcie pracy dawać się porwać czasowi, płynącemu wraz z wodami Bosforu. I kiedy tak dryfowałem, niesiony codziennym prądem, mój świat uległ nagle radykalnej zmianie. Jej powrót całkowicie odmienił mój los.

Pracując pewnego wieczoru w pokoju, usłyszałem jakby odgłos kroków. Zdawało się, że ktoś wchodzi płochliwie po drewnianych schodach na piętro. Z początku ogarnął mnie niedorzeczny strach. O tej porze bez zapowiedzi mógł tu wejść tylko złodziej albo... Nagle już wiedziałem; podskoczyłem w nadziei, że znów ją zobaczę przed sobą. Natychmiast otworzyłem drzwi. Nikogo nie było. Idąc w kierunku salonu, myślałem, że na próżno żywiłem nadzieję. Moje zachowanie owego ranka, gdy po nocy pełnej bliskości, pieścizot i jęków rozkoszy niemal ją wyprosiłem o bardzo wczesnej porze, wystarczało, by nie chciała mnie już więcej widzieć. Gdy wyszła, zacząłem szaleć, pragnąłem pognać za nią i odnaleźć jej ślad, lecz przypomniawszy sobie, dlaczego pozostałem na miejscu, postanowiłem o niej zapomnieć. I zapomniałem. Im dłużej pisałem *Boğazkesen*, tym bardziej zacierała się w mojej pamięci, a myśl o naszej wspólnej nocy stawała się coraz bardziej odległa. Teraz z nieznanych mi przyczyn znów pojawiła się w moim umyśle. Jak bardzo chciałem, żeby to ona była tajemniczym przybyszem! Salon wyglądał jak zawsze, z żyrandolem zwisającym z sufitu i fotelami nakrytymi dla ochrony przed kurzem. Na ściany padał blask Bosforu, który tu i ówdzie rozświetlały światła z przeciwległego brzegu. Woda zdawała się drgać niewyraźnie niczym w lustrze wykonanym w Wenecji. Gdy dotarłem na szczyt schodów, ponownie usłyszałem odgłos kroków. Ktoś był na dole. Pospieszenie zbiegłem na parter. Drzwi były uchylone. W hallu nie dostrzegłem nikogo. Postanowiłem przeszukać każde pomieszczenie i zajrzeć w każdy kąt. Okazało się to jednak zbędne, gdyż na ganku zobaczyłem nocnego przybysza. Oczy lśniły mu w ciemności. Podeszedł do mnie, otarł się o moje nogi i tak jak wszedł, wyszedł przez uchylone drzwi.

Na widok kota uspokoiłem się. Wyszedłem na zewnątrz i zapaliłem papierosa. Tuż obok przystani przepłynął bosforski prom ze zgaszonymi światłami. Na pokładzie nie było nikogo.

Zapewne kierował się do Beykozu, by zabrać stamtąd pierwszych porannych podróżnych. Zielone światło palące się na sterburcie liznęło powierzchnię wody, po czym się oddaliło. W tej samej chwili na przystani dostrzegłem cień. Ktoś siedział na kamieniu przy schodach prowadzących do hangaru na łodzie. Podszedłem bliżej. Odwróciła głowę w moją stronę. To była ona, Deniz.

– Nie chciałam cię niepokoić o tej porze – odezwała się cicho.

– Czy wiesz, że za każdym razem przychodzisz tu jak zbieg?

Nie odpowiedziała. Usiadłem obok niej. Była ubrana w tę samą białą spódnicę, którą miała na sobie ostatnim razem. Spódnica podwinęła się tak wysoko, że nad opalonymi udami Deniz niemal widziałem jej biodra. Poprosiła o papierosa. Podpaliłem i jej podałem. Przy pierwszym pociągnięciu rozbłysnął na czerwono. Po drugim dopalony był już do połowy. Tamtego ranka, gdy obudziliśmy się razem, paliła tak samo: na trzy pociągnięcia. Nim sięgnęła po kolejnego, przez jakiś czas wpatrywała się w sufit, po czym zwróciła się do mnie: „Tak bardzo chciałabym tu z tobą zostać, pod twoją opieką”. Odebrałem jej słowa jako niewczesne żądanie, propozycję, która utrudni mi pracę, i udałem, że ich nie było. Teraz zaś milczała i paliła, wpatrzona w światła przeciwległego brzegu.

– Jak się masz? – spytałem. – Co robiłaś, odkąd się nie widzieliśmy? Nie odzywasz się, więc chyba wszystko w porządku. Zwiedzałaś inne łóżka w innych domach, prawda? Za każdym razem po cichu jak zbieg.

Nie popatrzyła na mnie; powiedziała powoli, wyraźnie akcentując słowa:

– Ostatnim razem pukałam do furtki. I to długo.

No tak, jak mogłem o tym zapomnieć. Po raz pierwszy spotkaliśmy się przy furtce. Tak jak teraz, w ciemności. Przeprosiłem. Wzruszyła ramionami.

– Tym razem naprawdę jestem zbiegiem.

Przeniosła wzrok z ciemnych wód Bosforu na moją twarz. W tej samej chwili przepłynął nieopodal wielki wycieczkowiec z zapalonymi światłami. Oświetlił jej zapadnięte policzki i zmęczone oczy. Pogładziłem ją po włosach. Schwyciłem za szyję i przyciągnąłem do siebie. Wargi jej drżały. Chciałem ją pocałować. Z początku się opierała, lecz po chwili dała za wygraną. Jej duże, wilgotne usta nie były tak chętne jak poprzednio. Przerwała pocałunek.

– Szukają mnie – powiedziała. – Ukryj mnie, proszę. Nie chcę, żeby tym razem mnie złapali.

– O czym ty mówisz?

– Nic nie wiesz?

– O czym nic nie wiem?

W zdumieniu spojrzała mi w oczy.

– Naprawdę nic nie wiesz?

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Przez chwilę milczała. Na jej ustach zagościł gorzki uśmiech. „Skąd miałby wiedzieć – wyszeptwała do siebie. – Przecież żyje w innym świecie!” Po czym zaczęła krzyżeć:

– Znowu się pojawili! Tym razem naprawdę zrobią z nami porządek!

Przeszedł mnie dreszcz.

– Był pucz?

– Tak, wojsko przejęło władzę.

– Kiedy?

– Wczoraj w nocy. Nad ranem przyszli po mnie. Dzięki Bogu, byłam u cioci w Kanlıcy. Od tamtej pory uciekam. Krąg się zacieśnia. Przeszukują domy wszystkich znajomych. U cioci też na pewno się zjawiają. Pomyślałam, że tutaj będę bezpieczna.

Jej wypowiedź przerwało łkanie. Dodała, że nie boi się więzienia, ale tego, że tak jak w siedemdziesiątym pierwszym będą ją torturowali i że tym razem nie wytrzyma.

– Tu cię nie znajdą – uspokoiłem ją. – Chodź, pójdziemy na górę.



Wizyta Deniz oznaczała pojawienie się w moim życiu nie tylko kobiety, lecz całego nowego świata. Prawdziwego świata z września 1980 roku. Chłoniliśmy wiadomości, których słuchaliśmy przez radio tranzystorowe. Komunikaty Rady Bezpieczeństwa Narodowego następowały jeden po drugim. Konstytucja przestała obowiązywać, partie polityczne i parlament rozwiązano, a w kraju został ogłoszony stan wojenny. Władza w Turcji zależała teraz od kaprysów pięciu generałów. Znowu słyszałem dźwięki wydawane przez czołgi, które zostały w dalekiej przeszłości i które dawno zapomniałem. Wojsko znów polowało na ludzi. Aresztowano przywódców politycznych i działaczy związkowych, wieszano młodzieńskich ludzi, konfiskowano gazety i palono książki. Trwały tortury i prześladowania. Zaczął się czas opresji tak samo straszliwy, a nawet gorszy niż ten, którego sam w pewnym stopniu doświadczyłem po puczu dokonanym dwunastego marca 1971 roku, przed niemal dziesięciu laty. Od rana do nocy radio wykrzykiwało, że państwo i naród są niepodzielne, a w przerwach grało marsze wojskowe i nadawało niekończące się komunikaty Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Lotniska zostały zamknięte, a możliwość wyjazdu na podstawie dokumentów zwanych pasawan – cokolwiek miałyoby to znaczyć – wstrzymana do odwołania. Spytałem Deniz o sens tego nieznanego mi słowa. Pogardliwie wykrzywiła wargi.

– Jak to, nie wiesz? A uczysz na uniwersytecie w Paryżu!

– Naprawdę nie wiem. Denerwuję się, gdy co chwilę słyszę o tym w radiu. Pasawan, pasawan... Wyjazdy za okazaniem pasawanu zawieszono do odwołania. No i co teraz będzie? Co to jest, na miłość boską, ten pasawan?

– Nie bój się, mój drogi, nic ci się nie stanie. Gdy tylko otworzą lotniska, bez żadnego pasawanu ruszysz do Paryża, do żony, która niecierpliwie na ciebie czeka.

– No dobrze, ale co to takiego ten pasawan?

– ...

– Oszaleję! Nie mogę przestać o tym myśleć. W głowie cały czas mam to słowo, jakbym słuchał zdartej płyty. To rodzaj paszportu?

– Co to za obsesja? Kiedyś mówiło się na to idée fixe!

Owszem, to była obsesja. Umiałem myśleć tylko o pasawanie. „Pasawan! Pasawan! Pasawan!”, powtarzał głos w mojej głowie. Deniz zaś uparcie nie chciała mi zdradzić sensu tego słowa. Wreszcie wybuchłem:

– Albo mi powiesz, co to takiego, albo wyłączę radio!

Szyderczy wyraz nagle znikł z jej twarzy. Lustrowała mnie błękitnymi oczami.

– Oczywiście, świat cię nie obchodzi! – krzyknęła. – Był pucz, krew leje się strumieniami, ale co z tego?! Jaśniepan ma własne problemy. Myśli tylko o swoim tyłku. Ważne, żeby on był zabezpieczony na przyszłość.

Nagle zaczęła się śmiać. Imitując głos spikerki, która czytała w radiu komunikaty Rady Bezpieczeństwa Narodowego, tak jakby chciała rozstrzelać słuchaczy, kontynuowała:

– Dla własnego bezpieczeństwa proszę nie używać pasawanów! Możliwość przekraczania granicy za okazaniem pasawanu została zawieszona na podstawie rozkazu wydanego przez dowództwo stanu wojennego. Zostały podjęte kroki prawne przeciwko tym, którzy nie stosują się do tego rozkazu, oraz tym, którzy nie wiedzą, czym jest pasawan.

Drwiła ze mnie. Wyczuwałem, rzecz jasna, brak nadziei, który krył się za jej szyderczą postawą. Jednakże ton jej głosu – sarkastyczny i poważny zarazem – denerwował mnie mimo to.

– Opuszczanie kraju zostało zabronione, za to nie wprowadzono godziny policyjnej ani zakazu doprowadzania kobiet do szału. Konfidenci proszeni są o kontakt pod numerem telefonu, który za chwilę podamy; dzwoniąc, mogą poprosić o zaspokojenie swoich podstawowych potrzeb. Herbata na koszt firmy!

– Pasawan! – przerwałem jej. – Jeśli wiesz, co to jest, ale nie chcesz powiedzieć...

– Oj, przestań już! Tylko pasawan i pasawan! Nie bój się, nic ci nie będzie. Po pierwsze, nie musisz nigdzie jechać.

Nagle ochłonąłem. Zauważyłem, że moje ciało się rozluźniło, i się uspokoiłem. Boże, jak mogłem się nie domyślić?! Co za wstyd! Tyle lat mieszkać w Paryżu i nie skojarzyć, że tureckie słowo oznaczające przepustkę może pochodzić od francuskiego *passavant*? To nie do pomyślenia! Tak czy inaczej, tajemnica wreszcie została rozwikłana.

– A co z twoimi przyjaciółmi? – spytałem. – Jakież wieści?

W jej oczach dostrzegłem wzburzenie. Wtem rzuciła się na mnie.

– Hipokryta! – wrzeszczała, okładając mnie pięściami.

Próbowałem ją uspokoić, lecz na próżno. Jej gniew wzrastał się coraz bardziej.

– Pasawan! – krzyczała. – Im pozwolono wyjechać na podstawie pasawanu. A teraz wyśpiewują wszystko jak na spowiedzi. Niektórzy są już na tamym świecie. Moi przyjaciele giną na torturach, słyszysz?

Nie, nie słyszałem. Nie chciałem słyszeć. Stała obecność kobiety u mego boku, radio od rana do wieczora wykrzykujące skrzekliwym głosem komunikaty RBN, nienapisane rozdziały powieści, której za nic nie potrafiłem dokończyć... Ta niepewność, zakaz wyjazdów...

– A ty?! – również podniosłem głos. – Czy ciebie obchodzi los Belliniego? Wiesz, kiedy namaluje portret Zdobywcy? A księżę Mustafę? Co z nim teraz będzie? Powiedz, co z nim będzie? Nie opisałem ani jego śmierci, ani śmierci Mehmeda!

Była jak ptak szamoczący się w moich ramionach. Ale jaki ptak! Okładała mnie pięściami z siłą, jakiej nie spodziewałbym się po jej drobnym ciele. Wystawiała mą cierpliwość na próbę.

– Wystarczy – powiedziałem. – Wystarczy, bo zobaczysz!

– A co mi zrobisz?

– Pokażę ci!

Nagle zauważyłem, że Deniz jest bardzo waleczna. Postanowiłem ją obłaskawić. Wtedy dopiero się zaczęło. Nie wytrzymałem i zacząłem jej oddawać. Pobiliśmy się nie na żarty.

Ta pierwsza kłótnia zbliżyła nas do siebie jeszcze bardziej. Cały czas się sprzeczałyśmy. Pewnego dnia w nerwach wrzuciła do morza część brudnopisów *Boğazkesen*. Na to ja chwyciłem radio tranzystorowe i cisnąłem je przez okno. Przez jakiś czas nie rozmawialiśmy. Potem znowu się pogodziliśmy. Po każdej kłótni, po każdej zwadzie – zawsze zakończonej rękoczynami –

następował okres pokoju, inaugurowany seksem. Tak, nasz seks był spleciony z przemocą. Kochaliśmy się wszędzie, nie tylko w wąskim łóżku pokoju z wykuszem. Na taborecie w kuchni. Na stole. W cieniu platana w ogrodzie. Nawet na przystani. Zdarzyło mi się wchodzić w nią na łodzi, z widokiem na ponure ściany hangaru i przy akompaniamencie fal, oraz w salonie na jednym z foteli przykrytych prześcieradłami. Czasami wskakiwała na mnie jak klacz tocząca pianę z pyska. Czasami, gdy byłem w niej, zamykała wstydliwie oczy jak delikatna szesnastolatka. Niekiedy, gdy szczytowała, cały dom rozbrzmiewał jej jękami. W salonie trząś się żyrandol, a w sypialni drżały budzik i filiżanki stojące na półce. W tych rzadkich chwilach, kiedy się nie kłóciliśmy, cały dom stawał się przestrzenią seksu. W miejscach, w których niegdyś planowałem powieść, w których ztracałem się w świetle białych kartek i słów, w których – oderwawszy się od rzeczywistości – nurkowałem w głębinach historii, rozpoczęło się panowanie kobiety, tej drobnej, lecz silnej, czulej i surowej zarazem, pociągającej i odpychającej, przedziwnej kobiety. To ona wszystko inicjowała. Ona decydowała, kiedy rozpocząć kłótnię i kiedy zawrzeć pokój; próbowała też kontrolować każde moje zachowanie.

– Dziś musisz pisać, od rana nie napisałeś ani słowa – mówiła czasem.

Lecz gdy usiadłem za biurkiem i usiłowałem wkroczyć w atmosferę powieści, czułem nagle na głowie jej dłoń. Najpierw głaskała mnie po włosach, by po chwili złapać za kark i pchnąć z całej siły do przodu. Gdybym poddał się jej dłoni, uderzyłbym twarzą w papiery. Stawiałem opór. Dłoń jednak z determinacją kontynuowała grę. Tym razem wędrowała po mej piersi, po czym schodziła w dół. Gdy tylko dotykała mych pachwin, ogarniało mnie podniecenie. Całe ciało przechodził przyjemny dreszcz. Zawsze tak było, tak. Gdy tylko dłoń zbliżała się do mojego krocza, natychmiast byłem gotów do uprawiania miłości. Jak niewolnik, jak pies Pawłowa, oczekujący zawsze tego samego znaku od swego pana. Taka sama, pełna napięcia gra rozpoczynała się co rano zaraz po przebudzeniu. Leżałem zapatrzony w refleksy bosforskiej wody tańczące na suficie, a dłoń najpierw przez chwilę głaskała mnie po włosach, by zaraz ruszyć na poranny spacer po moim ciełe. Już przy pierwszym dotyku czułem podniecenie i wchodziłem w nią, opuszczając wzajemne pieszczoty i pocałunki, których próbowaliśmy na początku. Wbijałem się w nią niczym zakrzywiona szabla; tak, wbijałem się. Namiętnie obejmowała mnie ramionami i nie tylko me ciało, lecz całe moje jestestwo przyciskała do swej kobiecości. Wtedy ztracałem się w niemających końca przyływach i odpływach w harmonii z wodami Bosforu. Pragnąłem, by leżąc pode mną, z każdym moim pchnięciem odczuwała nieco więcej bólu, by każde uderzenie było mocniejsze i przelewało jeszcze więcej krwi, lecz by moja kochanka nigdy nie umarła, by na zawsze pozostała przy mnie, na mnie, pode mną. Miałem coraz silniejsze wrażenie, że roztopiam się w istnieniu Deniz, i aby tego uniknąć, natychmiast zasiadałem do powieści. Za każdym razem szła za mną. Najpierw dłoń uspokajała mnie, gładząc po włosach. A potem... Potem gra zaczynała się na nowo. To wrażenie, poczucie, że cały czas jestem w Deniz, że staję się częścią jej ciała, trwało także we śnie. Gdy budziłem się na dźwięk syreny promu, odnajdywałem się na niej, na jej kobiecości rozwartej jakąś nadprzyrodzoną mocą po to, by objęła mnie jeszcze ciaśniej, bym zanurzył się w nią jeszcze głębiej, gotowy do skoku w tę oszałamiającą przepaść. I choć wiedziałem, że rozpadnę się na tysiące drobnych kawałków, za każdym razem ztracałem się w nagim ciełe Deniz.

Ja też dorastałem na tym brzegu, Deniz! Tak jak ty. Zdarzało mi się kąpać w potoku Göksu, który teraz jest zwykłym ściekiem, i dryfować z szatańskim prądem w okolicach Toplarönü. Tak jak ty opalałem się na pomostach drewnianych rezydencji. Klimat Bosforu nadał kształt memu ciału, ja też rozkwitłem i wyrosłem na tej ziemi. Życie zaprowadziło mnie jednak

na inne wybrzeża, na bezludne plaże dalekich mórz. Tam zobaczyłem, jak ocean się cofa, zostawiając za sobą osad, miękki muł, w którym grzęzną poprzewracane łodzie rybaków. Oraz to, jak wody ponownie się podnoszą. Fale przybywały tak szybko, w jednej chwili zalewały plażę i zmierzały ku przybrzeżnym skałom, rozbrzmiewającym krzykiem mew. Łodzie odzyskiwały równowagę, a port – swoje morze. Przyptyw był szybszy, bardziej namiętny niż dotyk dłoni. Lizał me nagie ciało językami glonów, gdy leżałem na wznak, wystawiając się na słońce.

Teraz, z dala od tamtej plaży, oddaję się twoim wodom. Twoje imię wszak, Deniz, oznacza morze. Powoli wzbierasz we mnie, ogarniając mnie całego. Nie zostawiasz w mim umyśle miejsca na nic więcej. Odbierasz mi też wyobraźnię, tę jedyną przestrzeń, w której mogę łączyć się z innymi światami, zerwawszy z ciałem. Wypełniasz moje dnie i noce, sny i koszmary. Tak, nawet koszmary. Dawno zapomniałem o *Boğazkesen*. Odebrałaś mi zdolność pisania, pomnożyłaś za to moje siły miłosne. Wyhodowałaś sadzonkę tylko po to, by zmieść ją szaleńczym wiatrem. Teraz jestem twój. Już tylko twój.

Jakież to dziwne! Pragnienie pisania *Boğazkesen* stopniowo zaczęło się przeradzać w poemat miłosny dla Deniz. Muszę jak najszybciej pozbyć się tego okropnego liryzmu. Czekają na mnie bohaterowie powieści. Machają do mnie z lustra. Muszę przejść na drugą stronę, by się do nich dostać. Każdego złapać za rękę, zmierzyć mu puls i wykreślić jego losy. Od naszej ostatniej kłótni Deniz – poza chwilami, w których się kochamy – nie wykazuje mną żadnego zainteresowania. Wczesnym rankiem schodzi na przystań. Rozbiera się, kładzie na szezlongu i tak zaczyna dzień. Nie, nie opala się – łąpczywie pije wrześnie słońce, wiedząc, że pewnego dnia polowanie na ludzi, które rozpoczęło się w mieście, dotrze także tutaj, do tego ustronia, a wtedy ona resztę życia spędzi w mroku ciasnej celi. Najpierw pije pięknym, opalonym ciałem, potem nie całkiem zakrytą przez bikini waginą, wreszcie błękitnymi oczami. Gdy leży na szezlongu, wychodzę na zakupy. Aby nie wzbudzić podejrzeń sprzedawców, kupuję tylko dla jednej osoby, tak jak wcześniej. Po powrocie trochę sprzątam, przyrządzam jedzenie, zmywam naczynia i nagle robi się wieczór. A nocą, w środku snu, w który zapadam po seksie, budzę się gwałtownie na dźwięk syren statków. Wszystkie krzyczą, jakby się zmówiły: „Śmierć! Śmierć!”.



Syreny statków budzą mnie ze snu. Nie muszę wstawać i wyglądać przez okno – poznaję po dźwiękach. Ta, która brzmi jak przytłumione wołanie dochodzące z jaskini, z pewnością należy do radzieckiego tankowca. Przybywa bowiem z oddali i pragnie jak najprędzej dotrzeć do Odessy. Odnajdzie tam na nowo dawną narzeczoną, ukochaną przystań. Syrena przypominająca wrzask – czy może powinienem powiedzieć: okrzyk rozkoszy – to prom płynący z Beykozu. Zawiezie rano pod most biednych i pracowitych mieszkańców tamtych okolic. Młodych rzemieślników, robotników ze stoczni i zawstydzone, smutne dziewczęta pracujące w sklepach z odzieżą – wszyscy mieszkają w slumsach pokrywających wzgórze. Ów prom wyobrażam sobie jako statek widmo, który – pusty i tajemniczy – samotnie płynie w ciemności, zapaliwszy jedynie światła nawigacyjne, wprost do zatoki Kanlica. Następnie daje się słyszeć klakson starej furgonetki, używany teraz na rybackim kutrze. Ma gruby, nieprzyjemny dźwięk. Brzmi to tak, jakby mały fordzik próbował wjechać pod górę, a wjeżdżając, potwornie się mozolił i próbował się popisywać. Syreny zaczynają pojedynczo, lecz wkrótce tworzą istny chór śmierci. Zjawiają się mali i duzi, młodzi i starzy, kobiety i mężczyźni – wszyscy zmarli, moi zmarli. Oto przepływa okręt wojenny, następnie długi żaglowiec, za nim frachtowiec, a potem kolejny, tym razem jednak załadowany nie węglem, lecz tęsknotą – z tak daleka zdaje się dobiegać jego dźwięk – wreszcie biały, tak biały jak mewy, statek pasażerski; potem kuter rybacki z sieciami rozłożonymi na pokładzie i mewami śledzącymi jego kurs, szybka i zwrotna motorówka straży przybrzeżnej, dwa promy, które nie wiadomo dlaczego płyną w jednym kierunku, a oba są stare i wysłużone i na pokładzie nie wiozą nikogo, za nimi zaś... znowu frachtowiec, a potem tankowiec, i jeszcze jeden... Zmarli w różnym wieku urządzają paradę przy akompaniamencie syren. Rizzo kona na palu, Czandarly Halil ginie z rąk kata. Głowa megaduksa Notarasa idzie w ślad głów jego synów, którzy po upadku miasta zostali wydani katom przez Mehmeda, a głowa Mahmuda pewnego dnia o świcie toczy się po posadzce lochu w Jedikule. Ziemia nie od razu spija krew wezyra. Miałem zresztą opowiedzieć zarówno o synach Notarasa, jak i o męczarniach, które uznano za odpowiednie dla Mahmuda Paszy. Wszyscy zmarli, w tym Konstantyn i Giustiniani, zaczynają swój taniec wraz z dziesiątkami tysięcy janczarów i bizantyńskich żołnierzy. Do tego danse macabre dołączają także kolejno: księżę Mustafa, którego Mahmud kazał zabić pewnemu niemowię, morderca mordercy tegoż właśnie niemowię (w kolejnych rozdziałach muszę podać tożsamość owego mężczyzny), sam niemowię, a także Mahmud Pasza. W przerażeniu obserwuję, jak tańczą, trzymając się za ręce, pozbawieni cech wyglądu, które mieli w dawnym życiu: teraz ich ciała składają się z czaszek, pustych oczodołów i kości. Chcą,

abym do nich dołączył. Mam jednak przy sobie Deniz, ona mnie nie puszcza. „Potrzebuję cię żywego, nie martwego!”, mówi i łapie mnie za ramiona. Wciąga mnie do łóżka, zawsze do łóżka, nawet gdy leżę obok niej, zabiera mnie na kolejne posłanie. Wtedy taneczny korowód prowadzony przez Azraela, który w dłoni dzierży kosę zamiast haftowanej chusteczki, zaczyna kręcić się wokół buchającego ognia. Kroki są coraz szybsze i trupy doznają ekstazy przy dźwiękach syren. W mej głowie szkielety stają się derwiszami odprawiającymi taneczny rytuał. Stąpając po zaniedbanych parkietach nadmorskiej rezydencji, ożywiają też umieszczone w niej sprzęty. Żyrandol niemal spada z sufitu, wszystkie zwierciadła brzęczą. Nie tutaj jednak tańczą, lecz w mojej głowie; całkowicie zawładnęły moimi myślami i wyobraźnią. Tak, zawładnęły.

Stukot szkieletów zaczyna powoli zagłuszać dźwięk syren. Śmierć! Śmierć! Śmierć i jeszcze raz śmierć! Huruficki derwisz schwycił dłoń architekta Jusufa Sinana, a drugą rękę trzyma na ramieniu Uługa Beja, ofiary ojcobójstwa. Sekretarz wyprawy Nicolo objął Uługa w pasie, a ten z kolei złapał Nefeli. Ta zaś karmi piersią Ahmeda, przyrodniego brata Mehmeda, tego samego, który jeszcze jako niemowlę został odprawiony na tamten świat. Ahmed jednak z jakiegoś powodu upatrzył sobie piękną Szemsije. Jej nie ścięto, tak jak jej ojca, Ankura. Sulejman uratuje się od niej – każe ją udusić. Mehmed postąpi podobnie: zabije Irini, bizantyńską niewolnicę, którą kochał do szaleństwa. Tego jednak jeszcze nie opisałem. Miałem zamiar przy innej okazji opowiedzieć o tym, jak Mehmed zapalał namiętnością do owej Bizantyjki, którą przyjęto do jego haremu, gdy upadł Konstantynopol, jak przestał widzieć świat poza nią i jak wreszcie – aby odzyskać spokój ducha i móc się poświęcić sprawom państwa – zwołał posiedzenie dywanu i tam, na oczach wszystkich, własnymi rękami zabił niewolnicę; choć przecież doskonale wiem, że tak naprawdę przez całe swoje życie Mehmed nie kochał namiętnie żadnej kobiety. Jak wspaniale, wszyscy moi bohaterowie mają tyle lat, ile mieli w chwili śmierci.

Kościotrupy przybierają taki wygląd, jaki miały w prawdziwym życiu, a wtedy powracają wszystkie barwy i kształty. Kapitan Antonio Rizzo jest elegancki jak zawsze w swej jedwabnej koszuli wydętej wiatrem, podobnie księżę Mustafa. Nefeli i Szemsije prześcigają się pod względem urody. Pierwsza jest bardziej kobieca, lecz druga ma spojrzenie prawdziwej piękności, rzęsy długie jak strzały, brwi kształtne jak łuki i zęby niczym perły. Obie są brunetkami, mają nieskazitelną cerę i smutek w oczach. Lecz żadna nie jest gotowa umrzeć. Chcą jeszcze żyć. Żyć i cieszyć się światem. Gdy mowa o uciechach, Rizzo i Nicolo rzucają się nagle naprzód, lecz Mehmed jednym ruchem dogania swą ofiarę i jeńca, by w mgnieniu oka znaleźć się przed nimi. No dobrze, ale co Mehmed robi w tym tańcu śmierci, przecież jeszcze nie umarł! Natychmiast wymazuję z głowy śmierć Mehmeda, wyrzucam go pomiędzy tańczących i oddalam od rozszalałych płomieni. Syrenom krzyczącym: „Śmierć! Śmierć!” odpowiadam: „Jeszcze czas! Jeszcze czas!”. Gdy jestem zajęty tymi sprawami, Halil i Mahmud, rzecz jasna, nie próżnują. Gładzą się po brodach, tak jak Rizzo i Nicolo po krocach. A wtedy... Wtedy otwieram oczy. Pod prześcieradłem, przesiąkniętym potem, jakaś dłoń wspina się od moich kolan wyżej, ku pachwinom. Zatracam się w pieszczotach palców. Chwytają łapczywie mą niespiesznie ożywającą męskość. Wówczas wizja znika, a syreny nagle milkną. Gdy dłoń ściska mnie z coraz większym pragnieniem, mam ochotę krzyczeć. Nie jak syrena rybackiego kutra, który pieje z radości, że wypływa z Bosforu na Morze Czarne, lecz zduszonym, jęklwym, płaczącym głosem. Z mych ust nie wychodzi jednak żaden dźwięk, nawet przyciszony szmer. Wszystko jest takie ciche i nużące. Bezradny, w pełni poddaję się dłoni. Natychmiast pojawia się kolejna. Łapie mnie za ramię i wciąga na nagie ciało, które leży obok mnie. Próbuję się opierać, szamocząc się jak pływak tuż przed utonięciem, lecz na próżno. Deniz wciąga mnie nagle w głąb siebie.



Byłem akrobatą spacerującym po linii rozpiętej nad przepaścią. Nawet nie miałem w dłoniach długiej tyczki. Chwiejąc się przy każdym kroku to w lewo, to w prawo, odzyskiwałem równowagę dzięki ruchom rąk. Nie, nie szedłem z jednego miejsca do drugiego. Nie wiedziałem, jaki mam cel. Jedynym moim dążeniem było zachowanie równowagi. Z jakiegoś powodu za każdym razem odzyskiwałem ją w ostatniej chwili, gdy już miałem spaść w otchłań. Była bowiem noc, a sypialnię wypełniały odgłosy wydawane przez motorówkę. Dom ledwo zauważalnie się trząsał. A właściwie nie dom – trzęsły się sprzęty. Budzik na zakurzonej półce, nogi biurka, wąskie łóżko, które dzieliłem z Deniz, tak, wszystko lekko drgało. Słyszałem też, jak w salonie trzęsą się zakryte fotele, lampy z wielkimi abażurami i stare rodzinne fotografie w szklanych oprawach, ściągnięte ze ściany. Rezydencja powoli oddalała się w ciemności jak statek o przemokłym, splekanym kadłubie, płynący w nieznaną. Nie mógłbym umieścić w swej powieści wszystkich dźwięków i obrazów, jakie natura i fantazja ofiarują człowiekowi nocą w tym miejscu: ani tej podróży w niewiadomym kierunku, ani odgłosów motorówki, ani kufrów ze srebrną sztukaterią, które – jak sobie wyobrażałem – tkwiły w zamkniętych pokojach, ani schowanych w tych kufrach ubrań z dawnych lat, przesiąkniętych zapachem naftaliny: wąskich spódnic z obcisłym pasem czy kwefów, ściąganych przed lustrem, gdy woda powoli ciemniała, toczków czy broszek; ani wody skapującej z zepsutych kranów do marmurowych mis, ani wielkich platanów zrzucających liście u źródła, z którego dochodziła ta woda, ani korzeni drążących ziemię, ani wznoszących się ku niebu gałęzi tych drzew, ani tego, jak w owych gałęziach delikatnie szeptał wiatr. Nie zdołałbym też opisać tu wszystkiego, co widziałem przez okno. Potrzebowałem jednak tych wrażeń, które pozwalały mi zachować resztki więzi ze światem zewnętrznym i choćby na chwilę ratowały mnie z niewoli *Boğazkesen*. To one ustanawiały równowagę między tekstem a rzeczywistością.

Gdy dźwięk motorówki oddalał się i znikał, dom pogrążał się w głębokiej ciszy. Potem powoli powracał szum morza, któremu towarzyszyła Deniz. Być może śniła koszmar, być może dziwny sen. Jej oddech mocno przyspieszał, a ciało oblewał pot. Mówiła przez sen bezwstydnymi, kuszącymi słowami, jakie krzyczała mi do ucha, gdy uprawialiśmy miłość, lecz teraz robiła to tak, jakby ktoś zmuszał ją do tego na torturach. Woda dostawała się do szczelin w zrujnowanych ścianach hangaru, a wówczas głuchy szum wznosił się od parteru ku wyższym piętrům. Myślałem, że ów odgłos to morze zżerające rezydencję od fundamentów, a tymczasem Deniz kastrowała mą wyobraźnię. Dźwięk wody słychać było całą noc. Mych snów nie

przerywały radosne okrzyki ludzi, którzy w dniach świetności tego domu wyruszyli łodzią ku księżycowi. W ekstazie minionych nocy pozostały odgłosy dzwoneczków, które odzywały się za każdym razem, gdy muzycy na swojej łodzi wznosili tamburyn w świetle latarni i uderzali w jego membranę, smutek słyszalny w każdym drgnieniu strun oudu lub dawnego tanburu i jęklive melodie wygrywane na skrzypcach. Tak samo zresztą jak cały ten beztroski świat, w którym wiersze śpiewane przez pieśniarzy płynęły wraz z karawaną łodzi sunących w świetle księżyca od Kanlicy do Göksu, a każdy kolejny rym uporczywie, szybko wirował jak lustrzane wody Bosforu, wznosząc się nieustannie na coraz wyższe dźwięki. Teraz już nikt nie jeździł na wycieczki do Göksu, by posłuchać tam śpiewu słowików. Wielkie rodziny przeniosły się albo do centrum miasta, albo na tamten świat. Słyszeć było jedynie cyprysy na cmentarzu ciągnącym się wzdłuż potoku Göksu, szum morza i jęki Deniz.

Czasami we śnie wprost krzyczała. „Nie zmusicie mnie do mówienia! – wybuchała. – Nie zmusicie!” „Wszystko wyśpiewasz? – pytała czasem. – Tak, wyśpiewasz...” Sama zadawała pytania i sama na nie odpowiadała, nie zdając sobie jednak sprawy, że jest zarówno ofiarą, jak i katem... Noc mijała na tych koszmarach, wypełnionych wyśnionymi przesłuchaniami. Nie mógłbym umieścić w powieści lęku odczuwanego przez Deniz, czasu opresji, który nastąpił wraz z wojskowymi rządami, ani studentów ginących na torturach. Tak jak nie napiszę o historii tej rezydencji, pomalowanej przetartą już ochrą, tego domu, który ze swoimi niezliczonymi schowkami, hallami, drewnianymi schodami i kamiennym gankiem każdego dnia nieco bardziej zsuwał się do morza. Moja powieść jednak też miała w sobie sporo przemocy. Tak, krew lała się w niej strumieniami. Podrzynano w niej gardła i ścinano głowy; katom kazano dusić niemowlęta za pomocą jedwabnej chusteczki, a niemowie – wyrośniętych książąt. To wszystko działo się jednak w czasach Mehmeda Zdobywcy. Wówczas wybrzeża Bosforu nie były jeszcze zamieszkałe. Nie było tej zsuwającej się do morza zaniedbanej rezydencji ani przepływających obok statków. Gdy twierdza Boğazkesen ze swymi trzema wieżami wezryłów wznosiła się naprzeciwko mnie niczym nieprzekraczalny mur, w mych myślach kształtował się materiał powieści, której zamierzałem nadać tę samą nazwę. Skąd mogłem wiedzieć, że pewnego dnia naprzeciw *Boğazkesen* stanie potężna jak Boğazkesen kobieta i zapagnie oderwać mnie od czasów Mehmeda i wciągnąć do własnego świata, stłamsić pożądaniem?! Świat Deniz wypełniały krew, ołów i tortury. Aresztowania, cele i egzekucje, stanowiące cenę za marzenie o pięknej przyszłości, za tęsknotę za wolnością i równością. Oraz pasja, która każdego dnia spędzonego w klatce rezydencji coraz bardziej wciągała nas w swoje sidła.

Pewnej nocy, gdy Deniz majaczyła przez sen, wstałem, by zapalić lampę. Pochyliłem się nad pustymi kartkami, czekającymi na biurku na zapisanie, gdy do mych uszu dotarł jakiś dźwięk. Różnił się od odgłosów, które zwykły wypełniać me noce. Za oknem ptak trzepotał skrzydłami. Rozsunąłem story. Była to kulawa mewa. Przysiadła na parapecie i wgapiła się we mnie czerwonymi oczami. Wyglądała trochę jak łobuz, któremu za karę kazano stać na jednej nodze. Otwarłem okno i wyciągnąłem dłoń. Nie uciekła. Skuliła się tylko. Światła na przeciwległym brzegu pogasły i Bosfor był pogrążony w ciemności. Z oddali nie mogłem dostrzec twierdzy. Poglądziłem mokre pióra mewy. Natychmiast mi się poddała. Serce waliło jej jak młotem. Przez chwilę wyczuwałem pulsujące tętno. Powoli przesunąłem dłoń na ptasi kark. I nagle zapagnąłem ścisnąć tę szyję, która drżała pod moim dotykiem i w rytm miarowego oddechu rozszerzała się i kurczyła jak jedwabna tkanina. Udusić kulawą mewę. Nie potrafiłem pojąć, jak ten bezpodstawny impuls, jak to straszliwe uczucie mogło w jednej chwili ogarnąć całe moje istnienie. Mewa kulila się pod moim dotykiem, nieświadoma, co mi chodzi po głowie. Wyraźnie zmarzła. Podleciała do okna po okruszki. Poszedłem do kuchni i pokruszyłem chleb. Gdy wróciłem, już jej nie było. „Szkoda – pomyślałem. – Szkoda, że jej nie udusiłem...” I sam

się zdziwiłem tym, co mi przyszło do głowy. Jej szyja była jednak taka miękka, taka wilgotna i chuda...

Spojrzałem na Deniz. Kołdra się z niej zsunęła i widziałem jej nagie ciało. Z twarzy zniknęło odbicie koszmarów, które śniła przed chwilą. Nie majaczyła. Opalone, spocone biodra ślizgały się po pościeli. Była pogrążona w głębokim śnie. Jej szyja na brudnej poduszce była biała i cienka jak szyja łabędzia. Położyłem się obok, starając się jej nie zbudzić. Oparłem głowę na jej piersiach i wsłuchałem się w rytm serca. Nie wiadomo dlaczego pomyślałem o zegarze wiszącym przy wejściu do salonu. Przypomniałem sobie, że ów mechanizm, wyposażony w tarczę pokrytą cyframi starego pisma, który przez całe lato nakręcaliśmy co wieczór zardzewiałym kluczem, od dawna już nie chodzi. Mosiężne wahadło ukryte za szkłem nie kołysało się już, jakby chciało zemleć czas. Jedynym dowodem na to, że noc mijała, był puls Deniz. Z każdym oddechem mej ukochanej, z każdym uderzeniem jej serca czas postępował do przodu. Ciemność nie odchodziła, w miarę jak zbliżał się dzień. Nie, nie odchodziła.

Pewnego dnia wstałem wcześniej rano, by usiąść przy biurku i spisać sen, który śnił mi się owej nocy w hotelu. Właściwie nie sen, gdyż była to prawda. Czy może chciałem, aby to była prawda. Opuściwszy wtedy bibliotekę, nie wróciłem do swej sypialni, lecz ruszyłem na Beyoğlu, gdzie upiłem się w Pasażu Kwiatowym i zostałem na noc w hotelu. Nie pamiętam już w którym. Było to w rejonie Tepebaşı, na początku wąskiego zaułka wychodzącego na ulicę Asmalimescit. Okna mojego pokoju wyglądały na podwórze. Było to przygnębiające pomieszczenie z rozbitą umywalką. Ciemną przestrzeń na tyłach hotelu wypełniał gwar dochodzący z alei İstiklal. W późniejszych godzinach nocy hałas nieco osłabł. Zasnąłem. We śnie jakiś głos wyszeptał mi na ucho: „Padyszach miał pociągłą, zmęczoną twarz”. Nie zareagowałem. Następnie ten sam głos powtórzył ową frazę po włosku. Wtedy poddałem się nieco magii obcych wyrazów. Język był znajomy, choć nie rozumiałem słów. Mówił Nicolo, a może kapitan Rizzo. Ja zaś nie przebywałem w ciasnym hotelowym pokoju o ścianach z odpadającym tynkiem, lecz ulicę dalej, w sali bankietowej weneckiego poselstwa. Wszystko było olśniewające. Fotele obite skórą, obrazy wiszące na ścianach, zdobienia na suficie i marmurowy kominek z reliefem przedstawiającym sceny polowania. Przemawiał Gentile Bellini, malarz, który przybył do Konstantynopola z Pałacu Dozów, by wykonać portret sułtana Mehmeda.

– Gdy zobaczyłem go po raz pierwszy – mówił – padyszach miał pociągłą, zmęczoną twarz. Widać, że jest chory. Ciężko chory. Jego koniec się zbliża. Muszę go namalować, nim umrze.

Rezydent wenecki cieszył się skrycie, że sułtan jest chory i zmęczony, a licząc w myślach błyszczące dukaty, które zamierzał wysłać Jakubowi Paszy, starał się nie zdradzić przed Bellinim swej radości.

– Jutro, jeśli sułtan zdoła ustać na nogach, podejmę pracę na nowo – kontynuował malarz. – Mehmed zasłużył na nieśmiertelność. Lecz jak tego dokonać? Jak umieścić na płótnie wszystkie cechy mojego modelu, nie tylko wygląd zewnętrzny, lecz także, a może przede wszystkim, człowieka – bo choć włada państwem osmańskim, to przecież jest człowiekiem – z tym, co kryje się pod powierzchnią: z całą przeszłością, wojnami, marzeniami i troskami?

Rezydenta ewidentnie nudziły tego rodzaju rozmowy. Myślami był gdzie indziej – zastanawiał się, na jaką wojnę tym razem wyrusza Mehmed. Ciekawe, który kraj zamierzał teraz podbić. Które miasto oblec. Może Rzym?

– To prawda, Mehmed zasłużył na nieśmiertelność – przytakiwał, choć sam nie wierzył w te słowa. „Niech umrze! Niech wreszcie zdechnie!” – myślał bowiem w duchu.

Bellini był pogrążony w zadumie. Wspominał to, co widział w pałacu. Gorąco pragnął ukończyć jak najszybciej portret Mehmeda, by namalować także innych, od janczarów po

służących. Miał dość przenoszenia na płótno wyłącznie wizerunków przywódców państw i możnych.

– Nie zapominaj – upomniał go rezydent – że wielki Turek jest naszym przyjacielem, lecz mimo to uważaj; nie wiadomo, co może mu przyjść do głowy.

Bellini myślał o swoim modelu. Coś z gruntownego wykształcenia Mehmeda i z jego bezlitosnej osobowości powinno znaleźć odbicie na płótnie. Ale co? Może głębokie spojrzenie, a może ciemna, bardzo ciemna barwa? Gdy tylko zobaczył Mehmeda, zachwyił się nim. Mężczyzna ten miał w sobie coś, czego malarz nie widział u portretowanych przez siebie dołów – jakąś inność, której tajemnicy Bellini nie zdołał rozwikłać.

Rozmowa rezydenta z artystą stopniowo przechodziła w szept. Sala bankietowa weneckiego poselstwa zgasła w mym śnie niczym lampa. W tej samej chwili ze snu wyrwał mnie wstrząs. Z początku pomyślałem, że hotel się wali. Zaraz jednak ujrzałem, że to moje ciało się trzęsie. Gdy otworzyłem oczy, spostrzegłem Mehmeda na ścianie. Patrzył na mnie z portretu wyciętego z czasopisma „Hayat”. Natychmiast rozpoznałem zmęczoną twarz władcy świata i jego długi, cienki nos, schodzący do samych ust.

– Spiesz się! – wykrzyknął rozkazująco. – Skończ powieść, zanim umrę!

– Skończ powieść, zanim umrę!

Ocknąłem się na te słowa Deniz. Nachylała się nad biurkiem.

– Nie musisz się spieszyć – szepnęła. – Tylko żartuję.

– Muszę dokończyć *Boğazkesen*.

– Najpierw dokończ mnie... Jest jeszcze tyle miejsc na moim ciecie, których nie dotknąłeś, nie odkryłeś.

Złapała moją rękę, w której trzymałem pióro, i przycisnąwszy do swych nagich piersi, zaczęła nią poruszać to w prawo, to w lewo.

– Oto twoje pióro, a oto pergamin. Pisz!

Piszę więc tę powieść na twym ciecie, Deniz, na skórze gazeli. Jak szybko wszystko się zmienia! Noce stają się dniami, dzień przepływa w noc. Twa nagość także płynie, beze mnie, samotna. Co rano wstajesz z łóżka niczym sztylet wychodzący z pochwy i stajesz przede mną, a nocą krzyczysz przez sen. Twe jęki, gdy się kochamy, latają po rezydencji jak nietoperze – wirując wokół mnie od sufitu do podłogi, od sypialni do kuchni, a stamtąd do salonu. Tylko słowa się nie poruszają, słowa, które umierają, nim zdążą się narodzić na pustce białego papieru, moje słowa. Za nic nie umiem ich dosięgnąć, tak jak nie zawsze dosięgam ciebie, twej nagości, choć niby magiczne zaklęcie wypisuję na twym ciecie *Boğazkesen*. Wyślizgujesz mi się z rąk jak spłoszony delfin. Nie, nie miotasz się, nie uderzasz piękną, delikatną głową o ściany hangaru na łodzie. Pływasz na głębokich wodach, na błękitnym, otwartym morzu.

Innego ranka usłyszałem pukanie do furtki ogrodu. Leżeliśmy w łóżku. Deniz ze strachu skoczyła na równe nogi.

– To może być policja! – krzyknęła. – Mnie tu nie ma!

– Dlaczego policja, kochanie? Może to sąsiad?

– Nie otwieraj jeszcze. Pójdę do hangaru.

Ubrała się i wyszła z pokoju. Gdy ruszyła nad wodę, zszedłem do ogrodu. Ktoś wytrwale walił kołatką. Tak jak Deniz, gdy po raz pierwszy się tu zjawiała. „To znowu jakaś kobieta – pomyślałem. – A z jedną nie daję sobie rady... No cóż, klin klinem. Zresztą, ciekawe, ile kobiet miał w haremie pasza, który zbudował ten dom... Ale on nie był pisarzem. I tu jest pies pogrzebany!” Ostatecznie to nie mnie poszukiwano. Dlatego wciąż potrafiłem żartować. Nie przyszło mi do głowy, że jeśli znaleźliby tutaj Deniz, zabraliby też mnie.

Otworzyłem furtkę z uśmiechem. Listonosz. Wręczył mi wielką kopertę i odszedł.

Przesyłkę nadano w Stambule. Adres wyglądał tak:

Sz. Pan Fatih HAZNEDAR
Anadoluhisari İskele Yanı nr 2
Stambuł

Z ciekawością otworzyłem kopertę. W środku znalazłem *Legandy o powstaniu Stambułu*. Trzymając w ręku fotokopię manuskryptu, którego nie przestudiowałem do końca w bibliotece, ruszyłem z radością na górę. Korzystając z tego, że Deniz wciąż była w hangarze, zacząłem czytać:

„A Tymeusz miał syna, którego nazwał Istanbul. I pewnego dnia rzecze ów Istanbul do swego ojca Tymeusza: «Ojcze! Wiedz, że mym pragnieniem jest zbudować tu wielki gród i nazwać go swym imieniem, tak by imię moje nie zginęło na świecie!». Tymeusz zaś udzielił mu wszelkiego poparcia, mówiąc: «Sam wiesz, co masz czynić». Na to Istanbul, otrzymawszy zgodę od ojca, otworzył jego skarbiec, po czym zwołał budowniczych i murarzy i postawił wielki mur o długości trzydziestu staj, i zbudował tam wspaniały gród, który nazwał swoim imieniem, i królował w nim cztery lata aż do śmierci. A miał on jednego syna, któremu było na imię Konstantyn. I syn Istanbula, Konstantyn, dokończył budowę grodu, który był niedokończony. Z tej to przyczyny ów gród jest znany pod dwiema nazwami: i jako Istanbul, i jako Konstantyn”.

Zastanawiałem się właśnie, jak w piśmie arabskim zapisywano imię Konstantyn, gdy nagle poczułem dłoń gładzącą mnie po włosach, która po chwili zeszła na kark i mocno pociągnęła mnie do tyłu. Nieomal spadłem z krzesła. Jednocześnie usłyszałem głos Deniz:

– Nie będę cały dzień gapić się na twój kark!

Odwrociłem się. Jej błękitne oczy się śmiały.

– Mogłeś dać mi znać.

– Przepraszam, to był listonosz.

– Tak? Do kogo list?

– Jak to do kogo? Oczywiście, że do mnie.

– Hm... Od żony?

– Nie, ze Stambułu. Przesłali mi ksero jednej książki.

Nie uwierzyła. Powiedziałem więc, że przyszedł list z Paryża.

– Pyta, kiedy wracasz, prawda?

– Tak, bardzo za mną tęskni.

Nagle z jej oczu zniknął blask. Sposepniała. Po chwili odparła drwiącym tonem:

– Też bym się stęskniła. Nie jesteś pisarzem, jesteś seksmaszyną!

Nie odpowiedziałem. Zapanowała dłuższa cisza.

– Więc zapomniałeś, że jestem w hangarze...

– Zaczytałem się.

– Posłuchaj mnie. Nigdzie nie pojedziesz bez mojego pozwolenia, w porządku?

Uznałem, że żartuje.

– Nie zostawię cię – kontynuowała. – Nie zostawię, choćbym miała umrzeć.

Tego dnia z trudem dotrwaliśmy do wieczora.



Nie mogłem spać. W głowie kręciły mi się słowa. Pozostawały w ciągłym ruchu, jak w kalejdoskopie. Oddzielały się i łączyły, przybierały coraz to nowe kształty, zmieniały barwy. Czekałem, aż zwolnią i zajmą stałe miejsca, aż ustawią się obok siebie, tworząc zdania, które będą miały sens. Im dłużej jednak patrzyłem, tym bardziej przyspieszały, coraz bardziej z każdą chwilą, z każdą cząsteczką pędzącego czasu. Nie umiałem ich złapać, a gdy widziałem, jak zerwawszy więzy, latają w powietrzu niczym płatki śniegu, odchodził ode mnie sen; wstawałem wtedy z łóżka i szedłem do kuchni. Gdy zapalałem światło, moja postać odbijała się w szybie. Rozmierzwione włosy, wylupiaste oczy i szerokie policzki, w połowie pokryte nieuporządkowaną brodą, przywodziły na myśl szaleńca z filmu grozy. Przysiadłem na taborecie, opierałem łokcie na stole i kładłem głowę na ramionach. Bojąc się, że obudzę Deniz, nie włączałem nawet radia, które kupiłem w miejsce starego, i tak po prostu siedziałem. Z niewiadomej przyczyny pragnienie pisania właśnie wtedy najsilniej dawało znać o sobie. Słowa we mnie wzbierały, a gdy ich wzburzone fale rozdzierały się i pękały, z trudem się powstrzymywałem, by nie wrzeszczeć, by nie skoczyć na równe nogi i nie wykrzyknąć fortacy wszystkiego, co skumulowało się w środku. Pragnąłem, by w jednej chwili znikły obrazy, które odbierały mi sen. Aby wreszcie oswobodził się od chaosu, którego nie potrafiłem spisać, ubrać w słowa, aby moja świadomość w końcu doznała oczyszczenia. Aby doznał z *Boğazkesen* spełnienia, którego nie umiałem przeżyć z Deniz, gdyż nieustannie je odraczałem, chcąc dać rozkosz przede wszystkim jej. Gdy siedziałem samotny w kuchni i słuchałem ciszy nocy, tęskniłem za rankiem. Za rankiem, kiedy wraz ze słońcem zasiądę do biurka i będę mógł pisać.

W kolejnym rozdziale planowałem opisać próby rozmowy Karła z niemową na wozie przewożącym zwłoki księcia Mustafy. Karzeł podejrzewał, że księżę wcale nie umarł w sposób naturalny, gdy nagle poczuł się źle w hammamie w pobliżu Niğde, do którego trafił w drodze powrotnej z Deweli Karahisar, lecz że zabił go niemowa ukrywający się w łaźni. A ten przecież był członkiem dworu Mustafy. Wiele doświadczył w pałacu w Konji i wielokrotnie zbrukał ręce krwią. Jeśli podjął się takiego zadania, musiał dostać placet z bardzo wysoka. Skoro sułtan nie ścigał mordercy ukochanego syna, w sprawę musiał być wmieszany jeden z pozostałych książąt bądź jakaś znacząca postać, która zaskarbiła sobie zaufanie Mehmeda. Dlaczego jednak ktoś targnął się na życie Mustafy? Aby wzbudzić w sułtanie żal i w ten sposób go zabić? Czy za tą okrutną zbrodnią stał polityczny plan? Karzeł rozważył wszystkie możliwości i próbował, na ile był w stanie, dojść do tego, kto zabił Mustafę, lecz nie zdołał znaleźć odpowiedzi na nurtujące go

pytania. Niemowa zaś był pewny, że oprócz Mahmuda Paszy, który za zabójstwo Mustafy obiecał mu sowitą nagrodę, nikt nie zna prawdy. Wiedział, że pasza podejrzewa, iż jego nowa, młoda żona ma potajemny romans z księciem, co doprowadza go do szału, więc zrobi wszystko, by ukarać Mustafę. Kiedy sułtan dowie się o śmierci ukochanego syna, zacznie podejrzewać Bajazyda i zapomniawszy, że sam zalegalizował bratobójstwo, cały gniew przeleje na niego. Dzięki temu zaś jemu, niemowie (ani Mahmudowi), nic się nie stanie. Będzie żył jak król za złoto od wielkiego wezyra. Wreszcie zacznie wieść hulaszczę życie, odwieczny przedmiot swoich marzeń, i zdobędzie bogactwo oraz kobiety, które dotąd wydawały się nieosiągalne.

Wóz jechał szybko w mroku nocy i tylko czasem, gdy koła natrafiały na kamienie, które wtoczyły się na trakt, ich stukot towarzyszył trzeszczeniu drewnianej trumny, pilnowanej przez karła i niemowę. Nim doniesiono do Konstantynopola o śmierci księcia, jego ciało zostało załadowane na wóz, lecz uprzednio w tajemnicy pozbawiono je organów i wypełniono miodem oraz żytem, jelita zaś zasolono. Wtedy dopiero zmarłego wyprawiono w sekrecie w podróż do Konji. Tragiczna wieść miała dotrzeć do sułtana dopiero wówczas, gdy wóz dojedzie do celu, a modlitwa nad zwłokami Mustafy zostanie odprawiona.

Dłoń karła, który próbował wychylić galon wina wyniesiony ze spiżarni, odskakiwała, gdy wóz podrygiwał na wybojach, i alkohol wylewający mu się z ust palił go wówczas w pokryte rumieńcem policzki. Jego oczy lśniły w ciemności. Gdy na chwilę przestawał pić, niemowa odbierał mu gąsior, opierał się o trumnę, by zachować równowagę, po czym – inaczej niż karzeł – niespiesznie zbliżał butlę do ust. Po jednym łyku z uśmiechem na ustach oddawał wino karłowi. Alkohol go rozgrzał i znieczulił mu umysł, a wtedy zaczął pałać pragnieniem, by zdradzić towarzyszowi podróży swój sekret. Tę chęć hamowały nieco zaciekawione spojrzenie karła oraz strach przed śmiercią przez uduszenie. Choć – tak czy inaczej – natychmiast po dotarciu do pałacu karzeł miał zostać zabity. Niemowa czuł się bezpieczny, lecz mimo to się obawiał, że wpadnie w pułapkę i że Mahmud Pasza, chcąc usunąć wszystkich świadków, wraz z karłem zabije także jego.

Gdy wino się skończyło, chęć zwierzenia się wzięła górę nad lękiem. Niemowa zapalił więc kaganek i opowiedział karłowi o zbrodni. Ale jak? Gestami czy rysunkami na skrawku papieru? Zanim odnalazłem odpowiedź na pytanie, co każe wyjawić temu niemowie, który był świadkiem wielu intryg w pałacu księcia Mustafy, straszliwych zbrodni i rozpustnych hulanki oraz innych wydarzeń, jakie trudno sobie nawet wyobrazić, zanim zdecydowałem, w jaki sposób przekazać on swoją wiedzę, w głowie pojawiły mi się inne sceny. Je także chciałem spisać, by się od nich uwolnić. I to natychmiast, nie czekając do rana.

Mehmed siedział po turecku w swym ogrodzie pośród własnoręcznie zasadzonych róż i pisał gazel. Słudzy stali za nim, czekając na jego skinienie. W świetle wieczornego słońca padającego na Pawilon Fajansowy padyszach wydawał się smutny. Marzył o kobiecie niepodobnej do tych, które posiadał do tej pory, pociągającej jak Wieża Galata, wznosząca się na przeciwległym brzegu, za genueńskimi murami, jednocześnie silnej i wiotkiej, twardej i delikatnej, zimnej jak kamień i gorącej jak rozżarzone węgle. Ciało miała mieć jędrne jak ciało młodzieńca, a serce – czułe jak serce matki. Sułtan postanowił wyrazić wierszem to pragnienie, ten obraz kobiety, której nie sposób odnaleźć na świecie, a którą być może napotka w raj. Niestety, jedynym rezultatem było kilka niezgrabnych, utartych wersów, nieróżniących się zbytnio od tego, co pisali perscy poeci. Przygnębiony świadomością, że nigdy nie zostanie prawdziwym poetą, Mehmed poprosił o wino. Napełniając sułtanowi kielich, podczaszy zauważył wersy wykaligrafowane nad pseudonimem „Awni”:

Ujrzałem słonecznicą anielicę, co przyćmiewa świat
Czarne hiacynty jej loków to powód westchnień kochanków

Smukły ów cyprys – jak księżyc, co przywdział czarne odzienie
Króluj na ziemi gaurów, przynajmniej pod względem piękna

Kto swoje serce przywiąże do sznura, którym jest przepasana
Nie będzie człowiekiem wiary, lecz będzie grzesznym kochankiem

Spojrzenia jej zabijają, a usta jej dają życie
Lecz owa dawczyni życia podąża drogą Chrystusa

O, Awni! Nie wąp ani chwili, że piękność ta ci się podda
Tyś wszak jest szachem Stambułu, a ona włada Galatą

Podczaszy krępował się powiedzieć, że bardzo mu się spodobał ostatni bejt. Wiedział, że zwłaszcza w tej kwestii Mehmed nienawidzi pochlebców. Mimo to chciałby być na miejscu tej pięknej kobiety, która oparła się zdobywcy Konstantynopola. Uważna lektura gazelu pozwalała bowiem zrozumieć, że owa kobieta oznacza w rzeczywistości młodego mnicha. Ów „smukły cyprys” był, być może, chrześcijańskim młodzieńcem albo przystojnym duchownym. Czyż można pojąć, jak kocha władca świata?

Siedząc po turecku na poduszce w ogrodzie Pawilonu Fajansowego, Mehmed obserwował Konstantynopol. A im dłużej patrzył na miasto, tym mocniej rozkwitały w jego sercu karmazynowe róże z kafelków pokrywających budynek. Był spięty. Nie mógł się doczekać, aż zapadnie wieczór, a miasto pograży się w ciemności. Aż w meczetach zapłoną lampy, a w kościołach świece. Gdyby tak kochanek z Galaty, za którym tęsknił cały dzień i który ożył w jego wyobraźni, kiedy pisał gazel, pojawił się teraz i ogrzał jego posłanie! „Ale nawet gdy nadejdzie wieczór – myślał – nie spotkam się z nim. Bo jestem szachem Stambułu, a on włada Galatą”. Uśmiechał się wbrew poczuciu beznadziei. W każdej chwili mógł paść ofiarą miłości. Tak, on, wielki władca świata, mógł dać się zniewolić jednemu kuszącemu spojrzeniu. A wtedy oddałby kochankowi wszystkie skarby imperium. Chociaż bowiem, tak jak Junus Emre, przeczytał i umiał na pamięć cztery święte księgi⁵⁸, gdy przyszło do miłości – zobaczył, że to tylko dwie sylaby. Dwie sylaby... Awni na szczęście nie miał zbyt wiele do czynienia z miłością Boga. W swych utworach opiewał raczej doczesne przyjemności, powtarzając nieustannie, że cierpi przez miłość:

Niech Bóg mnie nie uwalnia od tej bolesnej żądz
Kto serce ma bez cierpień, ten nie zna przyjemności
Niech Bóg mi nie osusza łez płynących z oczu
Kto kocha, a krwią nie płacze, ten nie zna przyjemności.

Jeśli Mehmedowi by się to nie udało, Awni pewnie rozkochałby w sobie pięknego młodzieńca z Galaty. Tak, sułtanowi nie starczyłoby sił, by do niego dotrzeć. Zdobycie czyjegoś serca nie jest tak proste, jak wzięcie zamku. Nagle przed oczami stanął mu najmłodszy syn Notarasa. Zdawało mu się, że widzi, jak czarnowłosy młodzieniec, który od sułtańskiego łóża wolał ostry miecz kata, leży w kałuży krwi. Awni zatem płakał krwawymi łzami, podczas gdy Mehmed przelewał cudzą krew.

Rozdziały, które zamierzałem napisać, miały zawierać więcej treści. Po jakimś czasie jednak wszystko zaczęło się plątać: gdy rozmyślałem o jednej scenie czy wydarzeniu, w mojej wyobraźni pojawiały się inne, a kiedy układałem rozmowę albo zupełnie wyjątkowy opis,

niepodobny do pozostałych, nagle jedna z historii, których jeszcze nie opowiedziałem, potem kilka kolejnych, a wreszcie – wszystkie naraz atakowały me myśli. „Mnie też spisz! Mnie też!”, słyszałem ich głosy. Kiedy w ogrodzie pałacu w Edirne Mehmed gładził po gładkiej twarzy Drakulę⁵⁹, ów wołoski książę zawołał: „Jeszcze zobaczysz, co zrobię! Twoje okrucieństwo okaże się niczym przy moim!”. I zobaczyłem: po kilku latach turbany osmańskich posłów czekających na audiencję u hospodara przybito im gwoździami do czaszek. Z zamku władcy w Karpatach rozciągał się widok na las pali, schodzący po stromych szczytach w dół, ku dolinie. A na palach gniły w słońcu dziesiątki tysięcy ciał dzieci, kobiet oraz młodszych i starszych mężczyzn. Najedzone sępy zataczały radosne kręgi na niebie. W pobliżu budowano kamienny most. Smukłe minarety wznosiły się ku chmurom, a cień kopuł, pokrytych ołowiem, padał na chłodne dziedzińce i gniazda gołębi schowane w okapach. Chciałem napisać także o życiu architektów, kamieniarzy i robotników, dzięki którym powstały te cuda, oraz o wędrownych derwiszach przemierzających drogi świata. W pałacowych pracowniach malarskich mieszano rozmaite farby, a w kuchennych kotłach gotowano jedzenie. Pragnąłem opowiedzieć o pięknie uzyskanych barwach oraz o smaku potraw. Wojsko wyruszało na wojnę, kolejne twierdze padały. Musiałem dokładnie opisać przemarsz walecznych żołnierzy i cierpienia obrońców zdobywanych zamków. Jakaś Bizantyjka krzyczała mi wprost do ucha: „Dlaczego urwałeś mój wątek, czemu nie dokończyłeś mojej historii?”. Przypomniałem sobie o Nefeli. O pięknej prostytutce z Galaty, która nie mogła się doczekać kapitana Antonia Rizza. Co zrobiła, gdy upadło miasto? Czy salwowała się ucieczką, czy straciła życie z rąk janczara? A może resztę swych dni spędziła w pałacu jakiegoś paszy, pochwycona jako wojenny łup? Być może weszła na pokład genueńskiego statku, który opuszczał port, i popłynęła na Rodos albo nawet do Genui, by rozpocząć tam nowe życie. Nie, znalazła schronienie w klasztorze wraz z bękartem urodzonym Rizzowi. Lecz nie tylko Nefeli nie dawała mi spokoju! Zaganos nieustannie mi wypominał, że faworyzuję Halila, i powtarzał, iż sam zasługuje na miejsce w tej opowieści przynajmniej w tym samym stopniu co ów nieolejalny wielki wezyr. Nie byli zadowoleni ani książę Dżem, ani jego karzeł Ruhi. Ten ostatni wyrzucał mi, że za dużo uwagi poświęciłem nie niewartemu karłowi księcia Mustafy. Mahmud zaś potwierdzał, że na ucztach, które urządzał w pałacu dla uczonych, w pilawie z ciecierzycą umieszczał złote monety, lecz za nic nie chciał się przyznać, że z zazdrości kazał niemowle udusić w łaźni księcia Mustafę. Mahmud się nie przyznawał, ponieważ nie chciał, by ktokolwiek wiedział, za co zemścił się sułtan, gdy zamordował go po latach. Aby nigdy nie uchyliła się zasłona tajemnicy, która zakrywała jego śmierć w lochu po ciężkich torturach. Aby legendy, które rozeszły się wśród ludu, gdy odszedł już z tego świata, legendy wywyższające go niemal na świętego, trwały jeszcze przez wieki. Wbrew wszystkim dowodom Mahmud za nic nie chciał potwierdzić prawdy. Dlatego we mnie także rodziło się wątpliwość. A jeśli moje przypuszczenia nie są słuszne? Jeżeli fakty, które odnalazłem w pewnych źródłach i które potwierdziły moje podejrzenia, zostały zmyślane przez wrogów Mahmuda Paszy? Ja jednak wiedziałem. A raczej widziałem, musiałem widzieć. To ja pociągałem za sznurki; siedząc nad ranem przy oknie w kuchni starej drewnianej rezydencji, wyprowadzałem na scenę teatru lalek niegdyś realne postaci, poruszałem ich ramionami, a co dziwniejsze – sprawiałem, że mówiły. Jednakże w tym przedstawieniu bez widzów to ja byłem zarówno suflerem, jak i mówiącym. To ja byłem oglądającym i oglądanym, działającym i zmuszającym do działania – tak, byłem każdym.

Biedny książę Mustafa! Jakież był piękny i mądry. Tron, oczywiście, należał się jemu. Nie dlatego, że był najstarszym synem Mehmeda, lecz dlatego, że tylko tak zdeterminowany, mądry i obyty książę mógł zająć miejsce zdobywcy Konstantynopola. Za bardzo jednak kochał kobiety. W przeciwieństwie do ojca nie gustował w młodych chłopcach. Podobały mu się smukłe jak cyprys, wysokie, zgrabne i kształtne kobiety z Kaukazu. Już przy pierwszym spotkaniu zapalał

namiętnością do pięknej Czerkieski Gülbahar Hatun, młodziutkiej żony starego wezyra Mahmuda Paszy, i gdy ten wyruszył na wojnę, Mustafa zaczął często jeździć do Konstantynopola i potajemnie spotykać się z kobietą, wykorzystując pośrednictwo jej piastunki. Imię Gülbahar Hatun oznaczało „wiosenna róża” i rzeczywiście była ona pięknym kwiatowym pakiem; teraz rozkwitała już nie w pałacowym ogrodzie, lecz w łóżu księcia Mustafy. Gdy Mahmud wrócił z wyprawy, nabrał podejrzeń wobec żony, a kiedy w końcu poznał prawdę, wpadł w sza!; obiecał niemowiemajątek za uduszenie księcia, a do tego zdołał nadać zbrodni znamiona nieszczęśliwego wypadku. Następnie wysłał do Konji jednego ze swoich ludzi, który zabił mordercę Mustafy, nim tragiczne wieści dotarły do Mehmeda. Łatwo zrozumieć, jak niemowa dał się złapać w te sidła.

Chciał żyć. Człowiek Mahmuda, czyli jego morderca, przybył wcześniej do Konji i powiedział niemowiem, że jeśli zabije Mustafę, otrzyma niewyobrażalne ilości złota. Usłyszawszy o złocie, niemowa zapomniał o wszystkim. Pewnej nocy, gdy książę Mustafa był w łaźni, wślizgnął się tam niepostrzeżenie. A może pijany książę, zajęty poceniem się i szorowaniem ciała w piekielnym ukropie hammamu, po prostu go nie zauważył? Albo zauważył, lecz stwierdził, że niemowa ma pewnie coś do zrobienia. Łaźnia kipiała od pary buchającej z mis wypełnionych gorącą wodą. W piecu paliło się od rana, a ciepło wznoszące się od marmurowej posadzki wypełniło całe wnętrze. Przez parę nic nie było widać, lecz niemowa ze swojego kąta potrafił dostrzec wszystko. Młode ciało księcia Mustafy, leżące na kamiennym podeście, jego mokrą brodę i gęste włosy wystające spod ręcznika... Tak, wszystko... Miął w dłoni jedwabną chustkę i czekał, aż Mustafa omdleje z gorąca. Książę zdawał się spokojny, gdy leżał na rozgrzanych kamieniach. Spokojny był też Mahmud w pałacu w Konstantynopolu. Także człowieka, którego wysłał do Konji, przepelniał spokój ducha, lecz pasza był spokojniejszy. Gdy bowiem morderca niemowy po wykonaniu zadania wracał do Konstantynopola, gdy na grzbiecie wierzchowca przemierzał stopy i góry, gdy oczy lśniły mu na myśl o nagrodzie, jaką otrzyma od wezyra, w drogę dawno już wyruszył jeszcze inny człowiek paszy, wysłany po to, by go zabić. Odnalazł mordercę niemowy w zajeździe. I natychmiast wysłał jego duszę do piekła. Następnie wrócił do Konstantynopola, stanął przed Mahmudem i otrzymał worek złota, obiecany ofierze. Nim jednak nacieszył się nagrodą, wielki wezyr kazał zabić także jego. Lecz nie wiedział, że ów karzeł, z którym niemowa jechał na wozie, poznał prawdę. Spytacie, czy karzeł ruszył do Konstantynopola i odnalazł mordercę mordercy mordercy niemowy, który zabił księcia Mustafę, czy może natychmiast stanął przed sułtanem, by opowiedzieć mu wszystko, co zaszło. W jaki sposób jednak niemowa zdradził karłowi prawdę? Jakim językiem przemawiał? Myślę o karle. Szeroko otwartymi oczami patrzy na niemowę. Ten zaś, gdy wychylili już gąsior wina, w płomieniu kaganka na wozie przewożącym do Konji ciało księcia Mustafy niczym mistrz pantomimy odgrywa scenę zabójstwa sułtańskiego syna, lecz nagle przed moimi oczami w miejsce tej sceny staje inna, bardziej dostojna, o wiele bardziej „teatralna”.

Umysłny wysłany z Konji do Konstantynopola, po to by poinformował sułtana, że książę Mustafa umarł z przyczyn naturalnych w łaźni w pobliżu Niğde, gdzie się zatrzymał w drodze powrotnej z Deweli Karahisar, odnajduje padyszacha w pałacu Topkapy. Mehmed nie jest już taki jak dawniej. Broda mu posiwiała, bardzo się zestarzał. Przytył. Wiele przeżył w życiu, wiele doświadczył, lecz nie zna jeszcze bólu utraty potomka. Gdy tylko umysłny otwiera usta, wielki zdobywca Konstantynopola, władca Osmanów, sułtan Mehmed Chan Gazi, syn sułtana Murada Chana, pojmuje, co się stało. Rozkazuje sługom zwinąć rozłożone wszędzie perskie dywany, po czym, zdjawszy z głowy turban, klęka na gołej ziemi. Nabiera jej w dłoń i posypuje sobie nią włosy, po czym zaczyna lamentować. Wielki padyszach rozpacza i bije się w piersi jak

turkmeńskie kobiety, rozrywa na sobie ubrania, oplakując śmierć syna. Chcę do niego podejść i zdradzić mu to, co ze szczegółami opowiedział mi karzeł, który stał się powiernikiem niemowy: że Mustafa nie umarł śmiercią naturalną, ale został zabity w łaźni przez niemowę na rozkaz Mahmuda Paszy, że niemowę z kolei usunął inny człowiek najęty przez wielkiego wezyra i że on także padł ofiarą paszy. Sułtan nie jest jednak świadomy mojej obecności. Bez przerwy łka i lamentuje. O Boże, co mam zrobić?! Jak mam sprawić, by mnie usłyszał?! Wszystko jest takie skomplikowane, takie niemożliwe! Wstanę i przynajmniej napiję się wody!



XII

Prawdę mówiąc, uważam, że to jest dziwne, iż ci wszyscy dawno umarli ludzie, których próbowałem przywrócić do życia, wszystkie postaci *Boğazkesen* sprzed pięciuset lat, ci wszyscy moi bohaterowie rzeczywiście ożywają dzięki owej osobliwej idei zwanej fikcją. Żyli i umarli. Nasza wiedza o tym, kim byli, jak żyli, co pili i co jedli, jak się ubierali, jakie doznania sprawiały im radość, a jakie wywoływały ból, jest bardzo ograniczona. W dodatku nikt z nich nie umarł z przyczyn naturalnych. Poważnie, dlaczego żaden bohater tej powieści po prostu nie umarł, dlaczego wszyscy zostali zabici? Każdy nosił w sobie śmierć, własną śmierć. Czy raczej mord, który miał się na nim dokonać. Każdy nosił go w sobie jeszcze przed narodzinami, jeszcze w łonie matki, gdzie przebywał skulony, z wielką głową, pomarszczoną twarzą i szeroko otwartymi oczami, które nic nie były w stanie dostrzec. Każdy w pewnej chwili zaczynał się wiercić w tej bezpiecznej przestrzeni, w tym ciepłym, przytulnym otoczeniu, które go żywiło i pozwalało mu rosnąć, i zapragnął wyjść na zewnątrz swoimi pokrzywionymi nóżkami, zobaczyć światło, przyjść na świat. Narodziny są upadkiem, pierwszym krokiem ku śmierci. No, dobrze, ale dlaczego bohaterowie tej powieści, której za nic nie potrafię dokończyć, dlaczego te wszystkie postaci zostały zamordowane? Tak się starałem, by je ożywić, robiłem wszystko, co w mojej mocy, by nabrały odpowiednich kształtów i wyglądały jak Antonio Rizzo, jak Halil, jak sułtan Mehmed Zdobywca, dla nich odwróciłem się od wszystkiego – tak, od własnego życia i od piękna świata – po to tylko, by mój byt, już taki lekki, że niemal nieistniejący, trwał w nich, nawet za cenę uwięzienia w pokoju z wykuszem tej zaniedbanej rezydencji. Czy to ja zabijałem ich nie w porę, we wczesnych latach życia, czy może robił to Bóg? Ich przeznaczenie? Żaden Bóg – zabijała ich historia. Z tego, co możemy wyczytać z rękopiśmiennych ksiąg, co możemy zrozumieć z niewyraźnego pisma ówczesnych kronikarzy (ale dlaczego niewyraźnego, wszak kaligrafia tamtych czasów, owe zmiennokształtne litery płynące nierównymi liniami po wyprawionej wielbłądziej skórce były o wiele piękniejsze, wspanialsze i bardziej ozdobne niż znaki pisma łacińskiego, którego używamy dzisiaj) – dobrze, cofam to określenie: z tego, co możemy zrozumieć z relacji ówczesnych kronikarzy, które przez całe stulecia były powtarzane w tak wielu innych dziełach, zabiła ich historia. A zatem czas – umarli z upływem czasu. Tak, przecież z czasem wszystko się układa, kto umiera, ten umiera, a kto zdrow – też w końcu umiera, czas zwycięża wszystko, robi, co należy, nikt nie może mu się sprzeciwić, a umarli... Lecz ucieka mi nić, nić *Boğazkesen*, którą zacząłem pisać pewnego wrześniowego dnia, wpatrując się w wody płynące u stóp twierdzy Boğazkesen, i dotąd lepiej lub gorzej potrafiłem ją

kontynuować, ale jak to było, co to było, kto to powiedział – nie pamiętam, no nic, ktokolwiek to powiedział, miał rację, powiedział, że należy trzymać się wężła Boga⁶⁰, i dobrze powiedział, ale gdzie jest teraz ta nić? Nie widzę jej końca; czyżby była tak daleko, że nie zdołam jej złapać i się uratować? Mówiłem, że to czas, czas ich zabił, nawet jeśli umarli przedwcześnie. Czy choćby jeden nie mógł umrzeć śmiercią naturalną? Dlaczego Antonio skonał na palu, a Halil zginął z rąk kata, dlaczego Mustafie odebrała życie jedwabna chustka niemowy, a architekt umarł w lochu, i Mahmud umarł w lochu, a Lütfi Szaleniec na szubienicy (tak, z nim też się policzono po śmierci Mehmeda, on także został zabity – przez ludzi Bajazyda II, tak jak huruficki derwisz, jak szejch Bedreddin, powieszony nago na drzewie przed swoim zakładem kowalskim), a potem wielki padyszach, tak, Zdobywca też został zamordowany, i to za pomocą trucizny, za pomocą trucizny, tak jak jego najmłodszy syn Dżem.

Oglądam to wszystko tak, jakby wydarzało się na moich oczach. Armia znowu rusza na wojnę, jest rok 1481. Mehmed wyraźnie się zestarzał. Ma dopiero czterdzieści dziewięć lat, lecz artretyzm bardzo go zmęczył, hulaszcze życie sprawiło, że jego oczy stały się zapadnięte, a z bólu – oczywiście z bólu po śmierci Mustafy – posiwiały mu włosy i broda. Niemal stracił sokoli wzrok, jego ręce nie są już tak silne, a milczenie ceni bardziej niż mowę. Musi jednak dowodzić wojskiem, inaczej janczarzy za nim nie pójda, a armia nie będzie maszerować. Padyszach opadł z sił tak bardzo, że nie jest w stanie wsiąść na konia, więc niosą go w lektyce – aż do samego namiotu. Ten rozstawiono na schodzącym ku morzu wzniesieniu w pobliżu Gebze, na szczycie powiewają białe proporce sułtana Mehmeda, lecz nikt nie wie, dokąd idzie wojsko. Władca przed wszystkimi ukrywa cel wyprawy, mówi, że wyrwie każdy włos z własnej brody, który pozna ów cel.

I oto staje przed nim jego najbardziej zaufany człowiek, lekarz Jakub Pasza, zwany inaczej Jacopo, nadworny osmański medyk. Kto wie, jak wiele razy uzdrowił padyszacha, ze szponów ilu chorób go wyrwał. Od pewnego czasu jednak małymi dawkami podtruwa sułtana, ponieważ nie zdołał się oprzeć blaskowi złotych monet, które oferowali mu Wenecjanie. Oczywiście nikt o tym nie wie. Mehmed jest święcie przekonany, że z każdym łykiem syropu coraz bardziej zbliża się do zdrowia, do szczytu sił, do upragnionego celu – do Rzymu... Gdy zaś Jakub miesza lecznicze zioła, wsypując między nie szczyptę trucizny, dłonie trzęsą mu się ze strachu. Potem skacze wokół swojego pacjenta, tak jakby pragnął pokonać ów lęk. Krzyczy na sługi i wyrzuca im, że nie okazują władcy należytego zainteresowania. I za każdym razem własnymi rękami podaje swej ofierze truciznę, starając się nie widzieć wdzięczności w jej oczach. Im więcej Mehmed wypija, tym bardziej opada z sił, choć przy każdym łyku sądzi, że tym razem ozdrowieje. Oto właśnie kat i ofiara! Możemy ich nazwać lekarzem i pacjentem, lecz na razie powiedzmy: morderca i mordowany. Doszliśmy wreszcie do historii uniwersalnego duetu, do opowieści o zabójcy i jego ofierze. Jednak nie chcę jeszcze pisać tej historii. Powoli kształtuje się ona w mojej wyobraźni, gdy znad łąki nieopodal Gebze podnosi się zasłona mgły. Mamy ranek czwartego maja, słońce jeszcze nie wzeszło. W obozie panuje niezwykła cisza. Żołnierze głęboko śpią. Tak samo konie i wielbłądy. Poganiacze wypuścili te ostatnie na łąkę za sułtańskim namiotem, a sami ułożyli się do snu pod platanem. W porannym chłodzie konie stoją nieruchomo jak rzeźby. Gdy oddychają, z ich nozdrzy wydobywa się błękitny dym, który miesza się z wiszącą wszędzie mgłą. Ogniska pogasły, a pokryte rosą namioty z koziej sierści zrobiły się białe. Tak, wszyscy śpią, nawet strażnicy obozu. Czuwa tylko trzech mężczyzn, pogrążonych w smutku, siedzących w rozedrganym świetle świecy u posłania padyszacha: wielki wezyr Karamani Mehmed Pasza, medyk Jakub Pasza oraz Lari. Nie wiemy, o czym myśleli, gdy przed chwilą sułtan wydawał z siebie ostatnie tchnienie. Jednakże ich pierwszą decyzją, podjętą jednomyślnie, było zabicie łożniczego Mehmeda. Dzięki temu nikt oprócz nich nie wiedział, że

sułtan odszedł. Gdy po przedwieczornej modlitwie padyszachowi bardzo się pogorszyło, nowo przybyły z Persji lekarz Lari wreszcie zaakceptował decyzję Jakuba, by podać władcy środek wymiotny. Ostatecznie próba upuszczenia pacjentowi krwi z nogi, którą podjął nad ranem, zakończyła się całkowitym fiaskiem. Od razu po wypiciu specyfiku Mehmed zaczął wymiotować. Nim łożniczy przypadł do sułtana, któremu z ust wypływała żółć, i podłożył mu ręcznik pod brodę, władca kilkakrotnie drgnął, po czym zastygł. Nie, nie umarł w ramionach służącego, lecz pod przerażonymi spojrzeniami medyków, którzy nie byli w stanie go uleczyć, oraz wielkiego wezyra Karamaniego Mehmeda Paszy. Tak, ich spojrzenia przepełniał strach. W śmierci sułtana każdy z nich widział własną śmierć. Co mogli teraz zrobić? Jak ukryć przed wojskiem tragiczną wiadomość? Najpierw przywołali pałacowego niemowę i kazali mu zabić łożniczego, a następnie usiedli przy łożu Mehmeda i oddali się ponurym rozmyśleniom. W Karamanim Paszy nie było śladu po jego zwykłym zdecydowaniu. W ostatnich miesiącach przyglądał się, jak Mehmed coraz bardziej opada z sił, i widział, że puchnące od artretyzmu ciało słabnie w nieoczekiwanym tempie, lecz za nic nie potrafił zrozumieć, jak ta twarz, która osadzona na przysadzistym tułowiu zdawała się jeszcze większa, mogła tak nagle się zapaść. Według opinii lekarzy padyszach nie był śmiertelnie chory; nie widzieli oni przeciwwskazań, by wyruszył z armią na wojnę. Lecz gdy tylko wojsko przepравиło się do Anatolii i zaczęło marsz ku nieznanemu celowi, gdy sułtan dotarł do Gebze, stracił siły, nie mógł już wsiąść na konia i zległ na posłaniu z tygryziej skóry.

I pewnego majowego wieczoru, podobnego do tego sprzed lat, kiedy zdobył Konstantynopol i zatknął na jego wieżach sztandary osmańskiego zwycięstwa, odszedł z tego świata, pozostawiając po sobie imperium. Co miało nastąpić dalej? Jak można było powstrzymać bunt armii pozbawionej przywództwa? Jak można było przekonać janczarów, by nie plądrowali miasta, nim nowy władca wstąpi na tron? I kto miał być tym nowym władcą? Najstarszy Bajazyd czy może ukochany przez Mehmeda książe Dżem? Należało do obu wysłać wiadomość i ukryć przed wojskiem śmierć sułtana dopóty, dopóki któryś z nich nie zjawi się w stolicy i nie obejmie tronu. Lecz jak tego dokonać? Mehmed nie mógł zmartwychwstać, a trzeba było pokazać go armii żywego, choćby tylko pozornie. Nagle Karamanemu Paszy zabłyśły oczy, a napięcie jakby uszło z jego twarzy. Zwrócił się do Jakuba Paszy i Lariego i rozkazał im, by oznajmili wojsku, że sułtan zaniemógł i musi wrócić do pałacu na kurację w łaźni. Następnie przeciął odzienie Mehmeda na wysokości ramion i zdjawszy je z niego, ubrał go w kaftan, po czym przy pomocy medyków umieścił zwłoki w lektyce. Celowo nie zasunął do końca zasłon, tak by z zewnątrz dało się zajrzeć do środka.

W pokrytej złotem lektyce Mehmed zdawał się pogrążony we śnie. Wezyr wezwał tragarzy i nakazał im umieścić władcę na szybkim wozie. Przed nim szli halabardnicy i gwardia pałacowa, a za nim – osobiści strażnicy sułtana. Sam Karamani Pasza wsiadł na konia i pognął go obok wozu, przed Larim i Jakubem. Ruszyli w drogę, gdy tylko wzeszło słońce. Żołnierze zbudzili się już i jedli zupę. Za chwilę, nim pochód przybierze odpowiedni szyk, zostanie zatrzymany nagłym rozkazem. Wyruszając owego poranka w stronę Konstantynopola z ciałem sułtana Mehmeda, które wszystkim chciał ukazać jako żywe, Karamani Mehmed Pasza nie wiedział, rzecz jasna, że gdy tylko ci postawni, łysi mężczyźni, siedzący teraz w majowym słońcu z wąsami w miskach z zupą i spokojnie napełniający się strawą, dowiedzą się, jaka jest prawda, natychmiast chwycą za broń i podniosą bunt, że wbrew wyraźnemu rozkazowi, by żadna łódź nie opuszczała Anatolii, ruszą na miasto i w jednej chwili zamienią je w piekło, że plądrując żydowskie oraz greckie dzielnice i ciesząc się osiemnastoma dniami bezkrólewia, spalą też jego własny pałac, a jego samego poćwiartują, i że wyślą do piekła także dusze Jakuba i Lariego.

Karamani pędzi wierzchowca. Aby nie wzbudzać podejrzeń, co jakiś czas podjeżdża do

wozu i nachyla się ku lektyce, udając, że rozmawia z ledwo widocznym padyszachem. Strach jednak zżera go od środka. Korkud, syn Bajazyda, jest przetrzymywany w pałacu jako zakładnik. A gdyby tak jego umieścić na tronie dopóty, dopóki nie przybędzie nowy sułtan? Pasza prosi Boga, by dwóch gońców wysłanych przez niego do Amasji i Konji jak najszybciej dotarło do celu. Nie wie jeszcze, że jego własna śmierć w niczym nie będzie podobna do śmierci Mehmeda. Tak samo jak nie wie, że ukochany sułtan był powoli podtruwany przez Jakuba ani że od śmierci dzieli go mniejsza odległość niż od lśniących w majowym słońcu zbroi, bułatów i toporów żołnierzy siedzących teraz przed swoimi namiotami.

A zatem śmierć jest bliżej człowieka aniżeli arteria jego szyi⁶¹! To, co czujesz, gdy przyciśniesz prawą rękę do skroni, to nie tętno, lecz wiecznie przypominająca o sobie śmierć. To ona pulsuje na twojej dłoni. To ona pompuje krew do naczyń włosowatych twojego ciała, to ona przyciąga cię coraz bliżej z każdym uderzeniem serca. Nie krew krąży w twoich żyłach, lecz śmierć. Dzięki niej pozostajesz przy życiu i za jej zgodą wciągasz powietrze w płuca. Póki żyjesz, serce wybija ci rytm: „Śmierć! Śmierć!”. Śmierć! Śmierć! Śmierć! To jej głos cały czas słyszysz, to jej istnienie wciąż wisi nad tobą.

Teraz zmierzcha. Woda powoli się cofa. Niedługo zapłoną światła na przeciwległym brzegu, a twierdza pograży się w ciemności. Mówiąc słowami pisarza zakochanego w historii, wielkiego piewcy Stambułu: „Ani nie jestem w czasie, / Ani całkiem poza nim”⁶². Oto nurzam się w prądzie opowieści, który próbuje podążać naprzód, choć już mnie ze sobą nie niesie, gdyż ustępuje miejsca ciału Deniz, coraz bardziej zajmującemu moje myśli i po każdym miłosnym spotkaniu, po każdym drgnieniu rozkoszy wciągającemu mnie w siebie nieco głębiej, gdyż ustępuje miejsca nieustannemu wołaniu morza. Mogę powiedzieć, że *Boğazkesen* rozpoczęła się wraz z Deniz, lecz musi trwać – umieć trwać – także bez niej.

Ta opowieść zaczęła się wraz z tobą, Deniz, lecz dotarła do tego punktu bez ciebie. Teraz gdy jesteś tutaj, tuż obok, nie chce postępować dalej. Nie może się ciągnąć nawet nieporadnie, gdyż zamiast płynąć, co chwilę natyka się na twoje ciało. Aby umożliwić *Boğazkesen* trwanie, muszę pozbyć się ciebie. Tak, muszę się ciebie pozbyć!

Ta myśl zaprzęta mi umysł, krąży na wietrze słów niczym niezapisane wersy od kartek do okna, a stamtąd do łóżka; Deniz od dawna śpi, a noc przecież jeszcze nie nadeszła, za oknem zapada wieczór. „Muszę się pozbyć Deniz” – ta myśl próbuje się wyrwać na wolność jak zamknięty w klatce ptak – „muszę się pozbyć Deniz” – zbliża się do drzwi, a jeśli je otworzę, wyfrunie na zewnątrz i na chwilę zazna spokoju pod wysokim sufitem w salonie, ale tylko na chwilę – „muszę się pozbyć Deniz” – a potem znów zacznie bić o ściany jak uwięziony na długie lata jeniec, stęskniony za wolnością i światłem, zacznie rzucać się z parkietu na fotele, z foteli na zamknięte okna, aby wnikać w lustrzane wody przepływające za oknem, aby w wodach tych doznać oczyszczenia, aby płynąć wraz z Bosforem, aby płynąć.

1990–1995

NOTA O PISOWNI NAZW WŁASNYCH
ORAZ TERMINÓW TURECKICH, OSMAŃSKICH,
PERSKICH I ARABSKICH

Dla wyrazów pochodzących ze współczesnego języka tureckiego i odnoszących się do współczesnych realiów przyjęto zapis zgodny z ortografią turecką:

ç – czyt. cz (Saraçhanebaşı – Saraczhanebaszy)

c – czyt. dż (cadde – dżadde)

ğ – wydłużenie poprzedzającej samogłoski (Beyoğlu – Bejoolu)

ı – czyt. y (Akıntı – Akynty)

j – czyt. ż (Jale – Żale)

ö – niemieckie ö, francuskie eu

ü – niemieckie ü, francuskie u

ş – czyt. sz (Beşiktaş – Besziktaş)

y – czyt. j (Ortaköy – Ortaköj)

W wyrazach osmańskich, perskich i arabskich zastosowano uproszczoną transkrypcję polską z zachowaniem ğ, ö i ü.

SŁOWNICZEK NAZW I TERMINÓW

Ahici – muzułmańskie bractwo derwiszy zrzeszające rzemieślników.

Akyndży – oddziały nieregularnej, lekkiej jazdy tureckiej.

Azabowie – nieregularne oddziały piechoty utrzymywane z nadzwyczajnych podatków, pobieranych doraźnie na potrzeby wojenne.

Bajramici – muzułmańskie bractwo mistyczne założone w XV wieku w Ankarze przez Hadżego Bajrama Welego.

Basmala (z arab. *bi-ismi Allahi ar-rahmani ar-rahim*, czyli „w imię Boga Miłosiernego, Litościwego”) – formuła umieszczona przed każdą surą koraniczną, a często także na początku ksiąg pisanych przez muzułmanów. Używana również jako rodzaj krótkiej modlitwy.

Batin – ezoteryczna doktryna Koranu, wedle której objawienie jest niejasne, a jego poznanie wymaga specjalnej mistycznej wiedzy.

Bejlerbej (dosłownie: „bej bejów”) – tytuł namiestnika w imperium osmańskim, który zarządzał bejlerbejlikiem, największą jednostką administracyjną, składającą się z kilku bejlików.

Bejlik – w średniowiecznej Anatolii małe księstwo tureckie rządzone przez beja.

Bejt – dwuwiersz w tradycjach literackich muzułmańskiego kręgu kulturowego.

Czorbadży – jeden ze stopni oficerskich u janczarów.

Dewszirme – system branki, wprowadzony przez Mehmeda I (1413–1421), polegający na zabieraniu chłopców w wieku od ośmiu do dwudziestu lat z rodzin niemuzułmańskich w celu dołączania ich do oddziałów janczarów lub wykorzystywania jako służby; także: ktoś, kto został poddany takiej brance.

Dywan – rada doradcza na dworze osmańskiego władcy, odpowiednik rady ministrów. Zasiadali w niej wezyrowie (pełniący funkcje ministrów) pod przewodnictwem wielkiego wezyra (którego obowiązki można porównać do kompetencji premiera).

Dżebedzi – oddziały w armii osmańskiej zajmujące się pozyskiwaniem, produkcją i konserwacją wszelkiej broni, a także dostarczaniem jej na pole walki.

Ezan – wezwanie do modlitwy w islamie, pięć razy dziennie wygłaszane przez muezina z minaretu.

Hurufici – wyznawcy hurufii, odmiany islamu szyickiego. Wierzyli, że Bóg objawia się w literach arabskiego pisma.

Kadi – sędzia muzułmański.

Kadiasker – w imperium osmańskim tytuł przysługujący dwóm najwyższym sędziom. Jednemu z nich podlegała azjatycka część państwa, drugiemu – europejska.

Kapykułowie – nazwa wojsk bezpośrednio podlegających sułtanowi, w odróżnieniu od janczarów, ochotników i żołnierzy wystawianych przez prowincje.

Lala – tytuł przysługujący sułtańskim nauczycielom i innym dostojnikom państwowym, między innymi wielkiemu wezyrowi. Używany także jako poufaly zwrot grzecznościowy.

Masnawi – napisany przez Dżalaluddina Rumiego (1207–1273) poemat o charakterze mistycznym, poświęcony miłości do Boga.

Megaduks – nazwa wysokiego urzędu w Bizancjum, przypadającego w udziale admirałowi cesarskiej floty.

Mewlewici – założone przez Rumiego muzułmańskie bractwo mistyczne, znane powszechnie pod nazwą wirujący derwisze, ze względu na szczególny rodzaj uprawianego przez siebie zikru.

Mufti – muzułmański teolog i uczyony zajmujący się wykładnią prawa i wydawaniem fatw, które w obrębie szariatu funkcjonują jako interpretacje Koranu i wynikających z niego

przepisów.

Musellemowie – początkowo właściciele gospodarstw rolnych, którzy w zamian za prawo do posiadania ziemi wystawiali na potrzeby wojenne własną konnicę, a w późniejszym okresie żołnierze wojsk inżynieryjnych, którzy w trakcie wojny zajmowali się między innymi naprawą dróg i budową przepraw, w zamian za co w czasach pokoju byli zwolnieni z obowiązku płacenia podatków.

Muwakkithane – przylegający do meczetu budynek, w którym odmierzano czas, by ustalić, kiedy powinny rozpocząć się modlitwy.

Nej – flet prosty wykonany z trzciny, popularny na Bliskim Wschodzie.

Rachunek abdzadowy – praktyka polegająca na przypisywaniu poszczególnym znakom pisma arabskiego różnych wartości liczbowych albo w celu poznania znaczeń ukrytych w tekście, albo po to, by umieścić w utworze literackim dodatkową warstwę sensu.

Radżab – siódmy miesiąc w muzułmańskim kalendarzu księżycowym.

Sekbanowie – nieregularne oddziały najemników wywodzących się z chłopstwa, w rzeczywistości stanowiące część armii osmańskiej dopiero od XVI wieku.

Silahdarowie – oddziały, które na polu walki spełniały funkcję awangardy, przygotowującej teren do przemarszu wojska, a w pałacu i podczas uroczystości stanowiły specjalną gwardię sułtańską. Podlegały adze silahdarów, który był też osobistym zbrojmistrzem i powiernikiem osmańskiego władcy.

Spahisi – oddziały regularnej jazdy tureckiej.

Szejjh – przywódca duchowy w bractwie derwiszów.

Talik – jeden ze stylów kaligrafii arabskiej, charakteryzujący się pochyłym, delikatnym kształtem liter.

Tasbih – muzułmański sznur modlitewny, używany do wychwalania dziewięćdziesięciu dziewięciu imion Boga.

Tugra – monogram sułtana stanowiący element herbu osmańskiego.

Turkmeni – w tekście powieści: przedstawiciele któregoś z ludów turkijskich. Plemiona turkmeńskie tworzyły w Anatolii samodzielnie księstwa, które bardzo długo nie chciały się podporządkować centralnej władzy Osmanów. Przeszły nawet na stronę Timura podczas bitwy pod Ankarą w 1402 roku. Wątpliwa lojalność Turkmenów była jednym z powodów, dla których Osmanowie sięgnęli ostatecznie po dewszirme. Z dość częstymi buntami różnych klanów turkmeńskich musieli się jednak zmagać aż do XVI wieku.

Ulemowie – uczeni muzułmańscy, znawcy teologii i prawa.

Zahir – egzoteryczna doktryna Koranu, głosząca, że prawdy objawienia są dostępne wszystkim.

Zikr – rodzaj specyficznej muzułmańskiej modlitwy na cześć Boga. W obrzędach sufickich często towarzyszą jej śpiewy, medytacja i taniec.

¹ Nazwa Twierdzy Rumelijskiej (tur. Rumeli Hisarı), wybudowanej niedaleko Konstantynopola po europejskiej stronie Bosforu. Po turecku oznacza dosłownie: „przecinająca cieśninę”, gdyż wraz z Twierdzą Anatolijską (tur. Anadolu Hisarı), wzniesioną wcześniej na przeciwległym brzegu, tworzyła blokadę Bosforu. Równocześnie jednak jej nazwę można rozumieć jako „podrzynacz gardeł”. Nota o pisowni tureckiej – zob. tutaj (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

² Słowniczek nazw i terminów znajduje się tutaj

³ Bedreddin (1359–1420) – mistyk suficki, przywódca powstania ludowego przeciwko feudałom osmańskim w 1416 roku.

⁴ Mułła Fahreddin (?–zm. 1460) – osmański teolog, mufti i przywódca religijny.

⁵ Junus Emre (ok. 1248–1320) – turecki mistyk i poeta ludowy, autor popularnych wierszy pisanych w języku starotureckim.

⁶ Przeł. Andrzej Ananicz.

⁷ Zaganos Pasza (?–ok. 1464) – wywodzący się z dewszirme dowódca wojsk osmańskich i doradca Mehmeda II; wielki wezyr po śmierci Czandarlego Halila Paszy.

⁸ Sarudża Pasza (?–1454) – jeden z wezyrów Murada II, wychowawca Mehmeda II po jego detronizacji w 1446 roku. Po powtórny wstąpieniu Mehmeda na tron był jego drugim wezyrem; odpowiadał za budowę jednej z wież w twierdzy Boğazkesen; zdymisjonowany po zdobyciu Konstantynopola.

⁹ Lipiec–sierpień 1452 roku.

¹⁰ Galata – miasto powstałe jako kolonia Republiki Genueskiej, położone na północnym brzegu zatoki Złoty Róg, naprzeciw Konstantynopola; obecnie jedna z dzielnic Stambułu.

¹¹ Wieża Chrystusa (dziś: Wieża Galata) – zbudowana przez Genuczyków w 1384 roku konstrukcja stanowiąca część fortyfikacji Galaty. Współcześnie jeden z symboli i jedna najważniejszych atrakcji turystycznych Stambułu.

¹² Bucentaur – galera dożów weneckich, którą co roku w dniu Wniebowstąpienia Pańskiego wypływano na Adriatyk, by uczcić zaślubiny Wenecji z morzem.

¹³ Pod takim tytułem powieść o Mehmedzie Zdobywcy ukazała się w języku tureckim.

¹⁴ Szehabeddin Pasza (?–1453) – osmański dowódca wojskowy, bejlerbey Rumelii, który karierę rozpoczął jako eunuch w sułtańskim haremie.

¹⁵ Mahmud Pasza (?–1474) – wywodzący się z dewszirme żołnierz i dostojnik osmański, wielki wezyr w latach 1453–1467 i 1472–1474.

¹⁶ Mowa o wydarzeniach z 1446 roku, kiedy to wielki wezyr Czandarly Halil wspólnie z Muradem II upozorowali bunt janczarów, wskutek którego odsunięto od władzy Mehmeda i przywrócono panowanie Murada II.

¹⁷ Orban – pochodzący z Węgier inżynier i mistrz odlewnictwa, który w trakcie oblężenia Konstantynopola był odpowiedzialny za budowę dział dla wojsk osmańskich.

¹⁸ Giovanni Giustiniani Longo (1418–1453) – genueski żołnierz, który jako ochotnik brał udział w obronie Konstantynopola z oddziałem około siedmiuset wystawionych przez siebie ludzi.

¹⁹ Czandarly Kara Halil Hajreddin (?–1387) – pierwszy właściciel tytułu kadiaskera w historii imperium osmańskiego, u władzy za rządów Murada I. Twórca systemu dewszirme.

²⁰ Osman I Gazi (1258–1324) – turecki władca i eponimiczny założyciel dynastii osmańskiej.

²¹ *Fatih* po turecku oznacza „zdobywca” i jest tytułem przysługującym Mehmedowi II. Dzielnicą wywodzi swoją nazwę od sułtana. Tam też znajdują się ufundowany przez niego meczet oraz mauzoleum, w którym został pochowany.

- ²² Wszystkie cytaty z Koranu w przekładzie Józefa Bielawskiego.
- ²³ Zu'l-Karnajn (arab. „Ten o Dwóch Rogach”) – postać pojawiająca się w osiemnastej surze Koranu, odpowiedzialna za uwięzienie ludu Goga i Magoga.
- ²⁴ Uzun Hasan (1423–1478) – władca turkmeńskiego państwa Akkojunlu w latach 1453–1478; skonfliktowany z Mehmedem II od jego najazdu w 1461 roku na Cesarstwo Trapezuntu – lennika Akkojunlu. W 1473 roku został pokonany przez wojska osmańskie w walnej bitwie pod Malatją.
- ²⁵ Akszemseddin (1389–1459) – osmański mistyk, poeta i nauczyciel, przewodnik duchowy sułtana Mehmeda II oraz przywódca mistycznego bractwa religijnego bajramitów, które początkowo w całości działało w konspiracji.
- ²⁶ Rumi, gazel 23, przeł. Albert Kwiatkowski.
- ²⁷ Rumi, *Masnawi* I, 1–2, przeł. Albert Kwiatkowski.
- ²⁸ Rumi, gazel 23, przeł. Albert Kwiatkowski.
- ²⁹ Tamże.
- ³⁰ Tamże.
- ³¹ Szams z Tebrizu (1185–1248) – perski mistyk, przewodnik duchowy Dżalaluddina Rumiego, który jemu właśnie poświęcił dużą część swojej poezji.
- ³² Noc Przeznaczenia (także: Noc Siły; arab. *Lajlat al-Kadr*) – dwudziesta siódma noc ramadanu, stanowiąca rocznicę pierwszego objawienia proroka Mahometa. Według wyznawców islamu tej nocy wyznaczane są losy człowieka.
- ³³ Hadży Bajram Weli (1352–1430) – poeta i mędrzec suficki, założyciel zakonu bajramitów.
- ³⁴ Mułła Gürani (1410–1488) – kadiasker, nauczyciel książąt na dworze Osmanów, czwarty szejch al-islam w dziejach państwa osmańskiego.
- ³⁵ Ali – brat stryjeczny, a później zięć Mahometa. Ostatni z czterech pierwszych kalifów islamu.
- ³⁶ Alify, lamy, mimy – litery pisma arabskiego.
- ³⁷ Rumi, *Masnawi* I, 3150–3156, przeł. Albert Kwiatkowski.
- ³⁸ Mehmed Sijah Kalem (tur. Czarne Pióro) – prawdopodobnie piętnastowieczny twórca miniatur, charakteryzujący się specyficznym, niemal groteskowym stylem. O jego życiu prawie nic nie wiadomo.
- ³⁹ Akkojunlu – federacja koczowniczych plemion tureckich i mongolskich, zajmująca tereny współczesnych Armenii, Azerbejdżanu, wschodniej Turcji, Iranu i Iraku.
- ⁴⁰ Uług Bej (1394–1449) – sułtan z dynastii Timurydów, namiestnik Samarkandy, wybitny astronom i matematyk.
- ⁴¹ Timur Chromy (1336–1405), znany też jako Tamerlan i Timur Lenk – protoplasta panującej w Azji Środkowej dynastii Timurydów.
- ⁴² Kadyzade-i Rumi (?–zm. ok. 1440) – matematyk i astronom, kierował obserwatorium Uługa Beja w Samarkandzie.
- ⁴³ Mułła Lütfi (?–1494) – ulema, który otwarcie krytykował nauki wykładane w założonym przez Mehmeda II kompleksie medres Semanije i publicznie drwił z głoszących je wykładowców. Oskarżony przez nich o wynaturzenie i o sprowadzanie innych na złą drogę, został ścięty na placu Końskim (dawnym bizantyńskim hipodromie) na rozkaz Bajazyda II.
- ⁴⁴ Mułła Zejrek (?–1497 lub 1498) – uczeń Hadżego Bajrama Welego; uczestniczył w oblężeniu Konstantynopola. Po zdobyciu miasta został nauczycielem w medresie utworzonej w dawnym bizantyńskim kościele Pantokratora.
- ⁴⁵ Hodżazade Muslihuddin Efendi (ok. 1434–1488) – nauczyciel Mehmeda II, ulema

i kadiasker.

⁴⁶ Dżurdżani (1339–1414) – wybitny perski teolog i encyklopedysta.

⁴⁷ Mułła Hüsrew (?–1480) – ulema i mufti; drugi w historii kadi Konstantynopola, wykładowca w medresie przy meczecie Hagia Sophia.

⁴⁸ Taftazani (1322–1390) – wszechstronny perski uczoney. Autor prac o tematyce teologicznej, filozoficznej, prawniczej, lingwistycznej i literackiej.

⁴⁹ Weli Mahmud Pasza (1420–1474) – pierwszy wielki wezyr wywodzący się z janczarów; urząd sprawował za panowania Mehmeda II dwukrotnie: w latach 1455–1466 i 1472–1474.

⁵⁰ Jerzy Amirutzes (1400–1470) – minister cesarstwa Trapezuntu, filozof i uczoney.

⁵¹ *Allahu akbar!* (arab. Bóg jest wielki!) – od tych słów rozpoczyna się każde wezwanie na muzułmańską modlitwę.

⁵² Baltaoğlu Sulejman (daty urodzin i śmierci nieznane) – piastował różne wysokie funkcje państwowe i administracyjne na dworach Murada II i Mehmeda II. W latach 1451–1453 był pierwszym osmańskim admirałem floty.

⁵³ Wszystkie cytaty z Pisma Świętego w przekładzie Biblii Tysiąclecia.

⁵⁴ Diplokionion – dwie bizantyńskie kolumny stojące nieopodal Konstantynopola w okolicach dzisiejszego placu Beşiktaş w Stambule, prawdopodobnie pozostałość wznoszącego się tam dawniej pałacu. Runęły podczas wielkiego trzęsienia ziemi w 1509 roku.

⁵⁵ Chidr – opisana w Koranie (18:60–82) i często występująca w tradycji islamu ludowej postać muzułmańskiego świętego czy Bożego posłańca.

⁵⁶ Jazid I (645–683) – drugi kalif z dynastii Umajjadów. Według niektórych ówczesnych źródeł dowodził pierwszym arabskim oblężeniem Konstantynopola, co obecnie jest jednak kwestionowane.

⁵⁷ Płacząca kolumna – jedna z kolumn w Hagii Sophii, charakterystyczna ze względu na pokrywającą ją wilgoć. Według legendy włożenie kciuka w znajdujący się w niej otwór i przekręcenie dłoni przynosi szczęście.

⁵⁸ Cztery święte księgi – w tradycji islamu to Tora, Psalmy, Ewangelie i Koran.

⁵⁹ Wład III Palownik, pierwowzór postaci Drakuli, zanim został hospodarem wołoskim, przebywał jako zakładnik na dworze sułtana tureckiego.

⁶⁰ Odwołanie do Koranu (3:103).

⁶¹ Odwołanie do Koranu (50:16).

⁶² Ahmet Hamdi Tanpınar, *Ne İcindeyim Zamanim*.